PISMA J. I. KRASZEWSKIEGO

Z RYCINAMI HENRYKA PILLATEGO.

HISTORJA
O BLADEJ DZIEWCZYNCE
Z POD OSTRÉJ-BRAMY.

TOMKO PRAWDZIC
WIERUTNA BAJKA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.
NAKŁADEM HENRYKA NATANSONA.

1859.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 28 Sierpnia (9 Września) 1858 roku.

Cenzor, Antoni Funkenstein.

w Drukarni J. Jaworskiego.

HISTORJA
O BLADÉJ DZIEWCZYNCE
Z POD OSTRĘJ BRAMY.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

— Gdybym to co się ze mną od roku dzieje, jednemu z moich przyjaciół powierzył, myślałby żem oszalał albo przez sen bredzę! A jednak to wszystko stało się.

Rozdz. XVII.

I



Byłeś kiedy wieczorem u Ostrej-bramy? — może nigdy; może tylko przechodziłeś przypadkiem, prędko, na nic nie uważając, świszcząc piosnkę wesołą, otulając się od chłodu, powracając z wieczoru za miastem. Wątpię bardzo żeby ciekawość lub nabożeństwo przyprowadziły cię tam późną nocą, wątpię żebyś doznał tego, czego doznaje człowiek nie ze wszystkiem zepsuty w tem świętem miejscu. Pozwól więc opisać Ostrębramę wieczorną. Widziałeś ją w dzień, może w chwili nabożeństwa, kiedy ulice założą barykadą i tłum ciśnie się przed obraz Matki Bożéj, gdy na odgłos dzwonka głowy się strojne i niestrojne uchylają, gdy przy blasku słońca, wśród wrzawy dziennéj skupia u nóg swoich małę liczbę nabożnych wmieszaną w tłum obojętnych; ale inna, inna jest Ostrabrama wieczorem.

Gasną światła latarni, ustaje turkot powozów, ciemnieją po jednemu okna kamienic, dorożki nawet powoli oddalają się i nikną, następuje cisza, w któréj najlżejszy szelest staje się znaczącym, wybitnym, że tak powiem charakterystycznym. Wśród dnia wrzawy, hałasy, stuki, głosy, szmery mieszają się i zlewają w jeden dźwięk nierozwikłany po-

spolity, nieznaczący; w nocy każdy głos osobno nabiéra znaczenia, zwraca uwagę, każe myśléć o sobie. Mało jest przesuwających się postaci, każda też postać wabi oczy, zastanawia.

Ulica Ostrobramska jedna z piérwszych, usypia i pustą się staje—natenczas widzisz w niéj tylko, między niebem a ziemią zawieszone światełko przed obrazem Bogarodzicy, drobne, słabe, lecz niegasnące nigdy. Zbliżasz się pusto i cicho, jakaś atmosfera spokoju cię owiéwa, zda ci się że płaszcz Matki Bożéj zsunął się aż na ciebie i osłonił cię, otulił. W górze za sklanemi drzwiami błyskają odbite od ozdób obrazu iskierki, które wedle kaprysu fantazij, składają się na dziwne konstellacje. Jeśli z innego świata idziesz, postój chwilę i poczekaj, aż cię przejmie wiara, aż uczujesz potrzebę modlitwy. Naówczas z rozgrzaném sercem, wśród téj ciszy, ciemnoty, przed jedyném tém światełkiem, dusza twoja wyrwie się z objęcia ciała i poleci do Boga! O! nigdy wśród wrzawy tak się człowiek nie modli.

Cóż jeśli traf szczęśliwy da ci tam towarzysza, jakże potężnie naówczas uczujesz żeś mu bliźnim, bratem, choćby on był w łachmanach; jakże silnie zrozumiesz, gdy twój i jego krzyk boleści wyrwą się z piersi razem, żeście obydwa z jednéj gliny ludzie! Jakże bolesnie przeszyje cię i ubodzie usłyszana przechodzącego zimnego człowieka piosenka pusta, podobna szatańskiemu szyderstwu!

Taką jest Ostrabrama w nocy, takie wzbudza uczucia — nie w każdym może, ale przynajmniéj w niezewszystkiém jeszcze popsutych ludziach.

Jednego wieczora jesiennego, kiedy już ulice puste były zupełnie, gdy światła pogasły i to jedno tylko, które nabożeństwo u obrazu Matki Bożéj zapala, gorzało; szedł ktoś świszcząc piosenkę wesołą z za Ostréj-bramy w miasto. Dochodził do samych wrót, które ciemne i straszne otwierały się przed nim, gdy wśród najweselszych myśli, przyszło mu do głowy podanie o owych Szwedach, którzy za nieuszanowanie Obrazu Matki Bożéj, skarani śmiercią na temże miejscu zostali. Młody człowiek świstać przestał mimo woli, wszedł dość bojaźliwie w przejście ciemne i westchnął. Owionęła go owa atmosfera Ostréj-bramy wieczorna, niosąca w piersi uczucia religijne. Minął szybko wrota i wyszedł w ulicę. Tu zdjął kapelusz z głowy i znowu pod wpływem miejscowym, zastanowił się szepcząc modlitwę, któréj początek był próżnemi słowy, a koniec zajaśniał dopiero uczuciem. Już miał odchodzić, gdy usłyszawszy blisko siebie szelest jakiś i westchnienie, zastanowił się zadziwiony, jeśli nie przelękły.—Spojrzał.

W galerij, na kamiennéj posadzce klęczała postać, oświecona bladém światłem lampy od Obrazu; długi cień czarny wlókł się za nią, niknąc w ciemnościach. Nie widać było twarzy, nie poznać wieku, nie odgadnąć postawy, uczuł jednak bardziéj niż zobaczył młody przechodzień, że to była kobiéta. Któżby był tak obojętny, aby w téj godzinie, ujrzawszy kobiétę modlącą się na klęczkach, nie zapragnął poznać, jaka boleść ją tu przywiodła. Młody człowiek cicho się przesunął, i stanął za nią. Zdało się że nic nie widziała, a przynajmniéj na nic nie uważała, bo nie postrzegł poruszenia żadnego. Wśliznąwszy się w galerją naprzeciw światła, które ją oświecało, dokładniéj mógł rozpoznać tajemniczą kobietę. Ujrzał zgrabną postać, każącą się domyślać młodości, drobne kształty, maleńką główkę gładko uczesaną i niczem nie pokrytą, ręce załamane i ściśnione. Im bardziéj się w to zjawienie wpatrywał, tém więcéj dla niego interessu nabierało. Uczuł że po za tą modlitwą musiało być życie ciekawe, zarody cierpień, wiele bolesci i pojął że po téj modlitwie następowała przyszłość niemniéj zagadkowa i tajemnicza. Przeszłość i przyszłość téj kobiety zajęły go i zapaliły, dałby był wiele, żeby to życie wiedziéć, które w téj chwili wykwitało w smutnéj modlitwie. Pomyślał, że dziewczynka skończy kiedyś przecie, odejdzie i czekał. Ona klęczała z załamanemi rękoma, tylko po chwilce opadła, skurczyła się, opuściła ręce, obwinęła chustką, sparła o mur i zdawała się już dumać nie modlić.

Wśród dumania wyrywały jéj się niezrozumiałe pół słowa, zrozumialsze westchnienia; nareszcie głowa co raz na piersi się pochylać zaczęła, jak gdyby pod ciężarem jakim i dziewczynka widocznie usnęła.

Młody człowiek ujrzał to ze zdumieniem, sądził że przypadkiem chyba, ze znużenia w takiém miejscu zadrzémać mogła i umyślnie stuknieniem o kamienie ją przebudził. Obejrzała się, westchnęła, podniosła oczy na Obraz i usnęła znowu.

— Miałażby tu noc przepędzić w ulicy? pomyślał, to niepodobna prawie! Cóżby to znaczyło?

— Poczekajmy! I nowu czekał pochwycony za serce tą postacią tajemniczą.

Czekał długo, czekał niecierpliwie, nie się nie mogąc doczekać, gdyż dziewczynka w pół siedząc, w pół klęcząc spała. Zégar u Ś. Kazimierza bił piérwszą z północy.

— Pójdę do domu, rzekł w sobie Edward, to chyba żebraczka.

Już miał odchodzić, kiedy śpiącéj kilka słów z ust się wyrwały; zatrzymał się, śpiąca mówiła przez sen.

— Matko Boża, Matko Boża! — Zlituj się nad sierotą!

Potém znowu.

— Widzisz żem niewinna! — Umrzeć — umrzeć — zgłodu!

I jeszcze po chwili.

— Nikt nie przyjął! Matko Boża—biédna Julka!

Te słowa z głębi duszy wychodzące, jak echo myśli, które tylko co jeszcze na jawie głowę biednéj dziewczyny opasywały; przejęły głęboko Edwarda. On nigdy nie płakał, bo łzy się wstydził, jak niemęzkiej rzeczy, teraz przecie uczuł łzę na powiece i drżenie serca. Sięgnął do kieszeni, wyjął co miał i po cichu położył pieniądze na kolanach dziewczynki. — Przeżegnał się i po cichu oddalił.

II.

Nie wiem co powiodło nazajutrz Edwarda na mszą do Ostréj-bramy—pewnie wczoraiszy dobry uczynek, któren mu duszę zeschłą odwilżył i zostawił po sobie miłe wspomnienie. Wczorajsze wieczorne uczucia, których jeszcze nie starł ocierając się o ludzi, ciągnęły go znowu do miejsca, w którém, po raz piérwszy od dawna ich doznał. Ale też miejsce, o jakże teraz było różném! Ulica pełna ludu gwarnego, przesuwające się powozy i dorożki, świegotliwe mleczarki, krzykliwe przekupki, fury drzewa, otoczone targującymi, napełniały wczoraj wieczór tak puste miejsce. Kilka pobożnych niebieskich i różowych kapeluszy świeciły pod galerją, kilka ich kręciły się na górze, kil-

ka płaszczów czerniało o mur opartych. A przed ołtarzem jaśniejącym światłami, odprawiała się msza, któréj dźwięki tonęły w szumnym gwarze miasta. Edward, który szedł pełen uczucia, na widok tego życia zwierzęcego, poruszającego się w ulicy, bezwstydnie wrzeszczącego; ostygł i nie potrafił się pomodlić. Szukał tylko okiem miejsca, w którém wczoraj widział śpiącą dziewczynkę. Było zajęte, klęczała tam kobieta, zdało mu się że ta sama, ale któż wie? Skromny był jéj ubior, sukienka ciemna, chusteczka wełniana, fartuszek, włosy uczesane gładko, obówie czyste i zręczne. Modliła się z zapałem, z przejęciem, ze łzami, wzniesione miała oczy, ręce załamane, nie widziała, nie słyszała otaczającego ją świata. Twarz jéj w téj chwili byłaby malarzowi za wzór najlepszy religijnego uniesienia posłużyła. Blada, przezroczystéj owéj bladości nie nosiła jednak żadnych śladów, które niemoc ciała i choroby zostawują. Oczy wielkie czarne, łzawe, nieruchomie utkwione były w obrazie; usta różowe, w pół otwarte, maleńkie, dziecinne, świeciły ząbkami białemi. Wyrazu jaki te rysy ożywiał, upromieniał, opisać niepodobna; nie zmieniał on tyle twarzy, aby je piórem lub pęzlem wydać było można, duszą je tylko uczuć i duszą odtworzyć wielki sztukmistrz byłby w stanie. Rzekłbyś, jedna z tych zapłakanych główek, które Greuze tak nienaśladowanie tworzyć umiał.

Wpatrzywszy się w zachwycającą tę postać, Edward kilka razy pomyślał, że to wczorajsza Julka, która spała pod płaszczem Matki Bozkiéj, ale nie wierzył znowu w domysły, gdy szlachetnym rysom się przyglądał, zdającym się nie godzić z życiem tak biednéj istoty, którą wyobrażał sobie uwiędłą, podciętą, zgniecioną.

Ale jak wczoraj przytrzymała go niewyraźna w ciemności postać nieszczęśliwéj, tak dziś zajęła go, przykuła jaśniejąca modlitwą i zapałem, cudna twarz nieznajoméj. Stał i żył oczyma i wcielał się w jéj modlitwę. I msza się skończyła i wszyscy się rozeszli i zgiełk w ulicy powiększył, a on jeszcze stał i patrzał, bo ona jeszcze klęczała i modliła się. Nareszcie powstała, ale nie odeszła, spojrzała na obraz, i usiadła na tém miejscu, w którém wczorajsza zasnęła. Edward chciał się doczekać odejścia, chciał się dowiedzieć cóś o niéj,—napróżno. Godziny biły, leciały, goniły jedna drugą, musiał ją porzucić i odejść.

Wrażenia dnia dobrze zatarły w jego umyśle, dwa te obrazy; wpleciony w koło towarzyskiego żywota, w którém my wszyscy stękamy, pod młotem rozmów próżnych, powitań, zapytań, interessów, zapomniał na chwilę o Ostréj-bramie. Przyjaciele, którzy nigdy nie pojmują różnicy dnia od dnia, zmusili go do wczorajszéj wesołości, któréj po nim pod karą śmieszności wymagali, bo do niéj, według nich był obowiązany. Edward nie mogąc się od nich oswobodzić, musiał zdusić w sobie myśli poważne, uczucia delikatniejsze, i znowu na świat patrzéć jak oni szydersko, zimno, zwierzęco. A w duszy jego wielka zaszła odmiana tajemna od wczoraj; szparą jeszcze niezamkniętą spadło w nią nasienie myśli surowszych o świecie, wyobrażeń sprawiedliwszych o ludziach, o kobiétach. Edward sam nie wiedział czemu to miał przypisać, bo przecie ta tajemnicza postać, domyślném swém nieszczęściem nic mówiła za nikim, bo przecie przeszłość jéj mogła być pokalaną;—a jednak przekonawszy się że jest prawdziwa wiara, głęboka i nieudana, poznał Edward, że musi być cnota także. Teraz, kiedy towarzysze jego szydzili wedle zwyczaju i z kobiét i z ich cnót, które tak często będąc tylko pozorem, nieufnym czynią na zawsze,— czuł niesmak w ich szyderstwie, jak człowiek któryby nadto zjadł jakiéj potrawy i wstręt ku niéj powziął z przesytu.

Prędko z towarzystwa wprzódy lubego, oswobodził się udanym bolem głowy Edward, pobiegł do siebie i zamknął się. Tu tak wiele myśli razem uderzyło mu o piersi, że nie mogąc znieść ich ciężaru, znowu zapotrzebował rozrywki, i wyszedł na przechadzkę.

Miasto dręczyło go jak przyjaciele, pospieszył daléj, aby sam na sam tylko zostawszy z przyrodzeniem, z niego wyczerpnąć zasiłek myśli, pociechę, uspokojenie. Wistocie, w takich chwilach, w których człowieka nawiedza wiara w Boga i wiara w cnoty ludzi, przyrodzenie najlepiéj do duszy przemawia, ono wówczas religijnych uczuć jest sprzymierzeńcem i pomocnikiem; gdy przeciwnie w momentach szału, rozpaczy, niedowiarstwa, widok jego nie mówi do duszy; rzekłbyś że przyrodzenie milknie, jak kwiat zamykający się przed burzą. Gdy Edward spojrzał w niebo, czyściejszém odetchnął powietrzem, usłyszał szum drzew, świergot ptaszków; wróciły mu uczucia kołyszące przyjemnie duszę, opadły kajdany, które narzuciło zimne towarzystwo przyjaciół. Dziwnym sposobem, jął myśléć o bladéj dziewczynce, a razem o pociechach religii, o szczęściu jakie daje głęboka wiara.

— A! pomyślał, jakaż to boleść, jakie to cierpienie, jaka męczarnia nie ustąpią z serca, gdy tylko człowiek ma wiarę w przyszłość, w Bogu. Nieszczęściem, nikt jéj nie ma tak głębokiéj, tak wielkiéj, aby wystarczała na wszystkie życia próby; nikt nie pochwali się taką wiarą, a taka wiara, to więcéj niż wszystkie szczęścia, bo ona je wszystkie wyłącza i nieużytecznemi czyni! Wystawmy sobie człowieka, któryby żył nie światem i dniem dzisiejszym, ale Bogiem i wiarą, wiarą cały —jakaż filozofija, jaka nieczułość, jaka pociecha zewnętrzna, wyrówna téj tarczy jego, którą zbrojny niezwyciężonym się staje? A jednak, dla czegoż ta wiara tak sponiewierana, że ją ledwie ci w sercach chowają, którzy już żadnéj ofiary nie czynią z życia, gdy je dla niéj święcą? Czemuż wszyscy wolą cierpiéć, wolą rozpaczać, niż wierzyć w pokoju? Bo—tu się Edward zamyślił — bo jedna część ludzi, rzekł do siebie po chwili, od dzieciństwa nie widziała przykładów wiary i nie uczuła jéj potrzeby, nie pojmując ważności; a druga wstydzi się wierzyć! Alboż niéma takich, którzy się modlą tajemnie, a pokrywają uczucia religijne jak występek, aby ich nikt nie zobaczył, tak jak gdyby one były tylko zabawką, jakiemuś tylko wiekowi i pewnym położeniom towarzyskim właściwą?

Tak myślał Edward, a serce jego otwierało się, czuł się szczęśliwszym, spokojniejszym, ufniejszym w przyszłość niż kiedykolwiek. Zdawało mu się że świat nawet popiękniał, drzewa pozieleniały, niebo pojaśniało, i ptacy weseléj śpiewali i ludzie— polepszeli.

Wieczór był, gdy do miasta powrócił.

Miasto tylko co się oświecało jeszcze i stroiło do zabawy, która ustać miała dopiero o północy, po północy. Okna zapuszczone sztorami, całemi rzędami jaśniały w ciemnościach, rewerbery jeden po drugim zapalały się, stragany i sklepy łojówkami i kienkietami stroiły. Ruch trwał jeszcze jak we

dnie, tylko przechodnie byli rzadsi, a wśród pieszych wybitnie, odznaczali się chłopcy uliczni swiszczący piosenki i dziewczęta chichoczące lub nucące, jakby dla przywabienia do siebie. Tam i ówdzie odzywały się fortepiany, skrzypce, szejne-katrynki popularyzujące muzykę; w szynkach basetle zawsze warczące ponuro; a dźwięki te pomięszane przerywał i krajał stukot pojazdów po bruku.

Złapać też było można w powietrzu urywki rozmowy, pytania bez odpowiedzi, odpowiedzi bez pytań, uśmiechy i łkania, powitania i pożegnania, łajania i pochlebstwa, wszystko to bijące o siebie, spotykające z sobą, ocierające o siebie a połamane jak te sztuczki różnobarwne, które do kalejdoskopu rzucają.

Wszedłszy w ten tłum, gwar i ciasnotę, Edward uczuł się znów przyciśniony życiem ludzi niespokojném i minąwszy kilka ulic skierował się ku Ostréj-bramie. Co go tam wiodło?

O biédna naturo ludzka! jeśli szczerze wyznać mamy, wątpię aby myśli nabożne; raczéj ciekawość, interess, jaki w nim wzbudziła owa dwa razy widziana kobiéta. Może być, że w mieszaninie uczuć, były i inne jakie, ale w nich nie przemagała pewnie potrzeba modlitwy. — Takim jest człowiek, pod ciężarem ciała, które mu czynić każe często, czém się w duchu brzydzi; posłuszny jego instynktom, patrzy na siebie, zna co czyni, a nie ma siły aby się odmienił.

Edward szedł ku Ostréj-bramie, może dla tego powolnie, aby się sam oszukał i skłamać mógł przed sobą, perswadując sobie, że się bez myśli i celu przechadza. W ulicy był ruch jeszcze, światła, ludzie. Edward zwolnił kroku dochodząc do galerij, zdjął kapelusz, obejrzał się, postrzegł postać, którą odgadnął, i modlić się zaczął.

Nie omylił się, znowu była tu dziewczynka. Ale nie sama, ktoś drugi stał przy niéj i rozmawiał z nią. Nie postrzegli Edwarda i mówili daléj, on podsłuchiwał— darujmy mu tę ciekawość.

— I jakże moja panienko, mówił głos chropawy staréj żebraczki, to ty tu nocujesz?

— Już to będzie trzecia noc.

— Tak sama jedna, pod tą bramą?

— Ot tutaj.

— I nie boisz się?

— A czegoż mam się bać, Matka Bozka nademną.

— Czyżbyś już taki sobie kątka nie znalazła?

— Miejsca nie mam, a do karczmy nie pójdę.

— No, no, alećby to taki gdziekolwiek można znaleść kątek; chyba już grosza przy duszy nie masz, a i tak—

— Ja się tu sobie modlę i dobrze mi—

— A zimno?

— Mam chustkę, a przywykłam do wszystkiego, bom sierota.

— A dla czegoż to straciłaś miejsce?

— O! to długa historja!

— Ta, ta! dla tegoby ją można krótko powiedzieć.

Dziewczyna milczała, po chwilce.

— Może panienka i nie jadła?

— Jadłam trochę w dzień.

— A nie chce się jeść?

— Nie; dla czegoż się pytasz?

— Dałabym ci obwarzanek.

— Bóg ci zapłać, stara! ja go nie potrzebuję, ale jak gdybyś mi go dała, tak ci wdzięczna jestem, tyś sama uboga.

— Uboga! odpowiedziała stara, ale ja już do tego przywykłam! A do tego moja panienko, niechaj ludzie gadają a taki poczciwi i litościwi po świecie chodzą, a jałmużna kapie, a ubogi z głodu nie umiera. Alboby to panience obwarzanek zaszkodził?

Stara dobywała z torby powoli, zdmuchnęła, otarła, dała go dziewczynie i nie czekając podziękowania, głośno zacząwszy mówić—*Zdrowaś Marja*—odeszła.

Edward w czas naskoczył, żeby jéj rzucić złotówkę na rękę.

— To za obwarzanek, rzekł.

— Co? co jegomość mowi?

— To za twój dobry uczynek.

— Jaki?

— Coś dała dziewczynce z jałmużny.

— Niech cię Bóg błogosławi panuniu, nie ma o czém gadać.

Edward ją zatrzymał.

— Chciałabyś żeby cię przyjęto do Dobroczynności?

— A mnie to na co! siedzieć jak przykutéj! zawołała; dajże pokój. I poszła.

III

Nie będziemy rozbierać i opisywać stanu duszy Edwarda, może i tak czytelnicy nasi, (zawsze czego innego wymagający od pisarza nad to co uczynił i czyni) — może i tak niecierpliwią się już w trzecim rozdziale powieści, stojąc w miejscu, na którém ich pierwszy postawił. Cierpliwości, panowie mili, cierpliwości; kiedy pisarz czuje potrzebę zatrzymania się, czytelnicy powinni z nim razem uczuć konieczność tego chwilowego spoczynku! a jeśli nie ma między nim a niemi téj sympatij, lepiéj książkę porzucić niż kłócić się z nią czytając. Po tak krótkim wstępie (proszę uważać, że gdybym tylko chciał, mógłbym go był dziesięć razy dłuższym uczynić) powracamy do rzeczy.

Edward trzeci raz już spotkawszy nieznajomą dziewczynkę, skutkiem zapewne szczególnego usposobienia duszy, uczuł się nią silnie zajęty. Nie każda jałmużna, którą dajem, przywiązuje do obdarzonego, jego dar tajemniczy, zdawało się że połączył jakimś węzłem z ową biedną Julką, że na niego włożył jakieś względem niéj obowiązki. Broniąc się myślom o niéj, bo czuł całą ich śmieszność, mimowolnie dumał, w nocy widział ją we snach, wstał z postanowieniem mocném wyszukania jéj, ofiarowania pomocy, dowiedzenia się o przeszłości. Nie poszedł jednak rano do Ostréj-bramy, oczekując wieczora, a prawie pewnym będąc, że ją wieczór na zwykłéj modlitwie zastanie. Dzień mu się wydał długi i nudny, i nie dziw, oczekiwanie zawsze czas przedłuża, doświadczył tego każdy. Śmiesznie też, gdy kto utrzymuje, że dwie godziny są sobie równe, bo mają równą ilość minut i t. p. Śmiesznie gdy chcą koniecznie zrównoważyć rok szczęścia z rokiem cierpienia, bo oba równą ilość dni miały.

Nadszedł wieczór. Edward zmrokiem był u Ostréj-bramy— omylił się, nie było jéj tutaj. Zaledwie oczom swym wierzył. Przeczucie mówiło do niego tak głośno, tak wyraźnie, że ją tam znajdzie; byłby przysiągł że nie omyli, a jednak— Edward zaprzysiągł, że żadnemu przeczuciu nie uwierzy; i gdy tak przysięgał, nie odchodził przecie, sparł się i czekał. W kątku jego duszy, była

iskierka nadziei—patrzał na miejsce, które zajmowała Julka, niekiedy spoglądał w ulicę, ale nikt nie przychodził. Edward zaczął się modlić, uczuł się bardzo smutnym, wstydził się sam siebie.

Wśród modlitwy usłyszał szelest w ulicy, drobnemi kroki, spieszno szła jakaś kobiéta.

— To ona! to pewnie ona! pomyślał i serce mu zabiło.

Spójrzał i już nie wątpił; postać jéj była tak charakterystyczna, ruchy tak cudownie zręczne i szlachetne, iż druga jéj stanu dziewczyna, miećby ich nie mogła. Tém mocniéj się przekonał, iż to była jego nieznajoma, gdy się zwróciła ku galerij, i uklękła na swojém miejscu żegnając się do modlitwy.

Lecz zkąd wracała? — Więc miała znajomości, stosunki w mieście, zajęcia? Edward postanowił dowiedzieć się o wszystkiém i nie chcąc jéj przerywać, czekał aż dokończy pacierzy. A tymczasem mierzył ją okiem badawczém, nie mogąc pojąć jak wprzódy, zkąd pod ubogą suknią służebnéj, sieroty, mogła wykwitnąć twarz taka, taka postawa? przez jaką szczególną przyrodzenia igraszkę, dostały jéj się wdzięki, innego rodu ludzi, których jéj równi cenić nawet nie umieją?

— Przypadek! powiedział sobie, bo inaczéj pojąć tego nie potrafił.

W pół godziny może, wstało dziewcze od modlitwy, ale nie siadła usypiać tu jak pierwszéj nocy, przeżegnawszy się odchodziła. Edward potrzebował niesłychanéj odwagi, aby ją zaczepić; im prędzéj ją gonił, tém chyżéj uciekała; rzucił słowo, odwróciła głowę, spójrzała i milcząc jeszcze żywiéj pospieszała.

— Nie bójże się, rzekł Edward, zaklinam cię na wszystko, nie jestem zły człowiek, muszę się z tobą rozmówić koniecznie.

— Czegoż pan chce odemnie? spytała odwracając się nagle zdyszana dziewczyna.

— Dowiedzieć się tylko coś za jedna i dla czego spałaś kilka nocy w galerij; czy nie masz opiekuna, miejsca, służby, sposobu do życia?

— Proszę, a cóż panu do tego? odpowiedziała idąc już daléj nieznajoma.

— Ale stójże, zatrzymując ją, wołał Edward; nie wiedzieć czego boisz się mnie. Ja nie jestem z tych młodych ludzi, którzy dla twarzyczki tylko gonią za dziewczętami, mogłaś mnie widzieć modlącego się — Uczułem litość nad twoim losem, zwierz mi się i zaufaj.

Dziewczyna wstrzymała się znowu, zastanowiła i spójrzała Edwardowi w oczy ciekawie, ale nic nie powiedziała. Zdawała się zdziwiona niezmiernie.

— Trzy dni jak codzień widzę cię rano i wieczorem u Ostréj-bramy; czuwałem nad tobą, gdyś spała pod galerją; słyszałem cię narzekającą przez sen, płaczącą przed Obrazem. — Musisz być nieszczęśliwa; może niémasz sposobu do życia, może —

— Ale zkądże ta litość? spytała dziewczyna naiwnie.

— Albož ona jest tak dziwna?

— Nie dziwuję się jéj, ale boję od pana— odpowiedziała.

— Dla czegoż? mamże minę zbójcy?

Dziewczyna kręcąc końce chustki nic nie odpowiedziała, spuściła tylko głowę.

Edward sam kończył—

— Pojmuję zresztą, moja miła. Całe życie widziałaś młodych roztrzepańców i boisz się mojéj młodości?

Uśmiéchnęła się dziewczynka i kłaniając się powiedziała.

— Dobranoc!

— Ale poczekajże na Boga, nie lękaj się choć kilka słów przemówić—Masz-że ty już służbę, boś jéj nie miała wczoraj jeszcze, kiedy ta stara żebraczka...

— Zkądże pan? —

— Mówię ci, żem szpiegował dni kilka.

— Mnie! umyślnie!

— I stałem nad tobą, gdy—dodał Edward, gdy ci N. Panna zesłała we śnie jałmużnę!

— To pan!! zdziwiona krzyknęła dziewczynka.

— Wszystko widziałem; miałaś wówczas sen niespokojny, przez sen wołałaś do Matki Bozkiéj, aby się zlitowała nad sierotą, nad Julką. — Wszak nazywasz się Julka?

— Zkądże pan to wiész?

— Powiedziałaś przez sen.

— A! a! przerwała dziewczynka, i pan wszystko słyszał! a ja—oczu już nie podniosę.—

— Nic złego nie słyszałem—lecz wiém żeś biédna. Wracasz do miasta, musiałaś znaleść służbę?

— Nie panie! odpowiedziała dziewczynka; kiedy pan już tak gwałtem chce wiedzieć, to powiem, cóż robić—Z téj jałmużny założyłam sobie sklepik szkaplerzy, obrazków i paciórek, z którym siedzę w Ostréj-bramie; a tu niedaleko najęłam mizerną izdebkę w suterenach.

— Z czegoż będziesz żyła?

— Z czego? spytała sierota głosem zadziwienia i odwagi—a mój sklepik, a mój zysk, który mi da Matka Boża, pod któréj kościołem siedzę?

— Ubogie to będzie życie, bardzo ubogie.

— Ale swobodne, rzekła Julka—już za nic nie chcę służby! za nic! to niewola, to nędza! Bylem miała choć suchy kawałek chleba, na co mi więcéj!

— Ale sama jedna, bez pomocy, rady, opieki, tak młoda, cóż ty poradzisz?

— Mam Opiekunkę.

— Kogo? gdzie?

Odwróciła się ku Ostréj-bramie i przeżegnała, mówiąc—Matkę Bozką!

— Słuchaj, rzekł Edward po chwilce milczenia, a naprzód odpędź wszelki strach, wszelkie niedowiarstwo. Widziałem cię w największém twojem nieszczęściu, pobożność twoja podobała mi się, interessujesz mnie: jeślibyś kiedy potrzebowała mojéj pomocy, zgłoś się do mnie, oto mój adres i nazwisko. Teraz na początek handlu daję ci jeszcze sto złotych, najmij lepsze mieszkanie — Za moją litość zapłacisz mi, jeśli opowiedzieć zechcesz, co cię do tego stanu przywiodło, żeś nie miała gdzie głowy położyć?

Dziewczyna zdziwiona, przelękła prawie na widok pieniędzy, cofnęła się.

— Cóż to, boisz się znowu?

— Panie! ale panie! bąknęła, bo prawdziwie, bo —

— Weź to jako dar Matki Bożéj, nie mój, jako nagrodę ufności w jéj opiece. Jutro nad wieczorem, przyjdę do twego sklepiku pogadać z tobą.

— Ach! zmiłuj się pan, zakrzyknęło dziewcze, wzięte oddając pieniądze, nie czyńże tego, proszę! nie czyń.

— Czemuż?

— Ja nie chcę, nie chcę, dośćby na moją zgubę jednéj takiéj rozmowy.

— Przecież się muszę dowiedzieć więcéj o tobie.

— Ach, ale nie tam—wszyscy będą myśleli —

— Do siebie nie pozwolisz mi przyjść i o to nie proszę—toby ci więcéj szkodzić mogło.

Dziewczynka témi słowy zdziwiona, nabrała odwagi od nich.

— Jutro wieczór u Ostréj-bramy — pod Obrazem; będzie święty swiadek rozmowy, a ja nie tyle się będę lękać.

IV

Mamże mówić o niespokojném oczekiwaniu jutra Edwarda?—nie, szeroko o tém piszą tylko ci, którzy sztukować się muszą rzeczami oklepanemi, którzy w braku ładunku prawdziwego, pakują balast nic nieznaczący; my (nie wyrzekając się na dal, bo to ludzka rzecz) damy temu, ten raz przynajmniéj, pokój.

Jak tylko dzień zmienił się w wieczór, któren wieczorem z biedy tylko nazwać było można, bo jeszcze zmierzchać nie poczynało, Edward poleciał do Ostréj-bramy. Zastał już tam Julkę, która klęczała i modliła się, mając przy sobie w chustce zawinięty cały swój sklepik, tylko co z zydelka zdjęty. Szanował Edward modlitwę i stanął zdaleka; jeszcze też ulica nadto była ludna, aby nie narażając się na śmieszność, na dziwaczne przechodniów domysły, można było usiąść do rozmowy pod oczyma owego świata miejskiego, który sam zepsuty, we wszystkiém widzi, (tam nawet gdzie go niéma) złe tylko. Powoli też ruch ustawać począł, Julka skończyła modlitwę i obejrzała się.

— Dobry wieczór, rzekł Edward.

— Dobry wieczór odpowiedziała smutnie.

— Dziękuję ci za dotrzymanie słowa.

— Niéma za co; odezwała się prawdziwie, teraz, jakem się namyśliła.—

— Cóż takiego?

— Tutaj, w tém świętém miejscu.

— Nie zechcesz zapewne rozmawiać—podchwycił Edward.

— Nie potrafię—ja tu tylkobym się modliła.

— Gdzież więc?

— Ale ja nie wiém! prawdziwie.—

— Pozwolisz mi wejść do siebie?

— Pan jesteś nabożny—ufam panu—pan jesteś tak dobry—ale—boję się ludzi; przerywanym głosem tłumaczyła się Julka.—Gdyby kto widział, że pan jesteś u mnie, pomyśleliby, że jestem nie dobrego.

— Jak chcesz, rzekł Edward, który pałał ciekawością bliższego poznania osobliwszéj dziewczyny— Jeśli nikt nie przychodzi do ciebie, któżby mnie zobaczył?

— No to chodźmy, biorąc swój węzełek i ogarniając się chustką, odpowiedziała Julka —Nie daleko ztąd; tylko że nie wiem jak pan wejdziesz— u mnie tak mizerna izdebka.

— Chodźmy, chodźmy! zawołał Edward. Poszli w milczeniu.

Minąwszy Cerkiew Ś. Ducha, dziewczynka zwróciła się na prawo, ku jednéj z większych kamienic; poszła prędzéj, potém zastanowiła się, obróciła i rzekła.

— Uważaj pan gdzie wejdę, a daj mi czas przynajmniéj świécę zapalić; przez litość nad biédną dziewczyną, żeby nikt nie widział.

— Dobrze, dobrze, odpowiedział Edward, któryby był w téj chwili przystał na wszystko; cofnął się i powolnie szedł z daleka.

Wkrótce ujrzał Julkę, odmykającą drzwi suterenu, i spuszczającą się w głęboką jego szyję. W chwilkę potém wyszła ze świécą, którą zapaliła u sąsiadki w dziedzińcu i przyniosła zakrywając fartuszkiem od wiatru.

Naówczas Edward obejrzawszy się ostróżnie do koła, przekonany że nikt go nie widzi, prędko przybiegł do drzwi, ale się u nich mimowolnie zatrzymał. Nigdy w życiu nie spuszczał się do podobnego mieszkania. Było to istne wejście do lochu, długim wązkim korytarzykiem, po wschodkach niezmiernie stromych, ślizkich i chwiejących się. Ciemno też było i w drugich drzwiach w dole a święcące przez szybę światełko, wiodło go tylko. Nareszcie nie bez trudności, dobił się tych drzwi drugich i wszedł powoli. Uderzyła go ciężka i wilgotna atmosfera tego podziemnego mieszkania, do którego światło dzienne i promienie słońca, nie dochodziły nigdy, bo kilko-szybowe okienko, na w pół w bruk zapadłe, nie dopuszczało ich. Izba była sklepiona, mur niebielony, zielony od wilgoci, piecyk maleńki i kominek na prawo; na lewo łóżeczko i zydel, skrzynka pod łóżkiem, składały sprzęt i wygodę całą. Na kominka kapturze paliła się świéczka, dziewczynka siedziała na zydlu z twarzą rękoma zakrytą, u nóg jéj leżał węzełek przyniesiony. Trzeba przyznać, że o ile tak mizerne mieszkanie czystém być mogło, o tyle niém było. Nad łóżkiem wielki niezgrabny obraz Matki Bożéj Ostro-bramskiéj, przylepiony był opłatkiem.

Ujrzawszy wchodzącego, podniosła głowę Julka, wstała i podeszła ku niemu.

— Ja jestem biédna, uboga, nieszczęśliwa sierota, pan bogaty i szczęśliwy—często podobni panu za żart mają zgubić kogoś; wszak tego nie uczynisz?

Edward odskoczył.

— Przysięgam ci na tę Matkę Bożą, przed któréj obrazem piérwszy raz cię obaczyłem, że nigdy myśli téj nie miałem i mieć nie będę! Nie ufasz mi, lękasz się?—pójdę.

— Ach panie! odpowiedziała Julka — sam powiedz, cóż to dziwnego, że nie ufam, że się lękam? Dałeś mi piéniądze, gonisz za mną, jesteś młody! Ludzie i litość udają.

— Więc, dobranoc ci i uspokój się, nie chcę cię niepokojem nabawiać, późniéj może gdy lepiéj mnie poznasz.

— Nie idź pan, nie — zawołała dziewczynka — przysiągłeś na Matkę Bożą, ja wierzę teraz, bo ktoby taką złamał przysięgę, tenby wart paść trupem jednéj minuty.

Była chwilka milczenia, dziewczynka uspokojona, pokazała na chwiejący się zydelek Edwardowi, a sama pobiegła usiąść na łóżku.

— Przyjąć pana niémam czém.

— Tém o co najmocniéj proszę, na co czekam, twoją historją.

— Och! odpowiedziała, smutna! I nie raz mi się wśród niéj łzy potoczą, bo ich było dużo w życiu—więcéj niż na moje lata być ich powinno. Zaczęły się bardzo wcześnie, a Bóg wie kiedy skończą! Ale nadzieja w Bogu i N. Pannie, że nie opuszczą sieroty.

— Jesteś tutejsza, z Wilna? spytał Edward naprowadzając ją na początek.

— Zaraz wszystko powiem.

Podparła się na łokciu, westchnęła, zaczęła.

V

— „Niewiem kto byli moi rodzice; znaleziono mnie maleńką w pieluchach, na słomie u bramy jednego domu na wielkiéj ulicy. Chciano podobno z początku odesłać do Siostr Miłosierdzia, ale potém jakoś zlitowała się nademną szynkarka, która na dole tam miała szynczek, wzięła i wykarmiła. Ona sama nie miała dzieci, kochała też mnie biédna.

Ja tego mało co pamiętam, jak przez mgłę, słyszałam tylko od ludzi. W kilka lat biédna kobiéta umarła i zostawiła mnie znowu na Bożéj opiece, bo Bóg, ojciec sieroty.

Siostrzeniec jéj, wyrzucił mnie z domu, nie myśląc karmić; a gdym siadłszy płacząc w ulicy, głośno wołała matki; ludzie się zaczęli gromadzić koło mnie, rozpowiadać o nieboszce i kląć nielitościwego siostrzeńca.

Młoda jakaś pani przechodząca wstrzymała się, spostrzegła dziécię, rozpytała o mnie i wzięła do siebie.

O! dobraż to była pani, nabożna, cierpliwa jak anioł, ale nieszczęśliwa, bo płakała często. Ona to nauczyła mnie modlić się i ufać w Bogu, ona dała mi wielki skarb na sieroce życie—pobożność, cierpliwość. Patrząc na nią musiałam ją naśladować i nigdy potém nie zapomniałam o niéj, o jéj macierzyńskich naukach. I ta umarła zostawując mnie małą, znowu bez opieki, samą jedną.

Mąż jéj, który tego anioła nie pojmował, nie rozumiał też litości dla bezużytecznéj sieroty. Poszłam z tego domu z wielkim bolem serca. Wzięła mnie potém jedna przekupka, z któréj kramikiem siedziałam długo w Ostréj-bramie, trzy lata prawie.

Nie mogę narzekać, życie to było roskoszne; gdy wspomnę jeszcze, łzy mi się kręcą po sercu. Rano bywało, szłam z moim stolkiem i towarem, gdy jeszcze spało miasto, przychodziłam na piérwszą mszą u Ostréj-bramy, któréj słuchałam często sama jedna, albo z kilku mleczarkami, potém szłam na swoje miejsce spokojne i siadałam. U mnie były do przedania obrazki N. Panny i Świętych, małe książeczki nabożne, abecadła, szkaplerze, krzyżyki, paciorki, wstążeczki, szpilki, pierścionki mosiężne, medaliki—tyle pięknych rzeczy, którym się wieśniaczki idące i wracające z targu, tak dziwiły! Dzień wschodził, siedziałam na świéżém powietrzu, wśród ludzi, targowałam złotych kilka, miałam co zjeść i byłam szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! Ludzie, których tyle się do Ostréj bramy zbiéra, wszyscy się modlili, wydawali mi się poczciwymi i dobrymi! Nie jeden kupiwszy co, dał groszyk dla biednéj dziewczynki, kupowałam sobie mléka, jabłek i długo błogosławiłam go. Wieczorem, o mroku gdy tylko żebracy przychodzą modlić się u Ostréj-bramy, szłam do domu, tu przędłam, albo pomagałam gospodyni. I sny moje wówczas swobodne były i wesołe. Nie raz pamiętam widywałam we śnie N. Pannę z Panem Jezusem, która mi rzucała grosz na mléko, lub bułkę białą! Teraz nigdy mi się to nie śni, często i przez sen nie można się nawet poradować, kiedy na jawie serce pęka. Szczęśliwemu i we śnie szczęście, biédnemu łzy i przez sen.

Mój Boże, jak ja pamiętam te trzy wiosny u Ostréj-bramy i te trzy lata. Zima tylko dokuczała trochę, bo nie było się czém okryć, trzeba było chuchać w ręce, bić nogami, żeby się rozgrzać. Inne przekupki miały żar w garnkach, śmiały się żem marzła; ja kiedy było bardzo zimno, myślałam o wiośnie i o lecie, albom się modliła.

Raz, w końcu tych trzech lat, wieczorem, chora czegoś wróciłam do domu, jesień to była chłodna, deszcz bijący z wrót, przemoczył mnie do nitki, bo miałam nie dobre miejsce; gorzéj jeszcze, pomokły szkaplerze i obrazki. Przekupka zobaczywszy to o mało mnie nie wybiła. Płakałam nie wiedząc co począć; w nocy siedziałam i suszyłam po jednemu wszystko przed kominem, ale że ogień był z trzasek mokrych i więcéj dymił niż grzał, do ranku przyszło i już dzwonili na czwartą, gdym robotę skończyła. Ledwiem się spać położyła, i usnęła płacząc, przebudziła mnie gospodyni z łajaniem, przypominając niedzielę i że chłopi rano bardzo na targ jadą, kazała zaraz iść z kramikiem do Ostréj-bramy.—Mnie się spać chciało, tak że padałam ze snu. Całą noc nie spałam, czułam się chorą, głowa ciężyła, nogi drżały, oczy się mrużyły, ale kto służy ten musi słuchać—poszłam.

W ulicy jeszcze nikogo nie było, w Ostréj-bramie nikogo, nawet przekupek co najraniéj siadały—zmrok i sen wszędzie, wszyscy spali, mnie tylko zasnąć nie dano. Usiadłam płacząc na mojem miejscu i ciężkim snem, oparłszy się o mur zasnęłam. Nie wiem jak długo spałam na moje nieszczęście, obudziwszy się mało nie umarłam z przestrachu—przedemną stał tylko goły kramik, paciorki, wstążki, obrazki, szkaplerze—wszystko znikło. O mój Boże! języka niémam na opisanie mojéj rozpaczy; wolałabym była umrzéć; rzuciłam się na ziemię płacząc, przekupki zaczęły śmiać się ze mnie—pobiegłam do Obrazu Matki Bozkiéj i prosiłam Jéj o pomoc, o ratunek — Ona cudowna, mogła cud zrobić, ale ja widać grzeszna nie byłam cudu warta, bo mnie nie wysłuchała. Nie wiedziałam jak się pokażę przekupce i chciałam z początku uciekać, ale pomyślawszy że ona mnie może o kradzież posądzić, że biédna ma troje dziatek a uboga, a ja powinnam przynajmniéj odsłużyć, kiedy nie mogłam zapłacić—poszłam do niéj, nie bez wielkiego strachu.

Przekupka nie zważając na moje łzy, wybiła mnie, odarła z odzienia i wypchnęła z domu. Odszedłszy kilka kroków usiadłam na kamieniu i płakałam; jakiś pan z panią szli ulicą, zaczęli do mnie gadać, rozpytywać się, a poszeptawszy cóś między sobą, kazali mi pójść. Poszłam za niémi dziękując Najświętszéj Pannie; Ona to ich sprowadziła;—i to był cud dla sieroty.

Pani moja i pan nowy bardzo byli dobrzy ludzie, łagodni, poczciwi, pobożni; żyli z sobą przykładnie i zgodnie, a mnie nie jak sługę domu, lecz uważali jak sierotę, któréj czynili dobrze dla miłości Bożéj. Dla czegoż tak krótko trwała spokojność, tak prędko wszystko się zmieniło! Tak dobrze było mi u nich! Ale na świecie, od wieków to powtarzają, długo być dobrze nie może, bo na to ten świat. Naprzód pani umarła, po któréj płakałam gorzko; potém pan zaczął słabnąć, chorzeć, z żalu usychać i nawet przytomność tracić powoli.

Jak tylko dowiedzieli się o tem jego krewni, pospieszyli do niego, obsiedli oni, opanowali bezsilnego staruszka i całym domem trząść zaczęli. Wkrótce z pana stał się ich sługą, a płacz brał patrzeć, jak z nim nielitościwie się obchodzono, jak często wszystkiego mu brakło, gdy słudzy obcych, brali i porywali pełnémi rękami.

Kilka razy ujęłam się za starego pana, nie da-

łam rozrywać jego dobra i niszczyć; ztąd gniew na mnie, odgróżki, a potém i zemsta. Słudzy obcych zmówili się na sierotę, i popełniwszy sami kradzież, jednogłośnie zwalili ją na mnie. Nie było dowodów żadnych, obrażona podejrzeniem pobiegłam do pana z płaczem i skargą na krewnych. Chciał mnie bronić, ale nadbiegli, w oczach jego łająć mnie zaczęli, domagać się aby mnie odprawił. Tyle krzykiem swoim sprawili na biednym, osłabionym starym, iż milczeniem na wszystko dozwolił. Nie miał siły się oprzeć. Płaczącą wyrzucono mnie za drzwi, wśród śmiechu, szyderstwa i najgrawań sług obcych. A! jakże mi się okropnie serce krajało, kiedym wychodziła z domu, w którym tak dobrze niegdyś mi było, w którym rzucałam biédnego starego pana, w ręku rozbójników! Lecz cóż począć było? Zabrawszy rzeczy, poszłam do Ostréj-bramy. Cały dzień tam przesiedziałam, całą noc — Pan widziałeś mnie i wiész resztę.

Edward, który z ciekawością słuchał naiwnego opowiadania Julki, powstał w téj chwili zadumany.

— Biédna sierota! zawołał, miałaś przeszłość ciężką, bez pociech, rodziny, opiekunów, rzucał cię los z tułactwa w tułactwo;—mam nadzieję, że przyszłość lepsza będzie.

Julka nic nie odpowiedziała.

— Umiész ty czytać? spytał po chwili Edward.

— Trochę.

— Cóżeś czytywała?

— Książki nabożne.

— Co za szkoda, pomyślał w sobie młody opiekun. Tak piękna, według wszelkiego podobieństwa pełna zdatności, oczéwiście rostropna i poczciwa, zginie w tłumie, na dnie gminu!

Chciał jeszcze coś do Julki powiedzieć, lecz ona wskazując na dogorywającą na kominku świécę, rzekła po cichu.

— Dobranoc panu, już późno.

Obejrzał się raz jeszcze Edward i wyszedł w ulicę milczący, myślący, niespokojny, sam nie wiedząc czemu i dla czego?

VI

Zwierzenie się jakiegolwiek rodzaju, jest wielkim węzłem; dwoje ludzi obojętnych sobie wprzódy, wiążą się czasem jedném słowem powierzoném tajemniczo, jedném wylaniem serdeczném, jedną powieścią o przeszłości. Edward uczuł się połączonym z tajemniczą sierotą, któréj los przeszły wiedział a przyszłości pomagał, ona także, choć z bojaźnią, rachowała trochę na jego opiekę. I nie samo opowiadanie dziewczynki tak ich połączyło, widzieliśmy wprzód, że Edward zajął się nią przez litość, przez ciekawość, przez jałmużnę, przez uczucie jéj niezwyczajnéj piękności. Wiele więc rzeczy, nie dało mu o niéj zapomnieć. Ona nawzajem, pamiętała o nim, myślała, bo musiała mu być wdzięczna.

Stosunki ich z sobą, nosiły cechy szczególne,— z jego strony delikatność, jakiéj w obcowaniu z niższemi nikt prawie nie czuje się obowiązanym zachowywać, udany czy prawdziwy chłód i rozwaga, bezinteressowność zupełna; z jéj strony, bojaźliwe niedowierzanie, wdzięczność lękająca się wynurzyć i okazać, codzienny strach, aby dobroczyńca nie zmienił się w charakterze i postępowaniu. Codzień się prawie widywali, codzień pytał ją o handelek, o zdrowie Edward; ona zawsze bojaźliwie, trwożnie odpowiadała, każdym prawie śmielszym jego ruchem przestraszona. Nie było jednak czego bać się tyle; Edward nie był ani tak zepsutym, aby ją uwiódł, ani tak ograniczonym umysłowie, aby ją mógł pokochać. Wdzięk twarzy, głosu, spójrzenia, działał na nerwy młodzieńcze; lecz odrobina uwagi rozpędzała uroki.

Edward marzył o miłości, kochał dawniéj, ale jak wszyscy młodzi, w téj namiętności niebieskiéj szukał pokarmu dla duszy, pokarmu myśli, nie rozrywki ciału;—marzył kochankę Korynnę, któraby go pojęła, exaltacją upoetyzowła i sam szał opasała kwiatami wyobraźni. Mógłże potém pokochać biédną Julkę, tak ubogą, tak niepoetyczną z blizka, tak prozaicznie siedzącą z kramikiem u Ostréj-bramy? A jednak, jednak gdy wpatrywał się w rysy jéj twarzy, gdy rozbierał znaczenie jéj spójrzenia, intencyą i myśl uśmiechu, nie raz nie raz marzył, że ona chyba udaje prostotę, bo nie pojmował, jak tak piękna, mogła nie miéć poetycznéj duszy? Ileż to razy podobnie zachwyca nas, kobiéta wiele mówiącém spójrzeniem i ciągnie, i obiecuje światy ideałów—dopóki się nie odezwie, nie przemówi.

Posąg który Pigmaljon starożytnych, chciał ożywić, pokochawszy kształty jego cudowne, nie tyle go dręczyć musiał swoją nieczułością marmurową, ile nie raz dręczy kobiéta, któréj duszy brakuje. A ileż takich kobiet w świecie, tysiące, miljony; — mijasz je, spoglądasz, wszystkie obiecują póki milczą i serca młode i umysły wyższe, ukształcone; w ich oczach czytasz marzenia wielkie, w uśmiéchu dowcip, w poruszeniach uczucia! Prośże niech milczą, niech milczą; bo zginąłeś gdy tylko usta otworzą. Czasem osłupiejesz zdumiony, gdy z oczu co innego, co innego z ust wyleci; ale któż winien? ty sam łatwowierny młody chłopcze, który cieniebyś ściskał po nocy, gdyby tylko westchnieniem nic nieznaczącém się odezwały.

Nie mamy za złe kobietom żadnego zwodzenia za które dawniéj tak bardzo na nie wykrzykiwano, żadnego, prócz tego jednego. Czemuż nie są po większéj części tak piękne w środku, jak po wierzchu? czemu obiecują duszę, gdy nie mają tylko instynkta? czemu świécą poezją przez oczy, gdy nie czują co poezja? czemu uniesienie grają, gdy wewnątrz nich chłodno jest jak pod północnym biegunem? A tu znowu potrzeba uniewinnić kobiety i oneby nie oszukiwały, gdyby z jednéj strony— ale dajmy temu pokój, bośmy się puścili manowcami, jak podróżny który postrzegłszy kwiatki, rzuca gościniec, aby się im przypatrzéć bliżéj; wróćmy do Edwarda i Julki.

Czego najbardziéj, na widok pięknéj dziewczynki doznawał Edward, to przykrego uczucia politowania, nad zaniedbaném jéj ukształceniem. Zdawało mu się, był przekonany, że gdyby inny świat, inne wyobrażenie ją otoczyły, stałaby się czémś niewidzianém, cudowném, istotą rzadką, łączącą w sobie wszystko co tworzy ideał. Zajęty nią i zajmujący się coraz bardziéj, potrzebował, téj hypothezy, na wytłomaczenie przed sobą, swojego przywiązania ku niéj. Tymczasem hypotheza ta zupełnie *a priori* wzięta, zasadzała się na jednym tylko exystującym przymiocie—piękności. Z niéj domyślał się Edward reszty, za oznakę pięknéj duszy, biorąc tę pobożność posunioną do exaltacji, która cechowała sierotę.

Witając ją z rana, dobranoc mówiąc wieczorem, przechodząc, poglądając nazwyczajał się Edward patrzéć na tę twarz tak wdzięczną i powziął coraz

silniej myśl, próby ukształcenia, które wprawdzie przychodziło trochę późno — ale rachował na excentryczność istoty, na jéj zdatności, a trochę na tę empiryczną edukacją, którą daje miasto, a która przysposabia (jeśli nie zawadza) do dalszego potém ukształcenia.

Julka okazywała, że ta edukacja miejska, którą się prawie łapie w powietrzu, a która jednak czyni o wiele umysłowie wyższym miejskiego od wiejskiego mieszkańca, nie była dla niéj stracona. Skorzystała z niej, nie tak jak wiele kobiet i mężczyzn, którzy złe tylko wsiąkają w siebie, ona wsiąknęła co lubiła; to co było piękne, dobre, poczciwe; wsiękła też urywkowe wiadomostki, nabrała śmiałości — Ale czego nikt jéj nie dał, tylko Bóg przy urodzeniu, to takt szczególny w postępowaniu, w ruchu, w mowie, jakieś przeczucie szlachetności i przyzwoitości, jakiś instynkt który wiódł jéj postępowaniem i językiem. Ten to takt, najwięcéj obiecywał Edwardowi, gdyż będąc czasem towarzyszem głupstwa w wyższych klassach towarzystwa, w niższych jest zawsze oznaką wielkich zdolności.

Gdybym miał czas, łatwobym ten pozorny paradox wytłumaczył, lecz idźmy daléj, nie mamy czasu do stracenia; powiedziałby kto potém że się tylko sztukujem.

Chcąc jednak coś więcéj zrobić z téj dzi ewczynki, Edward nie wiedział zupełnie, jak się wziąść do tego. Późno już było myśleć o porządném wychowaniu, sam jéj stan czynił je niepodobieństwem. Pomyślał Edward o książkach, lecz przebiegłszy je wyobraźnią, przekonał się, że ci którzy nie systematycznie kształcą się czytaniem bez wyboru, wprawdzie mogą w końcu odnieść ztąd korzyści, ale też narażają się na niebezpieczeństwo. Kropelki prawdy pływają w książkach, roz prawione morzem fałszów i czczych dodatków, wyciskać je potrzeba jak odrobinę farby z wielkiéj ilości przygotowanego materjału. A ileż razy barwa wyjdzie nieczystą i zalaną mętami? Widział także, iż prosta dusza istoty naiwnéj, wieleby rzeczy w książkach wzięła za prawdy, które tam są rzucone szyderczo, nierozmyślnie lub dla wyśmiania tylko. Pojmując jednak niebezpieczeństwa kształcenia się na książkach, Edward nie widział dla swéj wychowanicy innego; a w części usunąć myślał zły wpływ, dobrym wyborem, który miał uczynić! Tak więc mimo wszystkich uwag ostrzegających, Edward przedsięwziął namawiać Julkę, aby długie godziny próżnego życia, sprobowała zająć czytaniem.

— Naówczas, mówił do siebie, gdy się ta piękna dusza, spiąca jeszcze w pączku, rozwinie, gdy rozkwitnie, cóż to za anioł będzie! Ona dziś ubrana w suknią wytworniejszą, nie jednąby z naszych panien zawstydziła, cóż dopiero późniéj!

Ale Edward, jak wszyscy ludzie, którzy dogadzają sobie, nie pomyślał jakie z tego ukształcenia niestosownego dla stanu jego wychowanicy, wynikną następstwa; nie spytał siebie o przyszłość, nie zastanowił się czyli to będzie szczęściem dla Julki.

I jednego wieczora, naprowadził rozmowę na książki. Szli właśnie ulicą od Ostréj-bramy do jéj mieszkania.

— Julko, spytał, nie nudzisz że się ty siedząc dzień cały bez zatrudnienia za twoim kramikiem!

— Bez zatrudnienia? podchwycila. A to pięknie! przecież robię pończochę, muszę uważać na przechodzących, a do tego modlę się jeszcze.

— Są jednak godziny próżne, nie nudzisz że się, nie czujesz potrzeby, jakiego innego szlachetniejszego zajęcia?

— Mówiłam panu, że się modlę! powtórzyła nic pojmując o co chodziło.

— Nie zawsze jednak i modlić się można.

— Jak to? niezawsze? zdziwiona podchwyciła.

— Juściż czasem, rzekł Edward, są chwile.

— Doprawdy, nie rozumiem.

— Nigdyż ci na myśl nie przyszło, rzekł już wyraźniéj, żeby co przeczytać?

— Gdybym była w innym stanie, odpowiedziała dziewczynka, ale w moim—na cóż to mi się zda?

— W każdym stanie, moja droga, im kto więcéj umie, pozna, tém lepiéj.

— Może to być prawda, obojętnie odezwała się dziewczynka.

— Chciałbym, rzekł Edward, abyś czytała, będę ci dawał książki—wybiorę je sam, powoli poznasz z nich świat lepiéj, ludzi, Boga, wszystko.

— Bardzo dziękuję panu, bardzo dziękuję, ależ—

— Ale co?

— Ale tyle mówią złego o książkach, mówią—słyszałam.

— Są złe i dobre, ja sam ci je wybiorę.

— Jednakże, po chwilce dorzuciła Julka, książki pisane dla tych co już coś umieją, ja nic nie umiem, to próżno będę czytała, pewnie ich nie zrozumiem.

— I na to jest sposób, rzekł młody opiekun, od łatwych przejdziesz kolejno do trudniejszych, od tych do trudniejszych jeszcze, trochę uwagi, a pojmiesz potém wszystko, byle byś chciała.

— Chęci mi nie zabraknie, ale wątpię czy co z tego będzie! A potem, ja muszę pracować, ja niemam czasu jak panowie i panie, co całe dni czytają tylko.

— Sprobuj jednakże.

— Kiedy pan każesz—

— Ja tylko proszę—Oto pierwsza książka, po niéj dam inną.

Dziewczynka wzięła dość obojętnie, ukłoniła się i weszła do swojéj podziemnéj izdebki.

VII

Z ciekawością, z niepokojem nieopisanym, Edward upatrywał postępów swojéj wychowanki. Z początku były one bardzo powolne; czytała niejako z przymusu, z nakazu, póki nie chwyciła ją ciekawość, zapał, póki zrozumianych słów kilka, zwyciężoną trudnością nie wwiodły ją w dalszą drogę. Jakkolwiek Edward dobiérał książek; nie mogły one być dla niéj zupełnie stosowne, ztąd nie raz gdy ich pojąć nie mogła, wytłumaczyć sobie nie umiała, traciła ochotę. Ale to były początki tylko; w miarę jak oswojona z językiem, z słowy, z myślami, wchodziła w świat pisany, tak różny od jéj ulicznego świata, żądza poznania, dowiedzenia się, nauczenia ogarniała jéj duszę.

Razem znowu z postępem tym, rodził się w jéj piersiach smutek, tęsknota, niepokoj. Ucząc się więcéj, poznając, pojmując, zaczynała jakby brzydzić się sobą, jakby tęsknić za czém lepszém. Broniła ją wprawdzie pobożność, lecz dziewczynka nie mogła bez pomocy cudzéj, wznieść się tak wysoko duszą, aby w młodości pogardzić wszystkiem a niczego nie żałować—Wzdychała mimo woli do Matki Bożéj, pytając czemu tak była biédną. Niedawno jeszcze ubogi kramik i licha izdebka, były dla niéj wielkiém szczęściem, teraz gorączka powolna trawić ją zaczynała, spoglądając na siebie,

na otaczających których już nie rozumiała, którzy jéj nie pojmowali, a z którymi jednak żyć musiała.

Wszystko to rodziło się stopniami, powoli, jedno z drugiego—Edward nie postrzegał nic, prócz zadziwiającego wkrótce postępu dziewczyny.

Jak w samych początkach, oporem szła nauka, tak gdy próg tylko przestąpiła, poleciała, schwyciwszy nić, wiodła się nią szybko, nie potrzebując objaśnień, połowę zgadując, połowy się domyślając, niektóre rzeczy zdając się sobie przypominać, jak gdyby je kiedyś wiedziała. Jest wiele umysłów które jakby przypominają sobie tylko ucząc się; znak to usposobień wielkich po większéj części. Powtarzamy, Edward upojony radością, coraz z rozmowy, z uwag, z prośb o nowe książki przekonywając się o postępach dziewczynki, nie uważał zmiany jéj humoru, pewnego smutku, który się codzień widoczniéj rozlewał po twarzy i wymykał ustami, pewnego niepokoju którego nawet pobożność zwyciężyć nie potrafiła. On szczęśliwy, że rozpromienił tę duszę, doznawał nieopisanych roskoszy, słysząc ją mówiącą teraz całe inaczéj, pojmującą inaczéj. Czuł się twórcą.

Każdą iskierkę, łapał w rozmowie, nosił w sercu, exaltując się i rojąc nadal więcéj a więcéj jeszcze. Podobny był w téj chwili podróżnemu, który naniosłszy gałęzi, długo ogień dmucha, a gdy rozpali go, cieszy się z płomieni, choć one jutro las cały pochłoną. Zaslepiony na wszystko swém szczęściem, młody nauczyciel goręcéj jeszcze przywiązywał się do uczennicy. Ze swéj strony Julka, coraz śmielsza z nim i poufalsza nie obawiała go się, a mimowolnie codzień go widując, coraz bardziéj ceniąc i serce i umysł, przywiązywała się do niego.

W téj chwili obojga ich ku sobie uczucie, nie było jeszcze namiętnością, nie było nawet gwałtownėm przywiązaniem, a miłości, owéj wielkiéj, choć może były już zarody, drobne jednak i niedojrzane. On widział ją piękną, ale myślał najgoręcéj o ukształceniu które przedsięwziął i z którego uczynił sobie rodzaj próby, interessującéj jego miłość własną.— Ona widziała go dobrym, litościwym, ale miała go za zimnego. Czasem mimowoli przemyśliwała, jak to być może, żeby tak młody człowiek, nigdy jéj słówka nie powiedział *którego się obawiała*—i tłumaczyła to sobie swojém ubóstwem, poniżeniem, przypisywała sobie głupotę, poczynała nie wierzyć piękności. Świat którego kątek ujrzała już czytając, świat wesoły, bogaty, strojny, nie raz oczy jéj ku sobie pociągał i serce. Myślała, gdybym na nim była — wszystkoby się znalazło, czego mi braknie — piękności dodałyby stroje, rozumu piękność; w nędzy, w pracy, cóż się wydać może? Czuła jednak że coś była warta, czuła jak wszyscy jéj podobni, że może tyle, może więcéj nawet warta była od innych.

Najlepszym dowodem złego wyboru środków ukształcenia, jakie obrał Edward, były ich skutki. Powiedzieliśmy już jak Julka w miarę postępu, traciła wesołość, swobodę, stawała się ponurą, zamyśloną, niespokojną, czuła się jakby nie na swojém miejscu. Wkrótce ten rodzaj życia zbrzydł jéj zupełnie, nudziło ją siedzenie z kramikiem, nudzili ją kupujący, nudziły przekupki, które się z niéj przedrwiwały, modlitwą tylko słodziła życie zatrute wiadomością złego i dobrego, wprzód spokojne i szczęśliwe o ile być mogło, teraz nieznośne. Powrót do dawnego był niepodobny, drzwi się za nią zamknęły nawieki—człowiek wszystkiego nauczyć się i dowiedzieć potrafi, tego co mu najmocniéj cięży zapomnieć nigdy. Jakiejże to potrzeba uwagi w wyborze myśli któremi się żywim, kiedy raz wzięte, mogą nas na wieki nieszczęśliwymi uczynić, a pozbyć się ich potém niepodobna.

Edward jeszcze był ślepy, jeszcze innej odmiany, prócz postępu nie widział, może też dziewczynka taiła przed nim myśli i uczucia swoje, wstydząc się ich trochę, przez dumę. Nie chciała dać poznać, że żądała czegoś więcéj nad to co miała. Czując się strutą i nieszczęśliwą Julka jednak nie odpychała trucizny, coraz to co innego dawał jéj czytać Edward, coraz to żwawiéj pożerała, a on tylko zdolnościom się dziwił. Tak rok i więcéj ubiegł, rok który zmienił przyszłość ich obojga, zarodami które zostawił po sobie. W istocie chłodny nawet widz, musiałby przyznać, że prosta dziewczynka, która ledwie czytała książki nabożne, cudownie postąpiła, gdy w końcu czytała i rozumiała wszystko, co zwykle najlepiéj wychowane czytają kobiéty. Edward już mógł z nią swobodnie rozmawiać, pewny był że go pojmie, nie wstrzymywał się jak dawniéj, nie pilnował ustawicznie, był sobą samym. Naówczas nie mogąc się dość nasycić, nacieszyć dziełem swojém, wymykał się z domu, uciekał od wszystkich, biegł do niéj, i wpatrując się w czarne oczy, które już zwykły mówić od duszy, bo dusza była, żyła i objawiała się; wyobrażał sobie że schwytał anioła lecącego nad ziemią i przytrzymał za skrzydła.

Kiedy piérwszy raz wylał się z myślami, i uczuł się zrozumianym, pojętym, kiedy piérwszy raz poznał z jéj odpowiedzi, że stali na jednym świecie—Edward uczuł nagle że kochał —Tak być musiało.

VIII

Nie powiedział jéj Edward co uczuł, a jednak, ona się domyśliła wszystkiego, zadrżała, posunęła rękę po czole i smutnie dumając została w swojéj izdebce.

Przebiegła myślą swój los, stanęła nad ostatnim rokiem, przejrzała go i pożałowała przeszłości, bo lękała się jutra. To uczucie którego się domyślała w Edwardzie, miłe jéj było, pochlebiało jéj, odpowiadało jakiemuś niepojętemu bojaźliwemu oczekiwaniu, a jednak jakby przeczuciem, zlękła się postrzegłszy je, domyśliwszy się go.

— Co będzie! co będzie! ty jedna wiész Matko Boża, zawołała, i ty odwróć złe od biednéj sieroty! Ach! pocóż on mnie poznał, a jam świat poznała i weszła tam, gdziem nie powinna była przestępować progu!

Duszno jéj było w izdebce, ciasno, wybiegła w ulice, odetchnęła całemi piersiami, pochwyciła się za głowę.

— A ja? a ja? spytała—kochamże go? Spójrzała w siebie.

— Gdyby mi przyszło nigdy go nie widzieć? Zdaje się żebym umarła! Edward to mój ojciec, świat, nauczyciel, dobroczyńca i anioł stróż! Ale niech on o tém nie wié, niech nigdy nie wié, że mi popsuł życie, i że ja go kocham! Moja miłość zatrułaby jego los cały, a wiedząc o nieszczęściu, wymawiałby je sobie. Nigdy wiedzieć nie będzie, nigdy!

W tej chwili tak się czuła znużoną, niespokojną, biédną, że zwróciwszy oczy w stronę Ostréj-bramy, przypomniawszy ile razy w modlitwie znalazła pociechę, zwróciła się na światełko błyszczące przed

Obrazem. Biegła nie szła, wsunęła się pod galerją na dawne miejsce i padła na kolana.

Chciała się modlić, nie mogła, dziwne, straszne, niepojęte myśli sunęły się po głowie rozżarzonéj jak senne widma, zaczynała i nie kończyła i zapominała o modlitwie. Postrzegłszy to rozpłakała się nad sobą.

— Takżem zepsuta, zła, tak zajęta sobą i światem, że mi nawet ostatni ratunek nic pomódz nie może? I ty Matko Boża, odpychasz mnie! kiedy najwięcéj cudu mi Twego i opieki potrzeba; bo jakże mój stan i przyszłość pogodzić z tém, co się dzieje w duszy, co się gotuje przedemną! O! Matko Boża! daj mi wytrwać, daj mi wyjść z walki czystą, bez zgryzoty, nieszczęśliwą, ale niepokalaną! Daj mi wybrać raczéj cierpienie i cnotę, niż roskosz i występek. Matko Boża, Matko Boża, ześlij mi śmierć, gdy będę miała upaść!

Tak duszą modliła się dziewczyna, któréj modlitwy jéj dawne, na teraz wystarczyć nie mogły; znajdowała je zimnemi, często niezrozumiałemi, jak wszyscy, którzy chcąc się modlić szczérze, uciekają się do prawdziwéj, do jedynéj rozmyślanéj modlitwy.

Klęczała długo, płakała, myślała; potém powolnie odeszła do domu, o sobie, o Edwardzie, o przyszłości dumając, spokojniejsza już nieco, bo ufna w opiece Bożéj, do której jeszcze czysta, uciekała się z dziecinnych lat zapałem.

Nazajutrz po nocy bezsennéj, Julka nie poszła na miejsce swoje w Ostréj-bramie, wstała i pobiegła odetchnąć za miastem. Edward niespokojny, nie zastawszy jéj tam, gdzie codzień spotykał, pobiegł do mieszkania, do którego próżno kołatał, drzwi były zamknięte. Tysiąc myśli przeleciało mu najstraszniejszych po głowie, tysiąc razem niebezpieczeństw ujrzał, których nigdy nie widział dotąd, poleciał jak szalony, nie wiedząc co począć z sobą. W godzinę znowu przebiegał tęż ulicę, pukał do tych drzwi, a nikogo nie było, nikt nie odpowiedział. Niespokojność, domysły rosły olbrzymio, podobny szalonemu, nie umiejąc sobie poradzić stał jak słup naprzeciw mieszkania Julki, lub latał nie wiedząc dokąd, jak opętany.

Spotkał ją gdy wracała do domu; a cały uradowany, przejęty, poskoczył nie patrząc co czyni.

— Na Boga! gdzieżeś była! zawołał, oto już dwie godziny jak szaleję, latam i ledwie z niespokojności nie zwarjuję! Co ci się stało!

— Nic mi się nie stało, odpowiedziała Julka miarkując uczucie, które ją przejęło na widok zapału Edwarda—czułam się chorą i poszłam przejść się za miasto.

— Ależ mnie ciężką nawiedziłaś godziną! To mówiąc otrząsnął się i odetchnąwszy, spokojniejszy, pojąwszy ze nie moze z nią rozmawiać w ulicy, pozegnał i uciekł.

Niespokojność ta objaśniła Edwarda o własnych uczuciach, które wprzód pojmując, sam taił przed sobą. Teraz niejako uczynił sobie wyznanie, za którém naturalnie poszło zastanowienie nad przyszłością.

— Kocham ją, rzekł w sobie—tak jest—ale cóż z tego będzie? Mogęż się z nią połączyć? mogęż jéj poświęcić świat, jego wymagania, jego prawa, krewnych, rodzinę, wszystko? kochaż mnie ona? Jeśli kocha, co za przyszłość? jaki koniec?

Na pytania nie umiał dać odpowiedzi, lecz jak zwykle w takich razach, chwilkę zastanowiwszy się nad skutkami, nie mogąc ich wyrachować, wrócił do użycia teraźniejszości, do bezmyślnego nasycenia się swojém uczuciem, które jakkolwiek grożące nadal, roskoszne było samo w sobie. Jakże to mało jest ludzi tak wielkiego, bohaterskiego charakteru, coby przed poczynającą się namiętnością, przed jéj urokami, na widok przyszłości groźnéj swojéj lub cudzéj, cofnęli się? Najczęściéj człowiek kiedy sumienia swego zaspokoić nie umié, rozbrat z niém czyni i rzuca się ślepo w ręce losu, myśląc że przecież, jakiś koniec wszystkiemu być musi.

Tak właśnie uczynił Edward, a wiedział sam że źle robił, ale był słabym. Wistocie stworzyć duszę do swéj duszy, rozwinąć ją, ukształcić w swych ręku, a potém gdy kwitnie, gdy w całym blasku jaśnieje, ustąpić, porzucić, wyrzec się swego tworu?—Któżby miał siłę na taką ofiarę?

Chciał przynajmniéj wykreślić sobie dalszą postępowania drogę, choćby oczy na jéj cel i koniec zamrużyć, ale i tego nie potrafił, tak się w nim wszystko burzyło, tak gorzał cały spodziéwaném szczęściém, spodziewaną miłością, miłością niezwyczajną. Zamiast zastanawiać się nad sobą i nią, on marzył i zgadywał rozmowy wieczorne, oświadczenie, odpowiedź, wielkie owe epochy historji namiętności, którą czynił sobie długą zapalczywą, roszkoszną.

Z myśli w myśl wpadając, uczuł, że Julka, która już nie jest tém, czém była przed rokiem, powinna mieszkanie i zajęcia odmienić. Przewidywał jednak, że trudno ją będzie do tego nakłonić, bo nie wiedział, jak ona sama znudzona i udręczona była swém życiem.—Umié roboty, będzie się z nich utrzymywać na oko — mówił w sobie — wistocie ja ją utrzymywać będę, to mój obowiązek teraz. Najmę jéj skromne, ubogie mieszkanie, ale takie w którémby przynajmniéj żyć można, oddychać powietrzem i widzieć choć nieba kawałek. Musi na to przystać!

Z temi nowemi myślami wieczorem znowu sunął się ulicą, mimo jéj mieszkania, mimo Ostréj-bramy. Nigdzie nie postrzegł Julki, zmierzchało, obejrzawszy się wszedł do niéj. Ona była u siebie Gdy drzwi otworzył, obejrzała się, ale nie zadziwiła postrzegłszy go.

— Przyszedłem dowiedzieć się o twoje zdrowie.

— O! ja juz jestem zupełnie zdrową! odpowiedziała z udaną wesołością.

— Wiém teraz od czego byłaś chora, mówił daléj Edward, tysiąc razy przewidywałem, że to obrzydłe mieszkanie szkodzić ci musi. Jabym tu więźnia nie zamknął.

— Ubodzy, rzekła Julka, i zdrowie mają twardsze i cierpliwość z konieczności, mnie tu dobrze.

—To być nie może, odpowiedział żywo Edward— ty sobie wmawiasz, oszukujesz siebie, ja ci tu dłużéj mieszkać nie pozwolę.

Julka obróciła się zdumiona.

— Dla czego?

— Jakże młodemu żyć można, bez powietrza, słońca, i widoku świata i nieba?

— A kiedy musi?

— Niéma w tém musu dla ciebie.

— Jakże to pan wiész?

— Jutro ci dam inne mieszkanie.

— Czekaj pan, przerwała Julka, Pan mi możesz chcieć dać wiele, ale ja przyjąć czy mogę?

— Teraz ja spytam, dla czego?

— Pan nie wiész, co to jest wdzięczność i obo-

wiązek, jakie to brzemie, kiedy tego długu niéma czém wypłacić. I tak już za wiele winnam.

— Ty mnie? chyba ja tobie! Gdybyś wiedziała, jak czyniąc to byłem szczęśliwy!

Dziewczynka zamilkła, on mówił daléj.

— Ale słuchaj mojego projektu. Ten handel mało korzystny a poniżający, wystawujący na wszystkie przykrości jakie są zwykle skutkiem obcowania z klassą najniższą.

— Do któréj i ja należę, przerwała Julka.

— To fałsz zupełny, sama czujesz że nie, odpowiedział młody opiekun. Ani twoje zdrowie, ani twoja młodość nie wytrwa niepokalana, nietknięta, niezwiędła w takiém życiu. Ja nie odwodzę cię od pracy, owszem, podaję ci tylko inną, umiész roboty, z nich łatwo się utrzymasz. Mała para pokoików, które ci najmę nie wiele będzie kosztować, wybiorę je ustronne, ciche, spokojne, daleko od oczów ludzi.

— Ale na cóż to wszystko? z biciem serca odpowiedziała Julka, nie umiejąc opiérać się mimo chęci, bo serce jéj skakało do swobodniejszego życia.—Na co to wszystko, kiedy mnie i tak dobrze?

— A tak będzie lepiéj, i sto razy lepiéj, rzekł Edward. Pozwól mi się w to wdać jako opiekunowi, który cię jeszcze przecie ni razu nie zdradził.

To mówiąc wziął ją za rękę; dziewczyna była pomieszana, ćmiło się biédnej w oczach, serce biło gwałtownie.

— Więc zgoda? spytał.

O! ja sama nie wiém.

— Spuść się na mnie, ja ci źle nie życzę. To jest jaskinia nie mieszkanie, niepoczciwy sklep wilgotny, który ci zdrowie odejmie, w dzień trzeba świécy, żeby co zobaczyć! No, zgoda?

— Panie, jam ci tyle winna.

— A! nie mówże o tém. Jutro najmę zaraz mieszkanie, nie idź więcéj do Ostréj-bramy. Przedaj swój kramik. Zobaczysz tak lepiéj będzie! Jutro, jutro jeszcze przed wieczorem urządzę ci gospodarstwo! to ostatnia noc w tym nieznośnym lochu.

I tak mówiąc, chodził niespokojny, zapalony, a Julka patrząc z pod oka na niego ukradkiem, stała u swojego łóżka w milczeniu.

— Ja nie wiem, dodał, jak ja ci mogłem tak długo pozwolić tu mieszkać.

— Boś mnie nie kochał, pomyślała w duchu Julka, która wszystko co się działo w jego duszy, na twarzy czytała.

IX

Rano bardzo Edward był na nogach, ubrał się w długi surdut, wziął kapelusz i laskę, pieniądze do kieszeni, poszedł szukać mieszkania dla Julki. Już w myśli je widział, już w marzeniach je stroił, już całą przyszłość tego mieszkania i swoją odmalował był sobie.

Ale gdy przyszło pogodzić rzeczywistość z marzeniami, wiele zaszło jak zwyczajnie trudności. Jedne izdebki były za ciasne, drugie nadto obszerne, te zbyt na ulicę, tamte na brzydkie dziedzińce, w jednych nie podobało mu się fizjonomja prozaiczna, od drugich jakiś ślad przeszłych mieszkańców pozostały, odrażał. On chciał koniecznie tego, co roił; czystéj, pięknéj izdebki, z oknami na pola, na łęgi, na rzeki, nie na brudne miasto, sąsiadów pewnych, uczciwych nie ciekawych i tysiąc jeszcze dokładał warunków, którym dogodzić razem było trudno.

Nic gorszego, jak kiedy człowiek ma do czynienia z imaginacją swoją i uroi sobie marzenia urzeczywiścić; walczy wówczas jak senny, któremu śni się, że go zabijają, a ruszyć się nie może.

Do południa chodził, szukał, patrzał, przebierał Edward, żadne z mieszkań które widział, nie podobało mu się. Przeszedł tym sposobem większe i pomniejsze ulice miasta, prócz tych, których powierzchowność odstręczająca, nie dozwala myśléć nawet, aby tam podobne mieszkanie znaleść się mogło.

Znużony, z niczém powrócił do siebie, a chwilkę tylko odpocząwszy, udał się jeszcze na przedmieściach szukać owéj urojonéj izdebki. Poszedł na Antokol; tam nie było prawie mieszkań, lecz żyd, który mu służył za przewodnika, znalazł przecie jedno, w mizernym starym domku nad samą Wilją, ocienionym do koła gęstemi drzewy, a tak ukrytym, że go z żadnéj strony widzieć nie było można; ścieżka nawet mało udeptana która do niego wiodła, nie bardzo zdradzała mieszkanie człowieka, zdało się że ją bydło błąkające się nad brzegami wydeptało. Widok domku, mile uprzedził Edwarda, było w nim cóś tajemniczego, wdzięcznego, malowniczego, poetycznego. Podobali się sąsiedzi, dwoje staruszków, więcéj nie było żadnego mieszkańca. Wprowadzono go do pokoików które wynająć chciano. Nizkie, były dość ciemne, ale czyste, sprzęty stare, ale któż nie woli starych? podłoga nierówna, ale wymyta, ściany obielone, okienka zacienione drzewami.

O cenę nie mówił Edward i w pięć minut najął mieszkanie. Chcąc przedłużyć myśl o swojém szczęściu, nadzieją za rok zapłacił z góry. Pobiegł potém z wiadomością do Julki.

— Ostatni raz, rzekł wpadając do sklepiku, ostatni raz tu się widziemy, już masz nowe mieszkanie, takie jakiego żądać mogłaś, dalekie, ustronne, ciche, wiejskie, wśród drzew.

— Tak prędko! już! już! rzekła dziewczyna udając obojętność—I gdzież?

— Na Antokolu.

— Ach! tak daleko od Ostréj-bramy!

— Bodajże mnie, rzekł Edward uderzając się w czoło, wszak w wyborze mieszkania o tem zapomniałem. Cóż kiedy całe miasto przetrząsłem, a żadnego dla ciebie stosownego nie znalazłem.

— Ach panie! sam chodziłeś?

— I cóż dziwnego? spytał Edward, była to tylko przechadzka. Oto masz nazwisko gospodarza i domu, bierz dorożkę, zabieraj rzeczy, ruszaj, wieczorem będę u ciebie! Musim pogadać o tém, czego ci jeszcze braknie, muszę postarać się o resztę.—Może ci z początku nim się oswoisz będzie dziwnie mieszkać tak daleko od ludzi, od miasta; ale potém uczujesz roskosz wioski! Bo tam prawdziwa wieś, można zapomnieć że tuż blisko rusza się w błocie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. No, jedź!

— Nie mogę, rzekła Julka smutnie — wprzód jeszcze.

— Braknie ci czego, powiedz tylko?

— Muszę pójść pożegnać opiekunkę u Ostréj-bramy.

Te słowa smutnie wymówiła Julka, miała łzy w oczach. O mocy nałogu! źle jéj tu było, smutno, ciasno, ciemno, nie jedno więzienie bywa weselsze, żałowała jednak swego mieszkania i swojéj przeszłości; tam gdzie lat kilka przecierpiał człowiek,

już wrósł częścią swojego serca, przykleił się duszą—już trudno mu się oderwać, żal mu pamiątkę życia porzucać. Nawet w odmianie na lepsze, jest zawsze tęsknota, bo przyszłość—zagadka, a przeszłość to część nas samych. Nie dziw też, że Julka, boleśnie prawie rozstawała się z swoim smutnym sklepikiem, a łzami gorzkiemi zalała się, ukląkłszy pod Ostrą-bramą. Długo tam, długo klęczała, myślała, modliła się, dumała. Rzuciwszy raz ostatni okiem, na miejsce, w którém lat kilka siadywała codziennie, które widziało ją ubogą, opuszczoną, potém wspomożoną i całe dziś zmienioną; odeszła powolnie. W tém miejscu żegnała się z życiem swojém dawném, czując że całkiem nowe ją czekało, nie wiedząc jakie będzie. Ono się już ukazywało z daleka, ale straszne choć słodkie, niebezpieczne, niepojęte, a końca nie było widać, ginęło we mgłach.

— Matko Boża i opiekunko, w duchu raz jeszcze odwracając się, zawołała dziewczynka — strzeż mnie sieroty, jakeś dotąd strzegła! Lękam się siebie i przyszłości, jego i wszystkiego: Matko Boża, tyś matka sieroty.

I szła i odwracała się, póki widziała Obraz za sobą, a nie ocierając łez, potém, zwinąwszy nie wielki węzełek, pojechała do nowego swego mieszkania.

Nie potrzebujem mówić jak się jéj wydało, pałacem, rajem! Z okna widać było niebo, drzewa, zieloność, słyszała ptaszki, czystém oddychała powietrzem. Z drugiéj izdebki, wyglądał brzeg Wilij, woda i dalekie siniejące wzgórza, w pół tylko widne, za drzew gałęźmi. Niepodobna też było nie uczuć jakiéjś tęsknéj swobody, jak gdyby świat zapomniał o tém ustroniu i o nic się nie troszczył i nie patrzał na nie; nie było tu niespokojnych oczu, szpiegujących za twemi kroki, ani tego ruchu ustawicznego, wrzawliwego, nieznośnego, który nieprzywykłym głowę zawraca. Julka opatrzyła wszystkie kątki, rozłożyła w drugiéj izdebce wszystko co miała, usłała swoje dziewicze łóżeczko, zawiesiła nad niém obrazek swéj Opiekunki, potém klękła i pomodliła się z bijącém sercem, aby nie wiele łez wylać w nowém mieszkaniu. I znowu opatrywała oba pokoiki, otwierała okna, probowała drzwi, ustawiała krzesła, ścierała stoliki, siadała na kanapach;—biła się jak ptaszek w nowéj klatce.

Już się zmierzchało, kiedy nadszedł Edward, niósł on z sobą, co mógł tylko zabrać do ozdobienia swego raju. Pełne miał kieszenie i chustki drobnych sprzęcików, których potrzeby dotąd nie znała Julka, które dla niéj miały powab zbytku i wdzięk nowości.

—No! na progu jeszcze zaczął Edward, jakże ci się tu podobało?

— A! prześlicznie, wybornie, odezwała się dziewczynka, już nigdzie na świecie wyborniéj, miléj być nie może.—Jednakże, co powiesz pan na to, żem wychodząc z mego sklepiku, gorzko płakała.

— Pojmuję i nie dziwię się, odpowiedział z westchnieniem młody człowiek, siedziałem raz w więzieniu, a wychodząc oglądałem się z żalem na jego okna—bom w niém przeżył część życia. Człowiek nie mieszkania, ale życia ubiegłego żałuje.

— Cożeś to pan poprzynosił? spytała przestraszona prawie Julka na widok wypchanych kieszeni i pełnych dwóch chustek, które Edward kładł ostrożnie na kanapie. Ach Boże, pewnie nowe dary, a i tych za wiele!

—Tylko mi pozwól pogospodarować, odpowiedział pełen zajęcia i zapału opiekun. Są to fraszki, ale fraszki czasem lepiéj od wielkich rzeczy, słodzą życie i wdzięczą.—Człowiek się do nich przywiązuje jak do przyjaciół, patrzy na nie czasem z większém niż na obojętnych ludzi uczuciem. To mówiąc dostał naprzód zégarek, którén postawił na kominku.

— Cóż to kosztować musi! mimowolnie zakrzyknęła Julka.

— To do ciebie nie należy! Daj pokój, jeśli mi nie chcesz zrobić przykrości. Zégarek pokażę ci godziny, bez niego trudne się obejść, miło na niego spojrzeć, często ostrzega jak przyjaciel, czasem cóś przypomina.

— To, mówił daléj, kilka obrazków na ściany; to, lusterko, resztę sama sobie zobaczysz i poustawiasz.—Jutro przywiozę ci kwiatki na okna, pieska, żeby ci służył i pilnował ciebie, inne wreście potrzebne sprzęty, których nie miałaś, a bez których teraz obejść się nie możesz.

— Ach! mogę, mogę, zawołała Julka, i wolę się obejść, bo mnie przestraszasz tyle czyniąc dla mnie!

— Przestraszam! rzekł Edward,—znowu ci więc wracają dawne strachy!

— Prawie, szepnęła dziewczyna.

— Jeszczeż mnie nie znasz? z wyrzutem spytał.

Ona milczała i westchnęła tylko nieznacznie, Edward nie pytał więcéj, chcąc rozerwać dziewczynę, zaczął z nią obchodzić wszystkie kąty; ustawiać co mieli, wymyślać czego była potrzeba. Tak w słodkich marzeniach upłynął wieczór, późno bardzo wyrwał się Edward i powrócił do domu.

X

Ażeby uspokoić swoje sumienie, które jéj wyrzucało że Edwardowi była ciężarem, nazajutrz raniuchno, siadła Julka do roboty, snując w myśli projekta na przyszłość, zyski jakie jéj praca dać miała. Zdawało jéj się, że opłaci łatwo mieszkanie, i inne życia potrzeby bez pomocy swego opiekuna, którego codzień bardziéj lękała się, bo codzień więcéj mu czuła się winną i codzień widziała go wyraźniéj, namiętniéj przywiązującym się. Stale postanowiła sobie udawać, że się nie poznaje na jego uczuciach i okazywać dziecięcą obojętność. Pojmowała bowiem, że gdyby Edward wiedział jak go kochała, jak codzień rosła w jéj piersiach namiętność; powiększyłoby się jeszcze jego przywiązanie, któremu końca i skutków dobrych spodziewać się nie mogła.

Źle to, mówiła sama w sobie, że od niego tyle przyjmuję, daje mu prawa nad sobą; źle że go widuję codzień, on więcéj kocha, ja coraz słabszą się czuję—przyszłość okropna! Ale cóż było zrobić? on mi popsuł wprzód wystarczające dla mnie życie, on miał obowiązek może osłodzić teraźniejsze. Chciał mnie do siebie przybliżyć, oderwał od tych z którymi wprzód żyłam, uczynił nieszczęśliwą, niech osłodzi choć kilka chwil. Powinnam była nic nie przyjąć, uciec, oddalić się pierwszéj godziny kiedym poznała że mnie kocha—nie miałam siły;—teraz może zapóźno—a może?—Kto wié co tam w przyszłości? Ach! nie, to długo potrwać nie może, to się musi skończyć, przyjdą burze po pogodzie! Straszno myśléć o tém! Nie będę myślała—Jak przyjdzie złe, dość czasu zostanie rozmyślać nad niém i znosić. Matka Boża nademną.

Julka pojmowała doskonale swoje położenie, jego niebezpieczeństwa; lecz z jednéj strony racho-

wała na uczciwość Edwarda, z drugiéj na mocne postanowienie oddalenia się w pierwszéj chwili gwałtowniejszego wybuchu namiętności, objawienia się jéj wyraźnego; gdyż dotąd Edward nie śmiał powiedzieć Julce że ją kochał. Wprawdzie było to bardzo wyraźne; lecz chcąc koniecznie, można się było jeszcze z biédy niewiadomością tłumaczyć. — Tak więc przestraszona następstwy, żądna swobodniejszego życia, które poczynała i które jéj smakowało, dziewczynka lękała się jutra i nie śmiała więcéj oczu podnieść na przyszłość, którą wystawiała sobie zawsze straszliwą. Pierwszy dzień przepędzony w téj izdebce ustronnéj, był bardzo roskoszny, mimo przelatujących po nim myśli czarnych, snujących się jak chmurki napędzane wiatrami po niebie. Julka gwałtem się im oganiała, chcąc korzystać z szczęścia, któremu nie dowierzała. Jak dziécię przetrząsała darowane wczoraj sprzęciki, bawiła się niemi, nasycała, poiła, probowała ich użytku, przypatrywała się ozdobnéj powierzchowności. Edward zachwycił ją przy tém zatrudnieniu jeszcze; niósł on i za nim dorożkarz kwiaty z wazonami na okna. Za nim wbiegł piesek także, obiecany wczoraj.

Julce serce biło z radości, głowa od szczęścia bolała.

— Ach to za wiele na raz! zawołała do Edwarda, trzeba było swoje dary rozdzielić na części; dłużéjby mi trwała uciecha, potém się z niemi oswoję i stracą dla mnie powab nowości jaki dziś mają.

— Naówczas, odpowiedział Edward, znajdę cóś nowego.

— Proszę, błagam, przerwała Julka, już nic więcéj, już nigdy! Chyba chcesz pan mnie biédną uczynić. Ja i tak płaczę myśląc, że pan tyle tracisz dla mnie, tyle czynisz dla siéroty!

Nie pozwolił jéj dłużéj mówić Edward i pokazał pieska.

— Zostaniesz tu Milutki, zostaniesz! to twoja pani!

Pies się łasił i skakał.

— Co za śliczne stworzeńko! biorąc na ręce odezwała się Julka. Zaręczam że mu u mnie dobrze będzie, będę go pieścić—będę się z nim bawić.

— Oprócz zabawy, będziesz jeszcze inną miała korzyść z niego; sama jedna mieszkasz w miejscu bardzo ustronném, Milutki jest niezmiernie czujny i zły dla obcych, ostrzeże cię i nikogo nie dopuści.

— Podobno tego od niego potrzebować nie będę, zawołała Julka, złodzieje tu nie przyjdą, bo niéma po co, a z resztą nikt nie zajrzy.

Edward usiadł i milcząc wpatrywał się w Julkę, która zarumieniona lekko, promienna ukontentowaniem, wydawała się w swéj skromnéj ciemnéj sukience i różowéj chusteczce na ramionach, piękniejszą niż kiedykolwiek. Czarne jéj włosy uczesane gładko i zapięte w warkocze, odbijały cudnie od zawsze prawie bladéj twarzyczki, którą chyba przelotne wzruszenie słabo na chwilę zarumieniało. Zgrabna wcięta kibić przechylała się jak trzcina z wiatrem; w każdym ruchu, każdém drgnieniu prawie był wdzięk nieopisany; a tém bardziéj zadziwiający, tém cenniejszy, że widocznie nie wyrachowany, nie wymuszony, nie nauczony, lecz instynktowy, naturalny, a jednak nieodstępujący jéj nigdy.

Sama twarz przy swéj bladości przezroczystéj, oświecona czarnemi oczyma, przecięta ustami drobnemi i kształtnemi, miała w sobie cóś tak niepospolitego, charakterystycznego, iż obojętny nawet człowiek, byłby sobie namiętność Edwarda wytłumaczył. Cóż dopiero gdy piękne te rysy ożywiały się w rozmowie, gdy oczy migały tysiącem wyrazów coraz odmiennych, a zawsze zachwycających, gdy usta to się podnosiły uśmiéchem, to zniżały smutnie i zamykały; gdy uczucia i myśli przelatując po pięknych kształtach, piękniejszemi je jeszcze ożywiając czyniły? Każdy inny w położeniu Edwarda, byłby uległ urokowi czarodziejskiemu jéj twarzy, któréj podobną, ujrzaną przypadkiem chwilowo, całe się życie pamięta.

W milczeniu nasycał się wdziękiem Julki, młody jéj opiekun, podparty na ręku, zamyślony, marzył patrząjąc na nią. On także odepchnął wszystkie myśli jutra, a żył tylko dniem dzisiejszym.

— Czegożeś pan tak smutny? spytała, spojrzawszy dziewczynka.

— Smutny?

— Tak mi się zdaje przynajmniéj—a jeśli nie, to zamyślony.

— To prawda; patrząc na ciebie zadumałem się.

— Nie pytam o czém, przerwała Julka, możem panu przypomniała kogo.

— Kogo? podchwycił Edward—cóż to znaczy?

— Pomyliłam się, zawołała dziewczynka, chciałam powiedzieć, że pan przypomniałeś sobie kogoś zapewne.

— Masz mnie więc za jednego z tych, którzy gdzieindziéj umieją być oczami, a gdzieindziéj duszą?

— Każdy to umie, mniéj więcéj.

— Ja nie umiem, rzekł Edward, nie potrafiłbym na kogo innego patrzéć, a o kim innym myśléć.

— O mnie przynajmniéj, odpowiedziała Julka, nie masz już ani obowiązku, ani potrzeby myśléć więcej, uczyniwszy tyle dla mnie!

— Proszę cię, nigdy o tém nie wspominaj, zawstydzasz mnie tylko!

Julka zamilkła, rada że rozmowa nie zatoczyła się na niebezpieczne stronę, na którą już się zdawała pochylać. Edward zamyślił się znowu; nie śmiejąc mowić o tém co czuł, a to tak nieustannie i tak głęboko, że prawie pół godziny upłynęło, a on ani się słowa nie odezwał, zawsze w jedném położeniu, sparty, z oczyma wlepionemi w Julkę, przesiedziawszy. Pod płomienistym jego wzrokiem, jak pod słońcem w spiekę, siedząc, biedna dziewczyna, nie śmiała przerywać milczenia, rumieniła się tylko, kręciła, psuła swoją robotę; a gdy Edward porwawszy za kapelusz wybiegł, odetchnęła dopiero swobodniéj.

XI

Miłość moja wzmaga się, mówił do siebie Edward, uciekając z domku i biegnąc szybko ulicą do miasta; codzień przywiązuję się więcéj; nie szukam na to lekarstwa, nie probuję środków, gubię siebie i ją, zatopiwszy się w teraźniejszości. Jedno z dwojga, albo trzeba skończyć, albo rozerwać! Ale jak skończyć? Kto wié czy ona mnie kocha, nigdym nie dostrzegł nic prócz suchéj wdzięczności dziecinnéj—a jeśli ona nie czuje dla mnie tego co ja dla niéj? Wpadłem w nierozwikłane trudności, przez jeden krok nieostrożny. Co począć? co począć teraz? Jak się to wszystko skończy?

Porzucić ją? niepodobna. Cóż ona pocznie z sobą? przywykła już do innego świata, innéj rozmowy, obejścia, jakże potrafi wytrzymać spadając

znowu w życie z którego wyszła i zostawiła za sobą? Nie, nie mogę jej porzucić! Mogęż, drugie pytanie, zwyciężyć siebie? Ach! i to niepodobna — gdybym tylko codzień ją widział, gdybym codzień mógł się wpatrywać w jéj oczy, zdaje mi się żeby mi tego dość było. Ale trzeba żebym wiedział, czy mnie kocha! Cóż jeśli tak jest? jeśli się przyzna? jeśli z ust jéj wywabię wyznanie! Będęż mógł zimno patrzeć na miłość, którą sam wyprosiłem, stworzyłem i kazać się jéj kontentować przyjacielskiém, zimném, na wodzy trzymaném widywaniem z sobą kiedy niekiedy? Niewiedzieć co począć? Tak jak jest być dłużéj nie może, musi się rozstrzygnąć. A gdybym się z nią ożenił? pomyślał raz piérwszy Edward i zaraz odpowiedział sobie— I to być nie może.—Jeszcze jéj dość nie kochał; jeszcze nie dość był rozjątrzony, aby pobudzić w sobie odwagę, do tak stanowczego kroku.

— Jutro, rzekł nareście, pójdę i powiem jéj, że ją kocham, jutro zobaczę co mam daléj czynić!

Tak powiedziawszy sobie, Edward powrócił do mieszkania i gotował się tylko na wielkie jutro, o którém myśl sama sprawiała w nim bicie serca i krwi wrzenie. Nadeszło jutro, Edward poszedł z rana, bawił godzinę całą i nic nie powiedział. Uwierzycież, że się nie odważył? tak było.

— Wieczorem, rzekł odchodząc, będę śmielszy, wieczorem jéj powiem.

Powrócił wieczorem. Julkę zastał w oknie izdebki, spoglądającą przez ogródek na Wiliję, zadumaną i dość smutną. Ona także, myślała o swojéj przyszłości, o nim, niepojęte jakieś strachy ogarniały ją, jak każdego, kto się czuje szczęśliwy, a lęka o swoje szczęście. Usłyszawszy chód, odwróciła się, poznała go.

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór.

Zamilkli, on nie wiedział od czego począć, ona bała się mówić, niewiedzieć dla czego jeszcze zmrok padający szybko więcéj ją czynił nieśmiałą i niespokojną.

Edward usiadł na kanapie naprzeciw niéj, darł chustkę w ręku, spoglądał, zaczynał, urywał. Z tego Julka już się domyśliła ważności rozmowy, którą miał począć, drżała przeczuwając cóś niezwyczajnego.

— Jest że ci zawsze tutaj tak dobrze jeszcze jak pierwszych dni? spytał.

— Coraz lepiéj, coraz miléj, odpowiedziała, oswajam się z miejscem, kocham je coraz bardziéj, i nie żałuję miasta. We środę i w sobotę chodzę do mojéj patronki na mszą, a resztę tygodnia rada jestem, że nudnego miasta nie widzę i nie słyszę.

— Cieszę się żem potrafił przeczuć, iż ci tu dobrze będzie, rzekł Edward— miasto może bawić godzinę, może niewiele się przykrzeć przyzwyczajonemu, może wspomnieniami zajmować, gdy je widzim po długich rozłączenia latach; ale niepodobna jednak usuwając się od zgiełku, nie uczuć się swobodniejszym.

— Ja też teraz nietylko go nie żałuję, powiedziała Julka, ale w ostatniéj chyba konieczności wróciłabym do niego nazad. Tu tak spokojnie, tak miło! Ile razy chcę, mam przechadzkę któréj nikt nie przerywa, samotną a piękną! Gdybym nawet chciała zgiełku, dość mi wybiedz na antokolską drogę, żeby się nim nasycić.

— Więc nic ci nie braknie? więc jesteś szczęśliwa? spytał Edward —i niczego więcéj nie żądasz? Wymówił to wyraziście, tak iż na chwilkę Julka się wstrzymała z odpowiedzią.

— Jestem szczęśliwa i niczego nie żądam więcéj, tylko, tylko—

— A! masz więc jeszcze niespłacone życzenie!

— Jedno.

— Jakie?

— Żeby się to życie tak miłe, swobodne, nie zachmurzyło, nie przerwało; więcéj nie żądam niczego. Możebym nawet z wielu jeszcze drobnych przyjemności ustąpiła, byle się przy główném utrzymać?

— A nigdyż nie przychodzi ci na myśl, że mógłbyś być jeszcze szczęśliwszą?

— Ja? a to jak? spytała udając doskonale że nic nie pojmuje o co chodzi. Dla mnie niéma już we śnie nawet większego szczęścia.

— Nigdyżeś, rzekł Edward coraz bardziéj sam się mieszając, nigdyżeś nie wspomniała, na to uczucie, na miłość, która w życiu kobiety, tak jest konieczną potrzebą, warunkiem szczęścia.

— A! rozumiem! zawsze obojętnie odezwała się Julka, pan wyobrażasz sobie kobiety tak złemi, tak zepsutemi — że ich serc uczucie przyjaźni, wdzięczności, nie może zaspokoić? czyliż nie dość przyjaciela jakim pan jesteś dla mnie, i mogłażbym myśleć o kochanku? A potém—dodała, ta miłość którą pan wystawiasz, jako potrzebę, ja ją widzę jako robaka który życie toczy. Od niéj zaczynają się zgryzoty, udręczenia, niepokoje, od niéj schnie serce, więdnieje ciało, tęsknieje dusza, upadają siły. Za chwilkę może zapału, szaleństwa, trzeba potém lata pokutować! Na co mi ta miłość, czytałam o niéj, a trochem i widziała po świecie, jaki jéj koniec bywa.

Tą mową, któréj Julka potrafia nadać akcent prawdziwości, przekonania, tak zdumiał się i pomięszał Edward, niespodziewający się podobnego zaparcia przyszłości, że daléj już nie miał odwagi wyrzec tego z czém przyszedł.

— Znać, odpowiedział cicho i smutnie, że jeszcze na ciebie pora nie przyszła.

— Jak to? spytała Julka.

— Bo naówczas kobiéta i mężczyzna równo, nie mają już téj chłodnéj krwi, przytomności i rozwagi. Potrzeba miłości, konieczność, tak się mocno czuć daje, iż im przyszłość zakrywa; rzucają się na oślep, bo nie mają siły do odparcia.

— Albož koniecznie wszystkich to czeka? spytała ona — są przecie ludzie, którzy nie przypuszczając myśli, podobieństwa tego uczucia, oddalili je od siebie.

— Masz je więc za rzecz dającą się odwrócić?

— Nietylko odwrócić i uniknąć, ale gdy przychodzi zwyciężyć!

— Nigdy!

— Zawsze! odpowiedziała Julka zimno i rozważnie, a choć co innego czuła w sobie, widziała konieczność, potrzebę pokazania się zimną przed Edwardem, dla oddalenia go od siebie, a przynajmniéj usunienia końca tego, którego się nie bez przyczyny obawiała. Zawsze można zwyciężyć, powtórzyła, ja tak myślę—można przemódz miłość uczuciem obowiązków, pobożnością i ciągłém czuwaniem nad sobą.

— Lecz zkądże, przerwał Edward, możesz o tém mówić z taką pewnością, z takiém przekonaniem, zastanawiałaś że się nad tém, myślałaś o tém?

— Czytając, odpowiedziała Julka — osobliwie ostatnie książki, które miałam od pana, przyszło

mi to na myśl, z wielkiego jednego i świętego przykładu, który mnie przekonał i nauczył, że i to uczucie zwyciężyć można.

— Z jakiego przykładu?

— Z historij naszéj Jadwigi. Pan wiesz dodała Julka, jak kochała niewartego przywiązania jakiegoś tam książęcia, z którym się wychowała; przypominasz jak szalała za nim, jak nie mogła z początku znieść myśli oddalenia, rozerwania związków; a jednak gdy jéj wystawiono potrzebę innego małżeństwa, gdy pokazano że ofiarą saméj siebie kupowała krajowi spokój, a religij miljony ludu— potrafiła się zwyciężyć.

— Ale nie piszą, rzekł Edward z uśmiechem, ile ją ta ofiara łez kosztowała.

— W takim razie łzy się nie liczą, odezwała się Julka, chodzi o zwycięztwo, a jak po bitwie wygranéj cieszą się nie rachując poległych, tak tu łez i cierpień wspominać nie trzeba.

— A gdyby, mówił daléj niespokojny oziębłością dziewczyny opiekun, a gdyby kiedy to uczucie zajrzało do ciebie—miałażbyś siłę i odwagę z niém walczyć?

— Niezawodnie, odpowiedziała—nie spodziewam się jednak tego na mnie *nieszczęścia* (to słowo wymówiła z przyciskiem), nie czuję żebym inaczéj kochać nawet potrafiła, jak przyjaźnią, szacunkiem, wdzięcznością—dla mnie też, przywykłéj do cierpień, tak mało potrzeba do szczęścia, że się bez tego zbytkownego dodatku, którego tylko wypieszczeni losu kochankowie żądają, łatwo i bez żalu obejdę.

— Jesteś bardzo rozumna Julko, rzekł Edward chwytając kapelusz z odrobiną gniewu, który źle ukrywał; mało kobiét tobie podobnych, a jeszcze w takich latach!

— Bo mało kobiét tyle co ja cierpiało, odpowiedziała, i mało ich pewnie, tyle się, co ja, lęka najmniejszego cienia groźnego dla przyszłości.

— Co za ostrożność! sam do siebie szepnął Edward, co za chłód i rozwaga! Miałażby istotnie tak być zimną, tak wyrachowaną? Być że to może?

Julka kończyła.

— Nareście, drogi mój panie, nie byłożby to zbrodnią, gdyby mi nie wystarczały uczucia które mam dla ciebie, spokojne, nie groźne a tak miłe!

To mówiąc zwróciła ku niemu oczy.

Edward spotkał je i gniew jego, który duszą wstrzęsać zaczynał, zachwiał się i upadł. W oczach jéj bowiem, tyle wyczytał uczucia, tak one sprzeciwiały się z ustami, tak mówiły i obiecywały miłość, że zapomniał o wyznaniach przykrych uczynionych przed chwilą.

Biedna Julka nie umiała jeszcze wyrazu oczów zastosować do mowy i zdradzała się spojrzeniem.

XII

Zaledwie się drzwi za nim zamknęły, Julka, która nie przywykła była do udawania, padła zmęczona i smutna na kanapę. Uczyniła co czuła swoją powinnością, ale jakże jéj było boleśnie kłamać, jak boleśnie było widzieć w twarzy Edwarda smutek, zawód, niepewność, nareście prawie rozpacz. Wszystko to jednak wytrzymała, bo powiedziała sobie, że obowiązkiem jéj było odstręczyć go od siebie. A ona go kochała! pojmijcie więc ofiarę, oceńcie moc jéj duszy. Czując szczęście tuż blizko, zawieszone nad głową na włosku, musiała je od siebie odpychać, musiała się go zaprzeć; jego przyszłość, jéj przyszłość, uczucie cnoty i obowiązków utrzymywały je na téj drodze. Kto wie gdyby o nią tylko szło jedną, gdyby mogła była dać mu szczęście, choćby je długiemi łzami okupić potém miała i utratą niepowróconego nigdy pokoju duszy, kto wie, czyby się nie poświęciła; lecz ona pojmowała, iż jedna miłość może Edwardowi zepsuć całe życie, całą przyszłość, któréjby potém żałował, ona pojmowała, jak raz przeszedłszy próg zawrócić się trudno i wyrachować dokąd zajdzie.

Gdy Edward wyszedł, znużona, z twarzą rozognioną, bijącém sercem, głową zbolałą, upadła; chwyciła się za skronie, w których czuła gwałtowne bicie krwi, i bez myśli leżała długo. Zmrok padł, nie miała siły powstać. Serce jéj było ściśnione, dopełnienie tego co widziała swym obowiązkiem, drogo je kosztowało.

Nie prędko przypomniała sobie patronkę swoją i ucieczkę w modlitwie, uklękła przed obrazkiem zawieszonym u łóżka, chciała się pomodlić, sparła głowę na poduszkach i po chwili usnęła w gorączce.

Edward wyszedł od niéj tak niespokojny, tak zawstydzony, gniewny, oburzony, a razem nie pewny czego się gniewał i burzył, że nie potrafił się zastanowić nad sobą i swojém położeniem. Wszystko mu się w głowie przewracało, przypomnienia rozmowy któréj nie wierzył, marzenia, nadzieje; raz się gniewał i postanawiał więcéj jéj nie zobaczyć, to znów usiłował wmówić sobie, że ona co innego czuła, że przez pewien wstyd dziewiczy i dumę tak dziwną udawała nieczułość. Ostatnie jéj wejrzenie najbardziéj go o tém przekonywało; bo zadało kłamstwo słowom. Nim doszedł do domu, tysiąc przesnuł marzeń, smucił się i spodziewał, rozpaczał i roił szczęście. Nareście stanął na tém, że gdyby nawet wistocie Julka była taką, jaką się pokazała, kto wie czy taką będzie zawsze? może w niéj można czucie obudzić, jak rozwinięto umysł? może przyjdzie chwila w któréj brak życia, czczość, zapragnie gwałtowniejszemi uleczyć środkami?

— Tak młoda jeszcze! mówił do siebie, czekajmy, mówi że ma dla mnie uczucia wdzięczności, przyjaźni, one się nieznacznie, niewidocznie, powolnie odmienić mogą. Sama się nie opatrzy—tak być musi.

Edward rozjątrzony, nie myślał już jéj porzucić, miłość własna dodawała mu nowego zapału; tak to prawda, że niéma bodźca skuteczniejszego nad nią. Przywiązanie stało się jeszcze gwałtowniejsze a pozyskanie jéj serca, koniecznością w oczach Edwarda, który wstydził się być zwyciężonym i upaść cicho, w walce w któréj wszystko zdawał się mieć za sobą.

— Czekajmy więc, kiedy czekać potrzeba, rzekł w sobie, czekajmy nie okazując co się tu dzieje w tém sercu. Ktoby powiedział, żeby istota z ostatniéj towarzystwa klassy, tyle miała rozwagi, a tak mało uczucia? pospolicie dzieje się przeciwnie, czucie aż do zbytku szczodre rozwija się tam w dole, u nas, na tak zwanym wyższym świecie, panuje zimny tylko rozsądek w piętnastoletnich nawet sercach. Kto wie, czy nie ja winienem sam sobie, żem jéj umysł wykształcił, a przez to ostudził serce.—Lecz taką jak wprzód była, mógłżebym pokochać? Czekajmy i niepokazujmy nic po sobie — zimno, spokojnie.—Może też przyjdzie na nią chwila szału— a wówczas —

— Byłżebym tak podły, żebym z téj chwili chciał

korzystać? spytał sam siebie. Nie. — Więc na cóż czekać? Edward nic sobie nie odpowiedział.

Nazajutrz nie był u Julji. Wiele musiało go kosztować to zwycięztwo nad sobą; bo sto razy zrywał się, brał za kapelusz i wracał od drzwi, ze wschodów, od bramy. Wieczorem wybiegł aż w ulicę i znowu rozmyśliwszy się powrócił.

— Nie potrzebuję widywać jéj tak często, mówił do siebie. — Moja miłość rozpłomienia się tém więcéj coraz, ona nic nie czuje, a ja się dręczę. Dość będzie pójść tam raz we dwa dni, dość zajrzeć na chwilę, kiedy ją ujrzę zmienioną, smutną, kiedy będę mógł domyślić się, żem jéj potrzebny, natenczas wrócę. Trzeba mieć moc duszy i siłę nad sobą!

A to mówiąc wybiegał jeszcze i znowu powracał.

Co się działo z Julią, trudno opisać. Czekała go o zwykłych godzinach, spoglądała na drzwi, za każdym poruszała się szelestem, przydawał jéj się sto razy chód jego, zrywała się go widzieć, gdy nikt nie przychodził. Tak minęła dnia połowa; zdarzało się wprzódy, że Edward raz tylko odwiedzał ją wieczorem, jakkolwiek więc przykro jéj było, że próżno wyglądała, miała nadzieję, pewność, iż go zobaczy jeszcze. Zaledwie zmierzchać zaczęło, porzuciła robotę, siadła w okienku które wychodziło na ścieżkę od drogi antokolskiéj; patrzała, czekała. Godzina zwykła przyszła i przeszła, ona jeszcze czekała. Z początku wątpliwość, potém niepokój ją ogarnął; jednakże nie zamknęła okna i czekała nań jeszcze.

Zciemniało się, noc nadeszła, Julka nie umiejąc się wyrzec nadziei widzenia go, nie przestawała wyglądać. Późno bardzo, odeszła od okna i załamała ręce, spuściła głowę, zapłakała gorzko.

— Nie przyszedł! zawołała, nie przyszedł! wczoraj go zraziłam, odstręczyłam, widział mnie zimną, zaparłam się własnego serca, udałam nieczułość, teraz on mnie nie chce widzieć nawet, on mnie może ze wszystkiém opuści. Chwaliłam mu się wdzięcznością i przyjaźnią! A! gdyby wiedział, ile więcéj czuję dla niego.—Lecz on tego nigdy wiedzieć nie będzie, tajemnica moja umrze ze mną.—Mój Boże, mój Boże, czemuż ja tak cierpię, gdym tylko raz go nie widziała przez dzień, już mi się zdaję, że wieki jak mnie opuścił, żem najnieszczęśliwsza. Jakże ja wytrzymam dalej, jakże ja zniosę ciężkie moje ofiary. Ach! Matko Boża, dodaj sił swemu dziecięciu!

XIII

Nazajutrz, Edward z rana zaraz, raniéj niż zazwyczaj był u Julki. Pomimo mocy, którą miała nad sobą niepodobna jéj było nie pokazać trochy smutku, snującego się po twarzy. Udawała wesołość, ale to udawanie tak było niezgrabne, że je łatwo poznał, nawet Edward. Wczorajsze lepiéj jéj się udało; dziś nadto czuła, żeby mogła obojętność wygrać zupełną. Nie śmiała wszakże spytać o przyczynę wczorajszéj niebytności; zdawało jéj się że ją wiedziała, bała się rozmowę w tę stronę zawracać. Edward sam się tłumaczył.

— Byłem trochę chory, trochę smutny, trochę zajęty, kilka razy szedłem do ciebie, zawsze mi cóś przeszkodziło.

— A! Panie, przerwała Julka żywo, po tylu ofiarach dla mnie, śmiałażbym pomyśleć nietylko wymagać, abyś najdroższego czasu jeszcze dla mnie czynił ofiarę? Godziż się, jakby tłumaczyć przedemną, gdy i to łaska, jeśli tu kiedykolwiek zajrzysz.

Mimowolnie w akcencie Julij, było trochę więcéj uczucia, niż chciała; niewprawna, wydała się na w pół z tém co się działo w jéj sercu, zdradzała się także unikając spojrzenia, spuszczając oczy, nie umiejąc wczorajszéj swobody, poufałości, śmiałości odzyskać.

Edward łatwo postrzegł zmianę, lecz przypisał ją wczorajszéj swéj niebytności, która mogła przestraszyć dziewczynkę nie mającą innego nad niego opiekuna, lękającą się powrotu do życia pracy, upokorzeń, spodlenia, z którego ją wywiódł, a niejako trzymał jeszcze zawieszoną nad niém.

Gdy więc Julka sama czując, że się zdradzała, plątała się coraz bardziéj, Edward brał to wszystko nie za uczucie, lecz za przestrach, który taiła, i dać mu widzieć nie chciała.

Ulitował się nad nią, bo ją szczerze kochał, jął więc zaraz rozwodzić się z kłamliwém wyszczególnieniem wczorajszych zatrudnień, aby wytłumaczyć się, uniewinnić, i wszelką bojaźń od niéj oddalić. Czynił to z czuciem, potrafił więc kłamstwu dać wszelkie pozory prawdy i uspokoił dziewczynkę. Tu jednak mimowolnie zboczył z drogi, którą był sobie na przyszłość przepisał, i nie okazał się tak zimnym i obojętnym, jakim być miał. Owszem nastając na uniewinnienie siebie, popierał swoją sprawę, z większym niż kiedykolwiek zapałem.

Postrzegłszy się potem, gwałtem obwinął się chłodem, umilkł, zaczął chodzić po izdebce i zamyślony zdawał się całkiem nie uważać na Julkę.

— Nie dziwuj się, rzekł do niej po chwilce, jeśli czasem teraz, rzadziéj widzieć mnie będziesz niż wprzódy, jeśli nie przyjdę dzień cały, może dwa dni.

— Dla czegoż? spytała patrząc mu w oczy Julka.

— Mnóstwo zatrudnień, różne przyczyny o których długo byłoby rozpowiadać, nie jestem zupełnie swobodny.

— Cóż się stało?

— Nic—zmiany, okoliczności, interessa.

— Może co złego?

— Nic złego, wszystko jak dawniéj, odpowiedział zimno, jeślibyś w przypadku potrzebowała czego odemnie, przyszlij tutejszego chłopca, wiész gdzie mieszkam, napisz słów kilka.

Milczeli, Julji się serce krajało z żalu, ale wszystko zamknęła w sobie. To zapowiedzenie wczesne, ta groźba niejako, była dla niéj zrozumiałą, dręczyła ją okropnie, ale nie wymogła na niéj najmniejszéj oznaki czułości; dziewczynka powiedziała sobie, że dla przyszłości ich obojga, musi wszystko pokryć w sobie i miłość swoją Bogu tylko i swemu sercu zostawić; powiedziała i dotrzymywała. Edward znowu marzył wielką ofiarę z siebie dla niéj i postanawiał nie odkryć przywiązania, które jéj mogło być tylko nieznośnym ciężarem, bo nie podzielając go, przez wdzięczność, przez położenie swoje przyjąćby je musiała.

Tak oboje walczyli z sobą, nie wiedząc o swoich cierpieniach. Bezwątpienia Julka i więcej uczyniła i więcéj cierpiała, Edward miał tysiąc na świecie wynagrodzeń, ona żadnego; on mógł zapomnieć o niéj w tłumie innych, ona była jedna i sama musiała wystarczać sobie.

Kilka dni tak przeszły, kilka dni długich, okropnych, smutnych, w przeciągu których ledwie się parę razy widzieli, a skutkiem walki wewnętrznéj,

skutkiem tego rozdziału, zimniejsi byli z sobą niż kiedykolwiek, mniéj się coraz rozumieli. Tracąc się z oczów, witali się potém jakby obcy, coraz bardziéj cudzy. Położenie ich dla obojga było nieznośném. Edward zamyslał zapewnić jéj przyszłość i nigdy więcéj nie widzieć, aby siebie uleczyć z miłości śmiesznéj, ją uwolnić od tego co zwał swém natręctwem. Zachodziły jednak trudności, jak to uczynić wypadało. Tymczasem, widząc że spodziewane uczucie nie przychodzi, nie mając nadal cierpliwości oczekiwać go, rzadko ukazywał się u Julki i krótko bawił, bo rozpacz i udręczenie, których doznawał, taką nad nim górę wzięły, iż pokryć ich nie umiał.

Julka widziała wszystko, pojęła. Któraż kobiéta jakimś instynktem nie czyta w sercu najlepiéj utajonego kochanka? Bóg dał im tę władzę; najmniéj przenikliwa pozna uczucia które wzbudzi, pierwsze objawienie, najlżejszą oznakę zrozumié.

W miarę rosnącéj boleści Edwarda, czytała postęp jéj Julka, w obłąkanych oczach, urywanéj rozmowie, postępowaniu pełném dziwacznych i namiętnością tylko tajoną dających się tłumaczyć, poruszeń; cierpiała podwójnie, jego i swojem cierpieniem: część jéj była tém cięższą, że i miłość ukrywać i boleść taić musiała i grać obojętność i okazywać jakby nic nie widziała.

Wkrótce jednak z rosnącą trudnością, uczuła że nie podoła wszystkiemu, że dłużéj udawać i taić się nie potrafi, siły ją odbiegły, odwaga upadła, wprzód tak potężny strach przyszłości, bojaźń upadku i zgryzot sumienia zacierały się; czuła że słabła, a nie mogła w modlitwie nawet sił dawnych odzyskać. Jakaś obojętność na przyszłość, na świat, na wszystko zajęła serce—znużona była walką.

Edward zaś w tém wyczerpaniu odwagi i zaparciu się siły, widział tylko nowe oznaki oziębłości, chłodu serca, braku czucia, o które obwiniał Julkę. Kochał ją bardziéj jeszcze niż kiedykolwiek, ale nawet tą niewyczerpaną nadzieją, jaką zwykle mają kochankowie, nie potrafił rozjaśnić przyszłości, w któréj chmury widział same.

— Może tak i lepiéj, rzekł w sobie, ona będzie szczęśliwa, bo niéma serca, ja—ja się rozerwę, pojadę, zapomnę może, a przynajmniéj zagrzebie w sobie tak śmieszną namiętność. Pójdziem każde swoją drogą! Nie opuszczę ją jednak, uczynię zapis który jéj zapewni swobodę na zawsze, polecę ją w opiekę jakiéj uczciwéj kobiecie.—Kto wie, może też inny będzie szczęśliwszy odemnie, może kiedy i ona kochać potrafi!

— O nacóż tak długo patrzałem na nią, nacóż dozwoliłem przyjść do tego stopnia chorobie!

XIV

Nareście pod ciężarem uczuć, walki, niepewności, udręczeń nad siły, Julka zaczynała upadać. Edward postrzegł jednego wieczora, iż blada jéj zwyczajnie twarzyczka, jeszcze się bledszą stała, oczy wpadły i zagasły, usta z siniałe skryły się prawie; głowa opadała na piersi, oddech był cięż-ki jakby jéj brakło powietrza, a ramiona uginały się mimowolnie, jakby pod ciężarem.

— Nie czujesz się słabą? spytał.

— Ja? cicho odpowiedziała dziewczynka—nie.—

— Zdajesz się smutną,—cóś ci dolega.

Nic a nic, odezwała się znowu spokojnie Julka, trochę mnie dziś głowa bolała, może dla tego inaczéj wyglądam.

Edward dał jéj dobranoc i wyszedł, ale niespokojny wstrzymał się za drzwiami, piérwszy to raz lękając się o jéj zdrowie, odważył się ją szpiegować i stanął u okna.

Zaledwie wyszedł, Julka porwała się z krzesła, odetchnęła jak gdyby szukała powietrza, którego jéj brakowało, pobiegła do okna, otworzyła je i w niém płakać zaczęła gorzko nad sobą i cierpieniem, któremu podołać nie mogła.

Edward ujrzał ją płaczącą i pojąć łez jéj nie mógł, ale na widok ich straszliwa opanowała go niespokojność, miał jak gdyby przeczucie wszystkiego, ale nie był jeszcze pewny.

Długo tak dziewczyna płakała w oknie, potém poszła do drugiéj izdebki i rzuciła się nierozebrana na łóżko. Nie miała siły nawet na modlitwę; uczuła zimny dreszcz przebiegający po ciele, szum w głowie; sen, ten sen straszny chorych, sen przezroczysty przez któren wszystko widzą i czują co się w koło nich dzieje, zamknął jéj powieki. Wkrótce przyszła gorączka, lice zapłomieniło się, pragnienie palić zaczęło, głowa gorzała, piersi poruszały się częstszym coraz oddechem, a słowa wymykać się zaczęły z ust niewstrzymane, obłąkane, straszne, niepowiązane z sobą, jak gdyby z innego przychodziły świata.

Przy świetle dogorywającéj świéczki, przytulony do szyby widział Edward stan Julki, poznał cierpienie, usłyszał nawet kilka wyrazów, a ich dźwięk przekonał go bardziéj niż wszystko o obłąkaniu choréj. W sercu jego burza była okropna, tajemnica bowiem wielka wykrywała się przed nim w tych wyrazach po jednemu z ust jéj wzlatujących. Poznał że był kochanym, że w piersiach téj kobiéty potrafiła się ukryć do niepoznania miłość, aby nie zatruć jego życia, że obojętność Julji, była tylko bohaterskiém męczeństwem, ofiarą nad siły. Wszystko wiedział.

Naówczas oszalał prawie nie wiedząc co począć. Julja w gorączce wzywała śmierci, modliła się o nią do Matki Bożéj, a smierć i bez cudu przyjść mogła, bo choroba wzmagała się strasznie.

Edward poleciał co tchu po doktora. Nie pokazał się z nim razem u łóżka choréj, zrozumiał iż przytomność jego nie w porę by była, nie wiedział też co i jak daléj robić; czy wyznać jéj, że wiedział tajemnicę, czy uciec i nie widzieć jéj więcéj?

Lekarz zapisał chłodzący napój, gdyż gorączka była tylko zapalną, a Edward osadziwszy u łóżka służącą tego domu, wrócił nad ranem do siebie bezprzytomny i sam prawie w gorączce.

XV

Nazajutrz posłał Edward dowiedzieć się o jéj zdrowie, a niedoczekawszy odpowiedzi, sam pobiegł na Antokol.

Julka miała się lepiéj, smutna i blada siedziała na łózku, gorączka ustała była zupełnie, osłabienie tylko po niéj zostało.

— Jakim sposobem znalazł się tu doktor? spytała Edwarda.

— Wychodząc ztąd, postrzegłem żeś nie była zdrowa, powróciwszy do domu napisałem do doktora, prosząc aby cię zaraz odwiedził. Szczęściem że nadjechał, bo jak mi mówił, leżałaś wgorączce, gdy przybył.

Julka zamyśliła się, westchnęła, umilkła.

— Zaśnij, spocznij, rzekł do niéj Edward, po-

trzebujesz wypoczynku, nie będę ci przeszkadzał, chociaż życiebym dał, żeby zostać przy tobie!

Julka podniosła na niego oczy zdziwione; piérwszy to raz usłyszała z ust jego takie wyznanie. — Wczoraj jeszcze tak był zimny! pomyślała, cóż to się stało, mamże ja umrzeć?

— Wieczorem przyjdę się o twoje zdrowie dowiedzieć, dodał Edward. Wszystko czego możesz potrzebować przysłałem już, przyjąłem ci służącą, bo obca nigdy tak jak swoja nie usłuży. Nadewszystko proszę cię bądź spokojna.

Julka zaczerwieniła się, ale nic na to wszystko nie umiała odpowiedzieć.

— Dla czegoż, spytała sama siebie, tak mi zalecał spokojność? Cóż to znaczy? Czym się ja z czém wydała? Poznałże co się we mnie dzieje! Ach! to okropne, to okropne życie dodała płacząc, lepsze już były dawne moje cierpienia! O! sto razy.

Lecz gdy słaba Julka myśli i dręczy się myślami, Edward niemniéj niepewny, udręczony, szalony swojém szczęściem, z którém nie wié co zrobić, przebiega miasto, nie mogąc spokojnie chwili w miejscu usiedzieć. Jeszcze wieczór nie nadszedł, on znowu jest w domku na Antokolu, znowu u jéj łóżka, wpatrując się w bladą twarz i przygasłe oczy dziewczynki, od płaczu i znużenia zaczerwienione.

Nie śmiejąc jéj powiedzieć, że wié o wszystkiém, Edward przesiedział część wieczora, nie umiejąc poprowadzić rozmowy. Tu dopiero mógł ocenić wielką ofiarę dziewczynki, gdy sam na sobie sprobował, jak nietylko uczucie, lecz wiadomość obchodzącą mocno, trudno w sobie pogrześć, aby się z nią nie wydać.

Nazajutrz Julka wstała; nie była ona zupełnie zdrową, lecz choroba odeszła, zostawując tylko ślad po sobie—osłabienie. Dłużéj nie mógł już wytrzymać Edward, pasując się z sobą, nie potrafił wymódz na sobie, zachowania tajemnicy. Wieczorem, gdy sami tylko zostali, zbliżył się do Julki, wziął ją za rękę i przyciskając do serca—rzekł.

— Juljo, nacoś to przedemną taiła, za cobym dał życie?

— Co? krzyknęła przestraszona Julka, ja taiłam przed—tobą? ja?

— O! umiem ja ocenić twoje poświęcenie mój aniele, zawołał, postrzegłaś moją miłość, chciałaś mnie z niéj wyleczyć i udawałaś żeś jéj nie podzielała.

— Ja? ja? na Boga! cóż to, wołała Julja — Cóż się stało? jakim sposobem? ach!

— Gdyś była chora, wszystko powiedziałaś w gorączce, wszystko słyszałem, wiem wszystko.

I ukląkł przed nią, całując jéj ręce. Julja tak była przestraszona, przejęta, zdziwiona, pomieszana, że długo słowa wymówić nie mogła.

— Stało się! Bóg tak chciał! zawołała, zginęliśmy! O! nieszczęśliwa!

Te wyrazy płacząc powiedziała.

— Cóż ci to jest? spytał zmieszany Edward, co ci jest? czego płaczesz? Wstyd ci? Jestże wstydem pokochać. — Któż drugi jak ty kochaćby potrafił? Juljo! uspokój się!

Ona rękoma twarz zakryła i płakała.

— Na Boga, na wszystko zaklinam cię, zawołał Edward, uspokój się, ulituj nademną. Chceszże iżbym się skarał za to, żem ci to nieostrożnie powiedział. Juljo, maszże mnie za człowieka tak podłego, żebym z twoich uczuć dla mnie chciał podle korzystać? Czyliż już mi nie wierzysz?

— Tobie! zawoła Julja przychodząc do siebie, o najszlachetniejszy człowieku, godziłożby się nie ufać? Chciałżebyś téj którą—powiadasz że kochasz zostawić w nagrodę jéj przywiązania zgryzoty? Chciałżebyś korzystać z mojego położenia?

— Nigdy, zawołał Edward uniesiony, exaltowany, który w téj chwili nie wiem na coby nie przysiągł, nigdy! przysięgam ci! kocham cię jak anioła, który mi się cudem u Matki Bożéj Obrazu zjawił, jak siostrę; szanuję ciebie, czczę.

To mówiąc klęczał i w ręce ją całował; milczeli długo oboje. Położenie ich tak się nagle zmieniło, iż nie wiedzieli jak teraz przemawiać do siebie. Julja mimo przysiąg Edwarda była bardzo smutna.

XVI

— Wieszże ty, mówił nazajutrz Edward do Julji, wieszże od jak dawna kocham ciebie?

— Wiem, odpowiedziała mu naiwnie, dzień prawie i godzinę od któréj się miłość twoja poczęła a moje cierpienia. Naówczas spytałam i ja siebie raz pierwszy, a serce mi odpowiedziało, że kochałam ciebie. Biegłam i modliłam się do Matki Bożéj, jak wczoraj, dziś i codzień czynię, aby się opiekowała sierotą i nie dała jéj zginąć. I wówczas zaraz weszła mi do duszy myśl tajenia mojego uczucia przed tobą, uczucia, z którém walczyłam tak długo, aż nieprzewidziany wypadek.—Ach! płonę cała ze wstydu! tyś podsłuchiwał!

— Nie myśl żebym to czynił z ciekawości — byłem niespokojny o ciebie, zdawałaś mi się chorą, lękałem się. — Gdy pierwsze słowo z ust ci się wyrwało, gdym mógł już domyślać się reszty, nie miałem sił uciekać, nacóżby się to zdało? Nie lepiejże, że wszystko skończono i spokojność obojgu wróciła?

— Spokojność? spytała Julka powolnie, ufaszże w przyszłość?

— Widzę ją jasną i szczęśliwą jak dzień dzisiejszy.—Wkrótce.... Tu się zatrzymał chwilę.

— Tak, dodał, ty będziesz moją żoną!

— Ja! porywając się zakrzyknęła dziewczynka, ja! tyś to pomyślał! tyś to powiedział szczerze?

— Najszczerzéj!

— O! dzięki ci za to słowo — odpowiedziała po chwilce, umiem z niego ocenić ciebie, i poznaję żeś mnie więcéj kochał niżem się spodziewała. Dzięki ci—za przyrzeczenie; ale ty marzysz w zapale, a mógłżeś sądzić, abym ja taką przyjęła ofiarę?

— Jestże to ofiara?

— W téj chwili, nie pojmujesz jéj, ale ja, ja widzę wszystko sercem, mojem przywiązaniem ku tobie—O! to nigdy, nigdy być nie może!

— Wątpiszże o mnie?

— Ja, twoją żoną, mówiła Julja, ja sierota, ja biedna dziewczyna, ja bez rodziny i nazwiska? A cóż na to powie świat, krewni twoi, rodzina?

— Muszą zezwolić.

— Zezwolą ale co pomyślą! odpowiedziała Julja—jestże w waszym świecie kto taki coby pojął, coby uwierzył, że żyjąc z sobą tyle czasu, byliśmy czyści oboje? Chciałżebyś żeby żonę twoją wskazywano palcami! O! nigdy! nigdy!

— Więc oddalim się od nich.

— W pierwszéj to chwili takie się robią zamysły. Ja nie znam waszego świata, ale go z książek przeczuwam. Dla jednéj kobiety, nie zerwie człowiek wszystkich węzłów które z nim wiążą świat,

które go łączą z rodziną, towarzystwem, z wszystkiem do czego od młodości przywykł, co kocha nałogiem. Mógłbyś się oddalić od nich, lecz pożałowałbyś tego, a wówczas ja, jabym tylko cierpiała, żem przyjęła ofiarę nad siły. Nie — Edwardzie — zostańmy jak jesteśmy, czyści i dalecy od siebie — widujący się jak przedtém, zostawmy losowi resztę, może on rozwiąże tę zagadkę okropną, którą ty sam, podając mi rękę zadałeś sobie i mnie. Twoją żoną! twoją żoną! powtarzała, znać żeś to wyrzekł w zapale.

— Ale ja nad tém myślałem, myślałem długo, rzekł Edward, nie jest to urodzony w téj chwili projekt, któryby bezsilny mógł spełznąć, ja go doprowadzę do skutku, jam go ważył, ja go rozebrałem. Słuchaj mnie, nie mam blizkich krewnych, jestem także sierotą, nikt nademną praw żadnych niéma, jestem wolny i swobodny. Świat ten, z którego ci czynię ofiarę niczém jest dla mnie, mało w nim żyłem, małom go kochał, od roku i więcéj, całkiem się go już dla ciebie zaparłem. Wszystko więc jest podobném do uskutecznienia, niéma ofiary, trudności, zawady.

— Edwardzie, odpowiedziała Julja, tak tylko dziś ci się zdaje. Cóż gdybyś po roku, gdybyś w lat dziesięć, lepiéj poznawszy tę, z którąś się połączył, żałował swego kroku. Mogłażbym to znieść i nie umrzeć z rozpaczy? Pod wpływem uczucia wszystko ci dziś zdaje się łatwem, podobném; a ja się lękam, ja widzę że to być nie może! Jestżem tego warta? Znamże ja ten świat do którego mnie wwiedziesz, zwyczaje, przyzwoitości, jego mowę, jego ruchy? Nie byłażbym śmieszną, zuchwałą, ja com żyła w tułactwie, ja sierota! A ileż cierpień, ile wstydu na tym świecie waszym by mnie czekało? Nasza przeszłość nie byłażby dla twoich braci obrażonych, do tysiąca potwarzy osnową? Nie, Edwardzie — jest wielka słuszność w tych granicach, które klassy między sobą kładą. Czytałam o tém szyderstwa, a czułam że niesłuszne. Biada temu, kto próg w dół lub w górę przestąpił, w jednym i drugim razie, prędzéj czy późniéj żal go czeka. — Swoi go nazad nie przyjmą, a tamci odepchną, zostanie sam jeden!

— Lecz to, rzekł Edward, co ci się tak nieuskutecznioném i trudném wydaje, codzień się dopełnia na tym naszym (jak go zowiesz) świecie, bez wrzawy i podziwienia. Codzień schodzą jedni, podnoszą się drudzy—ludzie zaledwie na to patrzą. Wreście, mamże wszystko powiedzieć? najtrudniejszém w tych przejściach z jednéj do drugiéj klassy towarzystwa, nie jest przyjęcie téj lub tego, którzy już czémś zasłużyli na to, ale przyjęcie z niemi razem ich koła, ich rodziny. Tyś sierota, ty nie masz nikogo.

— To prawda, odpowiedziała Julja, jeślibym była zawadą, to sama jedna tylko.—Przecież, dodała z gorzkim uśmiechem i sieroctwo na cóś się przydało. Jednakże im więcéj myślę, tém mocniéj czuję, że to nigdy być nie może.

— Ale to będzie! zawołał Edward.

— Nie, nie, odpowiedziała Julja stanowczo, ja widzę, ja czuję, jabym tam była tobie ciężarem, tybyś się mnie wstydził, jabym była śmieszna! Dla ciebie świat ma jeszcze tyle obietnic, tyle nadziei, i tyś bogaty, dobrze wychowany, młody, miałżebyś skończyć na tém, co i ja i ludzie nazwą szaleństwem młodości!

— I ty mogłabyś tém imieniem, nazwać naszą świętą miłość?

— O! z innego świata, inaczejbym ją widziała, inném może nazwała imieniem, z naszego, tutejszego, jakże ją nazwać, proszę! Może, gdy kiedyś w niebie, tam będziemy, wyda się ona piękną i szlachetną, ale na to potrzeba, dodała z westchnieniem, aby się skończyła jak zaczęła — ofiarą.

XVII

Późno wieczorem Edward odszedł zamyślony, mimowolnie uderzyły go pełne trafności, rozsądku i uczucia słowa Julki, która teraz jeszcze mu się wyższą, jeszcze wydała cudowniejszą istotą. Przywiązanie jednak ku niéj, zbijało wszystko, co przeciw niestosownemu związkowi powiedzieć było można. Ufał też że Julja da się w końcu przekonać i nakłonić.

— Na Boga, rzekł do siebie po chwili rozmysłu, gdybym to co się zemną od roku dzieje, jednemu z moich przyjaciół powierzył, myślałby żem oszalał, albo przez sen bredzę! A jednak to wszystko stało się i dzieje!

I miał słuszność, bo ze zwykłego stanowiska uważana, dla tych którży nie wierzą w cnotę, w ofiary, w exaltacyą poetyczną, jego historja wydałaby się bajką z Tysiąca Nocy. Słyszałże kto o czém podobném dzisiaj, o dwojgu takich kochanków, którzyby dotrwali czyści najwyższego rozkwitnienia namiętności?

Nazajutrz około południa Edward jak był przywykł, szedł na Antokol, myślał o Julce, o sobie i o dziwaczności położenia i stosunków w których zostawali. Zadumany przebył ścieżkę stromą, zbliżył się do drzwi, wszedł do izdebki.—Spotkał się z służącą.

— Gdzie pani?

— Gdzieś wyszła.

— Zapewne do Ostréj-bramy na mszą, rzekł do siebie, a potém na przechadzkę, poczekam na nią.

Usiadł i czekał, Julja nie przybywała, południe minęło, jéj nie było. Natenczas uderzyło go dopiero, gdy spojrzawszy na jéj łóżeczko, nie zobaczył nad niém Obrazu Matki Bozkiéj. Serce uderzyło mu gwałtownie, wzdrygnął się, porwał, przestraszył.

— Gdzieżby się podziała? zawołał chodząc niespokojny.

— Ale to marzenie, dodał po chwilce, to marzenie tylko, dla czegożby....

Tu na myśl mu przyszły wczorajsze jéj słowa, że miłość ich powinna się skończyć — ofiarą. Zadrżał, ale jeszcze swemu nieszczęściu nie wierzył. W tém na stole spostrzegł papier i swoje imie na nim.

Pochwycił go, to była ręka Julki; bezprzytomny rzucił się na kanapę, rozdarł go nie rozwinął i czytał.

Było tam tylko kilka słów pożegnania bolesnych, bo prostych, bo pod niemi znać było łzy i cierpienie straszne. Julka dziękowała mu za wszystko, prosiła, aby jéj nie szukał, błagała aby przyjął ofiarę.

— Ty, pisała, mam ufność w Bogu, będziesz szczęśliwy, ja pójdę tam gdzie modlitwą, poświęceniem, pokorą kupię spokojność i pociechę. Dłużéj być razem nie mogliśmy, a zawsze, ty wiesz, że było niepodobna.

Kończyła bolesném pożegnaniem.

Gdy skończył czytać Edward porwał się za włosy:

— Głupi! szalony, zbójca jestem, zawołał—nie znałem tego anioła, nie wiedziałem jeszcze jak postąpić! Potrzebaż było straszyć ją ślubem, aby zmusić do nowéj ofiary!

Rozpacz jego była istotnie okropna—nie myślał jéj szukać, nie umiał, zwierzyć się lękał komukolwiek, pozostał pod ciężarem nieopisanéj boleści. Sposób jeszcze w jaki ją utracił, dodawał mu żalu; bo go pozbawiał wszelkiéj nadziei. Ze słów listu łatwo się było domyślić, że Julka musiała wejść do klasztoru. Chociaż do pewnego przeciągu czasu, mogła jeszcze się cofnąć; niepodobna było prawie odkryć ją w murach klasztornych, nieprzystępnych badaniom. Druga trudność, Julka nie miała nazwiska, należała do klassy licznéj, w którą wmieszana, utonęła jak w morzu.

Wszystko więc zapowiadało Edwardowi, że życie jego wśród najpiękniejszych nadziei, rozerwało się i poczerniało nazawsze.

XVIII

Powolnie upływał czas Edwardowi, który nie wrócił do raz porzuconego świata i żył sam tylko w sobie. Przeniósł się on do owego domku, pod którego dachem krótkich kilka chwil przepędził z Julką. Tu ze wspomnieniami żył swemi. Wszystkie sprzęty zostały na swoich miejscach, jéj łóżeczko usłane, jéj robota, jéj ulubione kwiatki; zdawało się, że wyszła tylko i miała powrócić za chwilkę. Lecz nie myślcie, że Edward wzdychał tylko i płakał; nie jest w naturze ludzkiej długo w ten sposób utraty czyjéjkolwiek żałować. Usiłował on życie zapełnić czém więcej, oddał się nauce, a gasząc w sobie młodzieńcze ognie, zostawił tylko za całą pamiątkę młodości, wspomnienie Julki, które możeby mu snem tylko się wydało, gdyby nie to mieszkanie, przypominające ją tak żywo.

Rok upłynął, rok długi i jednaki. Napróżno starali się przyjaciele wciągnąć go w świat, rozbić tę mizantropią, w któréj żył i nakłonić go do przemiany sposobu życia. Bez gniewu, zimno, odpychał ich rady, dziękował za życzenia, ale pozostał jak był. Jedyną jego rozrywką, najmilszém stanowiskiem, na którém przepędzał długie czasem wieczory, modląc się; bo teraz bardziéj niż kiedykolwiek stał się pobożnym, była galerja przed obrazem Matki Bożéj Ostro-bramskiéj. Ludzie się śmieli z nabożeństwa, nazywali to dziwactwem, on litował się nad nimi, że go pojąć nie mogli.

Z tego miejsca codzień wieczorem, powracał spokojniejszy, ufny w przyszłość nieziemską, w życie lepsze, które wszystkich rozpierzchnionych przyjaciół połączy, wszystkie dłonie i serca przytuli na łonie Bożém. Tam on spoglądając na miejsce, w którém raz pierwszy ujrzał biédną sierotę płaczącą, w którém ze łzami dawno nieznanemi rzucił jéj jałmużnę, mającą go z nią połączyć, tam on nie raz z westchnieniem do Matki Bożéj, pytał, czy ta miłość niewinna i czysta, zasłużyła na tak okropny koniec? Potém, korzył się przed wolą Boga i znowu nadziejami swemi wybiegał na świat lepszy.

— Jeśli nie tu, to tam, mówił—musim się połączyć! Cierpieć, nie jestże przeznaczeniem naszém?

Czuł Edward, że każda przechadzka do świętego obrazu, spokojniejszym go czyniła, czuł że promienie łaski, któremi Bogarodzica świat obsypuje i na jego zranione padały serce; a im więcéj ufał w Bogu, tém spokojniejszém okiem patrzał w przyszłość. Miłość jego nie zmniejszyła się, ale pobożnością umiarkowała, oczyściła, upiękniła; a była wówczas taką, że gdyby ją był świat nasz szyderski zobaczył, byłby jéj nie wierzył, byłby ją nazwał szaleństwem. Edward też taił ją jak skarb w sercu.

Jednego wieczora późniéj niż zwykle wyszedł z domu, gdy przybył do Ostréj-bramy, była prawie godzina, w któréj niegdyś pierwszy raz Julkę tu zobaczył. Wspomnienie tém bardziéj go uderzyło w serce, że i pora była taż sama, taki sam chłodny wieczór jesienny, takież niebo, taż miasta fizjonomia, taż spokojność. A jakby na powiększenie boleści i złudzenia, w miejscu, w którém ujrzał biédną sierotę, raz piérwszy, postrzegł znowu klęczącą kobiétę, czarno ubraną. Serce mu uderzyło gwałtownie, stanął i modlił się, a mimowolnie oka z niéj nie spuszczał. Ona obejrzała się po chwilce a widząc z odkrytą głową modlącego się mężczyznę, odwróciła się, poruszyła, przeżegnała, odeszła.

Kiedy szła Edward mógł lepiéj ją rozpoznać.— Suknie jéj nieokazywały stanu, były czarne, skromne, na głowie miała chustkę, twarzy nie widział bo się odwróciła, lecz chód, poruszenie, cóś nieopisanego przypomniały mu Julją; obejrzał się, już jéj nie było. Serce jeszcze mu biło gwałtownie pod ciężarem wspomnienia, ale wkrótce ukołysała je potęga modlitwy. Bardzo późno już do domu powrócił, i długo zasnąć nie mógł, nie umiejąc sobie wracającego co chwila niepokoju wytłumaczyć. Dawno już podobnego nie doznawał.

Nazajutrz znowu późniéj niż zwyczajnie poszedł do Ostrej-bramy, nie taił przed sobą, że chciał zobaczyć ten cień Julji, to jéj żywe wspomnienie; że żądał tego zjawiska, które go tak żywo przenosiło w miłą przeszłość. Ale nazajutrz nikogo tam nie znalazł, pusto było i cicho.

Naówczas znikła iskierka jakiejś niedogasłéj nadziei, która mu, choć sam się do tego nie przyznawał, znowu zaświeciła w głębi serca; wrócił do dawnych pociech, nie rojąc już innych; a smutnie żegnając się z niemi, dziękował i za dwa dni, które przemarzył.

— Oczewiście, powiedział sobie, był to przypadek, ta kobiéta nie była Julją, moja wyobraźnia przypisywała jéj podobieństwo postaci i ruchu, których wistocie nie było.

I znowu rok upłynął, znowu takaż jesień nadeszła. Edward w niczém nie zmienił trybu życia, kupił tylko ów domek nad Wilją, urządził go na mieszkanie dla siebie, a dwie izdebki Julki, zostawił jak były. Tam przychodził on czytać, rozmyślać, modlić się. Świat wreście, który chwilę tylko zajmuje się człowiekiem, zapomniał Edwarda i przestał go ku sobie pociągać. On stworzył sobie w samotności życie o tyle, o ile z bolem w duszy, znośne być mogło; dzielił je między czytanie, rozmyślanie, rysunek, muzykę, modlitwę. Człowiek umiejący żyć duszą, z temi pomocnikami potrafi obejść się bez ludzi i świata, gdy ma tylko spokojne sumienie i widok przyrodzenia, tego wielkiego obrazu, którym nasycić się nigdy niepodobna. W młodym nawet zabije praca, namiętności, popędy i wszystko co w nim ze zwierzęcia zostało, życie uciecze do głowy, do serca i szczęście spokojne, pogodne jak piękny dzień jesieni, zabłyśnie nad nim. Biada temu kto tego szczęścia nie pojmuje, nigdy on szczęśliwy nie będzie, a zawsze płakać swéj przeszłości.

XIX

I znowu jesień nadeszła, ta pora, która smutnie przypomina człowiekowi nadchodzącą lub nadejść mającą starość. Edward nałogowie już życia swego porządkowi był posłuszny. Od czasu jak w Ostréjbramie przed rokiem spotkał tę postać tajemniczą, która mu przypomniała Julkę, chodził na modlitwę później daleko, wracał prawie w północ do domu; ale nigdy nie zjawiła się więcéj.

Właśnie rok prawie był temu, gdy raz w wieczór posępny, przyszedł na swoje miejsce. Zwyczajnie nikogo tu nie zastawał, stracił więc nawet nadzieję i nie patrzał w galerją pamiętną mu piérwszém Julki poznaniem. Wśród modlitwy przypadkiem obrócił oczy, cofnął się i zadrżał. Taż sama w czerni kobiéta klęczała tam. Ona nie widziała go i modliła się, oczy jéj były wzniesione, ręce załamane, słyszał szmer słów niewyraźny i cóś jakby płacz tłumiony. Głos ten którego tylko odbicie słabe dochodziło jego uszu, przypomniał mu żywiéj jeszcze Julkę, zbliżył się, spojrzał znowu. Blady promień lampy płonącéj przed obrazem padł na twarz i oświecił ją. Zaledwie mógł oczom swym uwierzyć Edward.

— To ona była!

— O! teraz, rzekł w duchu, padając na kolana, teraz nic nas nie rozłączy!

Ona posłyszała szelest, obróciła się, spojrzała, porwała, chciała uciekać, Edward rzucił się naprzeciw niéj.

— Juljo! zawołał, w imie Boże, zatrzymaj się! zatrzymaj!

— Panie—ja pana nie znam! proszę mnie puścić! odezwała się kobiéta.

— Nie znasz mnie, rzekł znowu Edward, Juljo! ty mnie nie znasz? możeszże to powiedzieć! Posłuchaj, proszę cię, wstrzymaj się. —Nie oszukasz mnie, poznałem cię, nie puszczę, przekonasz się, że twoja ofiara, nie była tylko tobie ofiarą. Dwa lata upłynęły, znalazłaś mnie tu znowu, wiernego twemu wspomniemu.—Świat, którego według ciebie, miałem żałować, opuściłem, on o mnie zapomniał.

Kobiéta płakała.

— O słowo jedno cię proszę, aniele mój drogi, zawołał Edward, nie znaszże już mnie? zapomniałaś! powiedz mi, jestżeś szczęśliwą?

Kobiéta milczała jeszcze.

— Wiec odpychasz mnie!

— O! Edwardzie! odezwała się nareście słabym głosem.

— Juljo moja!

— Prawdaż to coś mówił, żeś mnie nie zapomniał jeszcze?

— Chodź i przekonaj się o tém, odpowiedział jéj—ja mieszkam w twoim dawniéj domku, żyję tam twojém wspomnieniem. Od dwóch lat nic nie poruszono z miejsca, i jam się ztamtąd nie oddalił, chyba żeby tu przyjść się pomodlić. Małoż to jeszcze dowodów?

— O! wartażem była tego! po cichu wyrzekła Julja.

— Lecz teraz, przerwał jéj Edward, wszak prawda, tyś poznała że to przywiązanie musi być wiecznόm, że się niém opiekuje Matka Boża, ty już nie opuścisz mnie, Juljo powiedz—wszak nigdy?

— Nigdy!

XX

W tydzień potém czytano zapowiedzi w kościele XX. Karmelitów, Edward się żenił, całe miasto gadało o tém, nie pojmując tego kroku, jak wprzód nie pojmowało nabożeństwa i samotności. Nie potrzebuję mówić, jak okrutnie z żymali się na to wszyscy krewni, jakie historje pomyślano na biédną sierotę.

Dwa lata próby męczeńskiéj, w ciągu których nie spuszczając oka z Edwarda, służyć musiała, uczyniły ją świętszą jeszcze w oczach jego; może straciła na nich piękność dziewczynki, lecz prędko znowu pod szczęściem zakwitnąć mogła. Dusza jéj, umysł, serce, na otarciu się o świat zyskały jeszcze, nabierając siły i charakteru.

Wzięli ślub przed Obrazem Matki Bożéj Ostrobramskiéj, przed którym się piérwszy raz poznali, błogosławił im najstarszy Karmelita, siwy jak gołąb staruszek, który wiedząc ich historję, polecił opiece Najświętszéj Patronki. Wesele odbyło się bez żadnych przyborów, w domku na Antokolu,—ja tylko na niém byłem, miód wino piłem... resztę wiecie.

KONIEC.

TOMKO PRAWDZIC.

WIERUTNA BAJKA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

. . . . Rzekł mu Piłat: Co jest prawda?
S. Jan. Rozdz. XVIII. w. 38.

? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ? ?
Epigraf z niewydanéj rozprawy
o Filozofji przez X. X.

SŁOWKO AUTORA.

Powiastkę tę, jeśli ją tak nazwać można, zaczynałem, rzucałem, pisałem i przestawałem kilka razy, czując dobrze jak wielkie i niestosowne zadanie w maluczkich i lekkich objąć chciałem ramach. Ale z człowiekiem tak się najczęściéj dzieje, że go niepodobieństwa nęcą i trudność wabi urokiem jakimś;—dla tego może powracając pokilkakroć do Tomka, którego sobie umiłowałem, nareszcie skończyłem go, czując dobrze że to Jean Paul'a i jeszcze jakich kilka w dodatku piór potrzeba było, żeby to choć znośném uczynić.

Znając ułomność dziecięcia i przyznam się szczerze że to jedno z moich ukochanych, rozśmiejecie się zapewne, a ja wcale się za to gniewać nie myślę. Miłość, nawet w takich sprawach wyrozumować się nie da, i logiką zwyciężyć ją niepodobna. W teraźniejszem wydaniu Tomko z bardzo maluczkiemi odmianami, pokazuje się takim jakim powstał w latach gdy u nas wszystko na filozofią chorowało. Dziś może mniej zajmie, bośmy zupełnie zobojętnieli, nie żebyśmy mieli być lepsi, ale żeśmy na innym jakimś szczeblu życia, na którem nie wiele nam chodzi nawet o to co w istocie najgoręcéj serce-by i umysł zajmować powinno. Nie umiem określić nawet co dziś najbliżéj serca naszego? a boję się zgadywać, bym przykrzejszéj nad wszystkie w téj książeczce zawarte prawdy, nie powiedział.

Czytajcie jeśli możecie, przebaczcie jeśli się nie podoba.

Żytomierz dnia 3 Maja 1857 r.

Hubin dnia 28 Stycznia 1850 roku.

DO

WALERJANA WRÓBLEWSKIEGO

W ZIELIŃCACH.

Oto masz znowu kochany Walerjanie książeczkę moją, a co gorzéj, jak widzisz, przypisaną Tobie.— Żal mi że nic innego w téj chwili nie mam cobym ci mógł przesłać, bo Bóg jeden wie jakiego losu i przyjęcia dozna nasz Tomko Prawdzic. Dziewaczna to ramota, kochany Walerjanie, a może i nicpotém, ale jak biedne, chore, słabiutkie dziecie, ja ją kocham, i jak przyjacielowi ojciec to dziecię przynoszę. Daj Boże, byś sobie moje dla słabéj dzieciny uczucie wytłumaczył.

Kochaj mnie i niezapominaj o mnie

twój

Józef.

I

Żaden wielki człowiek nie urodził się jeszcze bez zwiastujących go światu przepowiedni —jest to rzecz dowiedziona. Celem tych proroctw, które się dopiero najjaśniéj tłumaczą, gdy ich tłumaczenie na nic się już nikomu nieprzydało, jest zapewne: świat uprzedzić, aby go bohater z nienacka nie zaszedł, i palpitacją serca nie nabawił.

Czytajcie Plutarcha, Korneliusza Neposa, lub zresztą jakiekolwiek żywoty sławnych ludzi dawnego autoramentu, a przekonacie się, że każdy z nich oznajmił się we śnie, czy na jawie, jakiem symbolicznem marzeniem, lub brzemiennym w znaczenia wypadkiem. Starożytni, których przywykliśmy szanować, nie puścili w świat żadnéj biografji bez tego nagłówka; my po części ich naśladując, po części dla tego, że niechcący im jesteśmy podobni jako ludzie, po części że choć nie powinniśmy trochę zawsze wierzym jeszcze w przeznaczenie; my także utrzymujemy jak oni, że wielkich ludzi kolebka cudami się otacza, i wpatrujemy się w jutrzenkę, gdy nam oznajmią o mającém wschodzić słońcu.

Nasz także bohater— —

Ale nie powiedzieliśmy jeszcze o tém, że mamy dla was bohatera w kieszeni.

Stójmy więc, a wprzód nim opiszemy jak on się światu zapowiedział; wyłuszczmy *more antiquo* i przez uszanowanie dla saméj Logiki, kto on był i z kogo się rodził.

Procedencja bohatéra jest rzeczą wielkiéj wagi, już dla tego, aby rzeczywistą jego exystencję dowiodła tym, którzy gotowi w nią uwierzyć; już żeby nasza klejnotna szlachta nie krzywiła się, sądząc, że ją częstujemy jakimś szerepetką, który wypadł

sroce z pod ogona.—Darujcie mi to wyrażenie, nie jest ono nasze i nie pierwszy się raz drukuje, mamy za sobą powagę autora Soplicy, który także nie wypadł sroce z pod ogona.

Zacznijmy więc od procedencji, genealogji i zwykłego wstępu.—

Na poczciwéj Litwie, którą powszechnie mają za mniéj ucywilizowaną od reszty tego światka, którego była niegdyś częścią, żyła zacna rodzina Prawdziców. Biedna nasza Litwa, że trochę przeciągle wymawia, że często dorzuca *da*, że nie muska czupryny wymyślnie, używając zamiast grzebienia pięciu swych palców, a jeździ kałamaszkami, wszyscy ją mają za mniéj ucywilizowaną. Boże odpuść potwarcom! dla nich cywilizacja cała w krawieckich nożycach, tancmistrzowskich krygach i wiedeńskich koczach.

Na Litwie tedy żyli państwo Prawdzicowie. Wiécie bez pochyby, że to stary ród szlachecki? Wszakże musieliście czytać herbarz przynajmniéj Niesieckiego pod pretextem historji, a wistocie dla tego, że teraz znowu w modzie herby i herbarze. Wiécie więc, że herb Prawdzic (tak nazwany dla tego, że prawdy w podaniach o nim dopytać się trudno) pochodzić ma z Dacji, i że na nim wyobrażony jest lew. Nie lew, jaki bywa po prostu w naturze jaki się sobie swobodnie na czterech nogach przechadza po afrykańskiéj pustyni, ale ów konwencjonalny heraldyczny lewek z wywieszonym języczkiem, z zakręconym wytwornie ogónkiem, ufryzowany starannie i umiejący służyć na dwóch łapach jak szpice. Ten lew, mówi Jezuita Niesiecki, trzyma w łapach *Prawdę*, a ta prawda jest żelazna!

Zakrzyczycie mnie pewnie pytaniem jak wygląda owa prawda? co to jest prawda? Ale stójcie! Ta żelazna Niesieckiego prawda wyglądająca na kształt obwarzanka (kształt symboliczny) jest z rodzaju stołowych prawd, co to je kładną pod butelki i szklanki, aby dobrze wychowani ludzie nie poplamili dobrze wypranego obrusa. Jest to tedy tylko podstawkowa, nędzna, biedna prawda, o którą i pytać nie warto.

Prawdzice zaś wywodzą się od owego Androklesa (zobacz w wypisach na klasę drugą) którego nasz Niesiecki przezwał Androdem, a który w Afryce lwa uleczył, za co lew wspaniale mu się odwdzięczając, pocałował go potém w rękę przed prokonsulem i zgromadzonym ludem. Prokonsul zaraz jako człek domyślny (pisze Okolski, który o tém wié najlepiéj, bo mu to krewni bliscy Androklesa rozpowiadali) *stante pede*, nadał nietylko Lwa na własność Androklesowi, ale mu go za herb przyznaczył, mówiąc: Słuchaj chłopcze! Jak herbów zaczną używać, co ja już przeczuwam, twoi potomkowie będą mieli gotowy.

Androkles ukłonił się, schował nadanie do pugilaresu i na tém się skończyło.

A że wszystko to *nieprawda*, potomkowie Androklesa, którego na świecie nie było, zowią się Prawdzicami. Zdaje się logicznie—nic zarzucić nie można.

Tych Prawdziców nietylko u nas w Polsce, ale po całéj Europie pełno było: Meninowie w Etrurji, Hrabiowie de Dinhejm nad Renem i t. d. wszystko to Prawdzice, Androklesowicze. Któryś z tych Lwów, ożenił się z dziedziczką (herbowną) czerwonego muru: odtąd mur czerwony zakrywający pół lwa (dla przyzwoitości) zjawił się na herbie. Któryś z nadreńskich Dinhejmów znowu, ożenił się z córką Jana Prawdy hrabi na Szczawinie i Trąbkach, sędziego ziemskiego Gostyńskiego; a gdy dawano w łapy Dinhejma pannę Prawdziankę, włożono i w łapy herbownego lwa prawdę, aby jego także czemś zaspokoić. Ztąd konfiguracja herbu, jaką ją dziś szczęście mamy oglądać. Lew tylko jakby nierad z owéj niepożywnéj żelaznéj prawdy, skrzywił się zaraz i dotąd się krzywi.

Prawdzice pisali się z Trąbek, z Łabiczyna, z Golczewa, ze Szczawina, a tak się z czasem rozmnożyli (*coelo favente*) że z nich wyrosło kilkadziesiąt familji. Nasi Prawdzice mieli przydomek Łaszczów, a któż z was znowu nie wié, że pierwszy Łaszcz za Zygmunta III, podgolił sobie czuprynę?

Był to wypadek na pozór drobny, ale ogromne mający w istocie znaczenie; pierwszy co sobie łeb podgolił, czuł że ta moda odpowiadała potrzebie wieku, że już za Zygmunta III. ledwie trochę czuba różniło nas od mieszkających u Bonifratrów. Wiek Zygmunta III. i symboliczny Łaszcz poczynają epokę upadku. Niestety! trwał jeszcze dla podgolonych czupryn mięsopust długo, a prawnukom dopiero zostały—popiół i śledzie i długie włosy *a la mougik*.

Stary pan Prawdzic miał imie Bartłomiej; śliczne imię hreczkosieja, imię, z którém złym gospodarzem być nie można, bo ci nieustannie przypomina, że na imieniny pierwsze żytko posiać powinieneś.

On był Bartłomiéj, ona miała imię Hanna. Jejmość równie dobra szlachcianka, rodziła się z Leliwy, a po ojcu używała Roli (na pieczątce, gdyż ojciec nie zostawił jéj ani zagona); nazywała się nawet Rolanka. Poczciwy to był ród.

Dziwnym składem okoliczności, matka Prawdzica starego była z domu Krojów (alias Lemiesz choć to nie wszystko jedno), co wedle niektórych dowodziło nobilitację od pługa, na co nosy krzywiono, woląc gryfy i jastrzębie od poczciwego pługa, dającego chléb i znaczącego pracę!

Mówię wam zaprawdę, że nie darmo nasi herbologowie, zwłaszcza Okolski, mówią zawsze o charakterze rodów—o! niedarmo!

Ludzie co nosili w herbach Rolę, Kroję, z ojca w syna byli gospodarzami. Wyrwał ci się niekiedy i z tego spokojnego gniazda zawadyja, paliwoda, rębacz, wojak, ale to ogólnego nie łamało prawidła: dom przecie był gospodarski.

Macie tedy już do sytości o przodkach i antenatach, może nawet za wiele, ale nie chciałem pozostać w tyle od innych historyków naszych, którzy do żywota bohatéra bez tego wstępu, jak do obiadu bez kielicha wódki *przystąpić* nie umieją, lepiéj się potém reszta trawi.

Dla czegożby doprawdy życie dziadów nie miało w pewien sposób objaśnić historji wnuków. Wszak dowiadujecie się, kto rodzi konia, gdy go do stada kupić macie, pytacie się także, jaka krew w jego żyłach płynie? I myśmy trochę konie pod pewnemi względami.

Nasi przodkowie dają nam narzędzia, któremi dusza od Boga zesłana ma się światu objawić. Ważne są i one (ja zupełnie pojmuję dla czego starożytni jacyś prawodawcy krzywe i słabe dzieci topić kazali jak kocięta).—Arystokraci nasi mają wielką słuszność, że się z przodków chlubią: mięso, ciało, bydlęcą swą część są im przecie winni; boć spodziewam się, że nie myślą im dziękować za duszę, którą Pan Bóg jednaką i równą każdemu daje.

Bartłomiej Prawdzic, dożył naszych czasów w świętéj prostocie, świętéj mierności, niewinności i pokoju, a obrzydzeniu tych szatańskich inwencji, któremi młodsze pokolenie zachwyca się jako postępem.

Miał on na Litwie wioseczkę jak wszystkie nasze, z jednéj strony lasy, z drugiéj błota i sianożęcie, środkiem poletki i wioska z dwudziestu złożona chatek, czarnych, dymnych, niskich, biednych. W końcu jéj stała karczemka i kościołek, daléj nieco dworek w drzewach starych, prawdziwy dworek szlachcica. Około niego lamusik i sérnik wysoki, studnia z żórawiem, loch z białą piersią i grzbietem garbatym, stodoła z krzyżami i rokiem budowy wyszytym misternie snopkami na dachu. Dołem przy młynku nad grobelką stała gorzelenka; staroświecka, pochylona, okopcona, trochę kulawa, a w niéj ile kotłów, kociołków, czapek, trąb, swędu, błota, dymu, żydów i satysfakcji!

Wspominamy tu o wszystkich budowach gospodarskich, o których słowaby rzec nie czuł się obowiązanym innego kraju powieściarz, a to dla tego, że one regulowały i przytykały zewsząd do życia pana Bartłomieja. Coby on robił, gdyby ich tam nie było? gdyby z kąta w kąt nie chodził, nie dreptał, nie gdérał i co się zowie nie gospodarował! Poczciwa panni Hanna miała także swój wydział gospodarski: podwórko ptastwa pełne, motki, płótna, grzyby, jagody, lekarstwa, apteczkę, przysmaczki, wygódki, kuchnią; do niéj wyłącznie należące.

Jak tam czas schodził? wiécie już pewnie. Modlitwy, gawędka cicha i nienamiętna, gospodarska, powolna, z wieśniakiem narada, pomoc w potrzebie dla niego, nabożeństwo—to były jedyne żywioły ich życia. Czasem sąsiad gość, czasem jakieś dziwne i z karbów zwyczajności wychodzące zdarzenie, ożywiały to spokojnem korytem płynące *żytko* szlacheckie.

(Darujcie neologizmus, przebaczcie uwadze że *żyto* musi się tak nazywać, z powodu iż utrzymuje życie.)

Bartłomiej Prawdzic ożenił się jak Bóg przykazał, poczuwszy wolę Bożą, jak to dawniéj mawiano, bo śmierć i żona—przeznaczona! Ożenił się ani zawcześnie, ani zapóźno, ani z szalonéj miłości, ale wedle rodzicielskiéj woli i serdecznéj inklimacji, biorąc w stanie swym towarzyszkę i dozgonnego *przyjaciela.*

Nasi ojcowie kobietę wynosząc na małżonkę, nie *przyjaciołką* (uchowaj Boże) ale ją zwali *przyjacielem. Przyjaciołkami* zwały się kobiety wcale innéj kategorji; *przyjacielem,* żona, którą w ten sposób na dostojeństwo *męża* a raczéj *mężyny* biblijnéj wynoszono. Nikła płeć w tém nazwaniu pełném głębokiego a niepostrzeżonego dotąd może znaczenia, szacunek okrywający kobietę, żonę, niedozwalał nawet przed ludźmi o uczuciu z którem my się dziś tak głośno popisujemy, wspominać.

Nazwanie to oznaczało, że brali żony dla przyjaźni nie dla miłości, nie dla płci ich. W tém słówku jest może więcéj niż w mnogich rozprawach o obyczajach.

Język! wielka skarbnica narodów! gdyby historja zapomnianą została, jeszczeby główne jéj wypadki, jéj ducha, z językowych świadectw odbudować można.

Anna, którą mąż także panną *more antiquo* nazywał (a i to ma głębokie znaczenie) godną była poszanowania i miłości małżonka.

Nigdy niewiasty świętszéj, cichszéj, łagodniejszéj, skromniejszéj, pracowitszéj, w złym razie wytrwalszéj niewidziano. Żyła cała w mężu i mężem, skinienia jego patrząc, by je uprzedzić. Pan Bartłomiej pomimo przywiązania i poczciwości swéj, miewał czasem chwile cierpkie, gryzły go kłopoty, czyniące niecierpliwym, opryskliwym i przykrym. Ona to wszystko uśmiechem lub słówkiem, które jéj serce podyktowało lepiéj od najwykwintniejszego rozumowania, umiała uśmierzyć, ukołysać i zbolałe serce ugoić.

Przeżywszy z sobą w stanie małżeńskim lat piętnaście państwo Prawdzicowie, jednego tylko żałowali. Bóg nie dał im potomstwa. Oboje w początku okrutnie na to cierpiąc, gdy się spostrzegli, że częste wspomnienie zwiększało ich boleść, przestali o tém mówić, by sobie ulżyć wzajemnie.

Jejmość z uśmiechem, choć łzy miała w sercu, cieszyła się głośno, że dziecka nie miała; jegomość zapalczywie jéj ze swéj strony wtórował, przywodząc dykteryjki o niewdzięczności dzieci względem rodziców.

Ale co się tam w ich duszy działo!

Modlili się potajemnie, robili wota skryte, suszyli i pielgrzymowali, ale długo nadaremnie. Aż nareszcie po latach piętnastu, jednego poranka gdy razem pili piwo grzane u dębowego stolika z warcabnicą, pani Anna podniosła się, pocałowała w czoło łysawe p. Bartłomieja, i uśmiechając się rzekła:

— Słuchajcie no panie Bartłomieju, mam jegomości coś dobrego powiedzićć.

— No! no! a cóż to takiego, odezwał się mąż wąsa ocierając, cóż to zararytas, że się tak moja panno wybierasz, by czajka za morze. Musi to być nie lada specjalna nowina.

— Nie mylisz się jegomość, Bóg dobry obiecuje pocieszyć nas potomstwem.

Ktoż odmaluje co się stało z panem Bartłomiejem! Porwał się od stołu, i zaczerwieniony chwytając żonę w pół, zawołał głosem drżącym:

— Handziu! serce moje, nie żartujesz! na Boga miłego moja panno, wszak nie żartujesz?

— Jakżebym śmiała! a jeszcze w takiéj rzeczy! godziłożby się?

Oboje stali chwilkę milczący, jéj łzy się potoczyły po twarzy, jemu usta i ręce drżały z radości.

— Przecież Bóg mnie wysłuchał, niech mu będą dzięki! rzekł siadając.

— Ciebie kotku? uśmiechając się odparła jejmość, chyba mnie? powiedz lepiéj, ty ciągle powtarzałeś, że dzieci nie lubisz, że ich wcale nie żądasz. Ja Bóg widzi, od lat trzynastu tylko o to się modlę.

— Jejmość! a dla czegoż ciągle mówiłaś zawsze, że to wielki ciężar i wielka odpowiedzialność przed Bogiem kto ma dzieci; że lepiéj jest nie mieć, niż tracić lub widzieć jak marnie pójdą?

— Mówiłam ci to nieraz, nie zapieram, ale...

— Ba! rozumiemy się, obojeśmy pobożnie kłamali! Nagadaliśmy sobie siła że nie chcemy dzieci, bośmy się ich niespodziewali, a serca sobie rozraniać nie chcieli; ale oboje zarówno ich żądaliśmy. O! złota moja Handziu jakim ja szczęśliwy, jak panu Bogu memu dzięki składam.

— Usiądź że, uspokój się kochanie...

— Samabyś siadła moja panno i uspokoiła się, tobie teraz nawet pewnie stać nie zdrowo. Patrzajcie dodał po chwili, będziemy mieli dziécię.

— A! a! a nie mylisz się no tylko moja panno!

— Zwiodłam że kiedy jegomości, spytała żona

ze słodką wymówką. Nic przecie dotąd nie wiedziałeś, a to już od czterech miesięcy. Pytałam się znachorek, staréj kowalowéj i Elżbiety, niéma wątpliwości.

— Jeszcze pięć miesięcy czekać! niespełna pół roku, długo to długo, ależ wyściskam chłopca jak się urodzi!

— A któż ci powiedział że będzie chłopiec?

— Ba! a prawda, słusznie kochanko mówisz! To jeszcze na dwoje widłami pisano, albo, albo, proszę, a mnie się zdawało?....

— Bóg jeden wié co nam dać raczy.

— A jabym przysiągł, że syna mieć muszę.

— Nie łapmy ryb przed niewodem.

Pan Bartłomiej zamyślił się, westchnął i dodał:

— Zapewne.

Jakie tam były potém troskliwości, obawy aż do urodzenia potomka, opisaćby trudno; jejmość donosiła dziécię szczęśliwie.

Ale tygodniem przed urodzinami pan Bartłomiej miał dziwny sen. We śnie tym co widział, nazajutrz temi słowy przed miejscowym proboszczem, księdzem Sycyną, opowiadał:

— Nadedniem, mości księże kanoniku, zdało mi się jakobym był na szerokiem, bardzo rozległém, ba nawet bez granic i widomego końca, polu. Widziałem wyraźnie wszystkie przedmioty na niem znajdujące się, a była ich moc nieprzeliczona. Wszystko, co na świecie widzimy, o czém słyszymy, tu się razem znajdowało. Zdaleka błyszczał Oceanus, bliżéj płynęły rzeki, jeziora biły o piaszczyste brzegi, ryczały zwierzęta dzikie po głębokich ciemnych lasach, bili się ludzie, inni zasiewali pola, inni żęli, pielgrzymowali wielkiemi kupy, płynęli okrętami, budowali miasta, burzyli grody, lub siedzieli nieruchomi nad księgami.

W jednym końcu téj czarodziejskiéj doliny świeciło słońce wytrzeszczoném okiem, na drugim wrzała burza sroga. Były tam, jakem wam mówił wprzódy, morza, góry niebotyczne, doliny głębokie i ciche a chłodne, puszcze ciemne i piaski arabskie, wszystko to jedno obok drugiego razem zlane w doskonałe *totum;* rzekłbyś księże kanoniku jabłko z jednéj strony rumiane, z drugiéj żółtoblade.

Gdy stoję, a spozieram ciekawie (boć było na co patrzeć) uważajcie tylko — z piersi mojéj, z piersi! mości kanoniku, wychodzi, *znak zapytania, signum interrogationis,*

?

i ani obejrzawszy się nawet w świat rusza.

Znak ten zapytania, miał główkę w jasne włosy ubraną, kij w ręku, sakwy próżne na plecach, i smutne jakieś niebieskich ócz wejrzenie. Mimowolnie zająłem się nim, i już tylko nań spoglądałem.

Szedł poważnie, niekiedy zastanawiając się po drodze, od kamienia do kwiatu, od kwiatu do ptaka, do zwierząt, do ludzi, do miast, do siół, do gór i dolin, do rzek i mórz, a do wszelkiego tworu bożego.

Zdawało się jakby je o coś rozpytywał, bo cóżby innego mógł robić znak zapytania? ale ja ani jego głosu, ani dawanych mu odpowiedzi nie mogłem dosłyszeć.

Po każdéj niedoczekanéj czy odebranéj a niedostatecznéj odpowiedzi, znak zapytania pokiwał główką, zwrócił oczy w niebo i ruszał daléj. Długo tak poglądałem na to zjawisko osobliwsze, aż nareszcie, gdy znak mój zniknął w oddaleniu, przebudziłem się. Cóż to znaczy mój ojcze? Sen nadto dziwny, żeby miał być nic nie znaczący?

— Sen wistocie dziwaczny, odpowiedział ksiądz Sycyna, zamyślając się i zażywając powoli tabaki, sen bardzo dziwny. Ale sen mara, pan Bóg wiara, mój kochany panie Bartłomieju!

— Przecież mój ojcze, bywały sny wieszcze!

— Tak, starożytni bardzo w nie wierzyli, mieli oni nawet jak to panu wiadomo, swoich *Dii somniales,* Bogów snu, objawiających swe wyrocznie marzeniem; nie bez tego żebyś też pan nie słyszał, że i oni rozróżniali sny przychodzące przez wrota *rogowe* i wrota *z słoniowéj kości,* to jest wieszcze i fałszywe.

Więcéj też jest snów zwodniczych, pochodzących od ciała, od szatana. Wiémy o tem z pisma świętego, że nieraz Bóg zsyłał widzenia we snach prorocze, ostrzegające, okazujące przyszłość, ale tylko tym, którzy na szczególniejszą jego łaskę zasługiwali.

— Nie pochlebiam sobie.

— Więc lepiéj daćby pokój interpretacjom wszelkim, bo w dodatku, kochany panie sąsiedzie, jam nie Josephus on, i nie czuję w sobie powołania do snów wykładu. Bóg wié co to znaczy, a najprędzéj czysta fantazja i igraszka. Czy nie wpatrywałeś się asindziéj bardzo w znak zapytania na książce jakiéj, czy nie oczytałeś się zbytecznie *nowych Athen?*

— Od niedzieli księże kanoniku w ręku książki nie trzymałem krom kalendarza, kalendarz zaś nie obfituje w znaki zapytania, a *officium* na którem się modlę, także.

— Pradwa! a zatem to igraszka imaginacji.

— Jednakże mości księże kanoniku, gdybyśmy spróbowali sobie wykładać?

Ksiądz Sycyna ruszył ramionami.

— Znak zapytania, rzekł, jest sam z siebie rzeczą złą i potępioną. Grzéch pierworodny był zuchwałym znakiem zapytania; na nim stoi cała filozofja świecka, bunt aniołów przeciwko panu Bogu niczem innem nie był także krom zbrojnym znakiem zapytania. Ciekawość pierwszy stopień do piekła, a znak ciekawości jest znakiem piekielnego niepokoju duszy.

— Co mówisz ojcze?

— Tak mi się zdaje. To jego szwendranie się po całym świecie waścinym, jak opowiadasz, także nic dobrego nie znaczy. *Dobre* siedzi cicho w kącie, *złe* tylko szuka napróżno spoczynku którego nigdzie znaleść nie może. Tandem plunąć a porzucić.

— Masz Jegomość rację.

I na tém skończyła się rozmowa.

Sen jednak był proroczy.

II

Wkrótce po tym śnie tak dziwnym urodziło się panu Bartłomiejowi dziecię; był to syn, a dano mu imie dziadowskie Tomasz.

Opisać radość matki i uniesienie ojca, ich uściski, łzy i pijatykę na chrzcinach, trudno; a gdybyśmy *per extensum* ten opis tu umieścili, nie wieleby się w nim nowego znalazło. Od niejakiego bowiem czasu tak bogaci jesteśmy w tego rodzaju obrazki narodowe, że moglibyśmy ich nieco nawet za pomierną cenę innéj jakiéj literaturze ustąpić, ale któż to kupi?

Idziemy daléj.

Rodzice tak byli uszczęśliwieni, że im nawet na myśl nie przychodziło posprzeczać się o wycho-

wanie dziecięcia. Nie widzieli też wcale dwojakiéj ku temu drogi; jedną tylko.

Tomko był ślicznem dziecięciem jasnowłosem, niebiesko-okiem, rumianem, nie zbyt żywem, ale jak to mówiono, *ciekawem*, rozmyślającem chętnie od lat młodych i tęsknem.

Wszystko go zastanawiało, o każdą rzecz długo bez końca, z zapytania w zapytanie wpadając, do ostatka badał. Zbywano go wreście ni tem ni owem: a dziecko zbyte nie uspokojone pokręcało główką, milcząc posłusznie gdy mu zamilknąć kazali, nieprzestawało myśleć i badać.

Ojciec i matka spoglądali po sobie, dziwili się ze strachem dowcipowi wielkiemu, wróżyli przyszłość świetną, i panu Bartłomiejowi nieraz sen ów na myśl przychodził, a gdy go przypomniał, kiwał głową bardzo długo.

Gdy Tomko podrósł nieco, poczęto mówić o dyrektorze ale na nieszczęście starzy owi dobrych czasów dyrektorowie co sługiwali za pięćdziesiąt złotych i dwie pary butów, a jako *praemium diligentiae* otrzymywali w dzień imienin pańskich lub na rok nowy starą kapotę łataną na łokciach; co to utrzymywali regestra ekonomiczne, pilnowali w gorący czas pańszczyzny i batożyli chłopów niemiłosiernie:—znikli już byli z horyzontu.

Nic podobnego nie trafiało się.

Pan Bartłomiéj sam wychowany przez podobnego dyrektora i synowi innego nie życzył. Tymczasem ksiądz kanonik Sycyna zajął się początkową nauką chłopięcia, a nie mając co robić, bo go wikarjusz z niewielkiéj parafji wyręczał; uważając Tomka za dobre *subjectum*, podjął się chętnie trochę go podkrzesać.

Nie długo to wszakże trwało; bo sobliwym trafem, zesłany został panu Bartłomiejowi taki właśnie na pozór dyrektor, o jakim marzył, jakiego sobie życzył.

Jednego letniego wieczora, gdy z gumiennym w ganku o jutrzejszéj robociznie rozprawiał, roztrząsając, czyby lepiej było nowe kosić sianko, czy już pokoszone gromadzić, we wrotach psy zaszczekały.

— Kogóż to tam pan Bóg prowadzi do nas? spytał gospodarz.

Postać wcale niepospolita ukazała się na podwórku, wysokiego wzrostu, ale trochę pochyły już mężczyzna, z obwisłym wąsem, łysą głową, oczyma szaremi, głęboko w powiekach siedzącemi, usty skrzywionemi,. jakby do uśmiechu szyderskiego, w długiéj sukni ciemno-ceglastego koloru podpasanéj rzemiennym pasem z klamrą mosiężną, z kijem ogromnym w ręku, kroczył powoli ku gankowi.

— *Laudetur Jesus Christus.*

— *In saecula saeculorum Amen.* A co nam dobrego powiecie? spytał pan Bartłomiej.

— Dobrego? hę? rzekł nieznajomy. Wszystko *dobre* poszło dawno spać i obudzić się nie może, *niezgorsze* drzymie, a *złe* chodzi po szerokim świecie. Dobrego dawno w oczy nie widziałem.

— Któż jesteście i co was do nas prowadzi?

— Jestem człowiek jak widzicie, goły ale wesoły, stary ale jary, a prowadzi mnie Pan Bóg i oczy.

— Ale cel waszéj podróży?

— Cel! ha! cel! *enigma.* A kto z nas wie dokąd idzie? odparł szydersko nieznajomy.

Pan Bartłomiej nie wiedział już jak zagadnąć, żeby się czegoś przecie więcéj dowiedzieć.

— A zatem, rzekł, nie pytając więcéj, witam was i proszę do chaty.

— Koléj tedy pytać na mnie, bo bez pytania nie ma rozmowy, a bez rozmowy nie ma życia. Nie potrzebujecie czasem bakałarza?

— Jakto? wy bylibyście?

— Do usług waszych, stary Jakób Dołęga, a teraz ani *kup* bo nie ma za co, ani Dołęga; tylko niedołęga starzec co zęby zjadł do pieńków na suchym chlebie dyrektorskim. Posłyszawszy że u was chłopiec dorasta, i że mu już pierwsze zęby powypadały a drugie narosły, przystawiłem się ofiarując moje usługi.

Mile zadziwiony pan Bartłomiéj; że się bez porady żony nic nie działo, wywołał zaraz panią Hannę dla obejrzenia dyrektora i zasiągnienia jéj zdania.

Jakób Dołęga znany był w sąsiedztwie zdawna, ale z dziwnych słuchów które o nim chodziły. Nazywano go najpowszechniéj dziwakiem jak pospolicie zowią tych, których zrozumieć nie mogą. Na to nazwisko wielce podobno zasługiwał: szydził łagodnie prawie ze wszystkich, prawie ze wszystkiego, zdawał się w nic nie wierzyć choć czasem gorąco się modlił; miewał chwile wesela głośnego, to znów raptusy złośliwego smutku, w których chłostał nielitościwie co mu na ząb wpadło. Czasem roztrzepany jak dziecko, to znów poważny i surowy, szalony lub chmurny, nie wywnętrzał się nigdy do głębi, ani w utrapieniu ani w szale wesela. Obawiano go się i szanowano razem, był bowiem przy tych wadach uczciwy i cnoty nieposzlakowanéj.

W życiu całém nic złego dobrowolnie nie popełnił, ale dziwactw bez miary i końca. Starego ślacheckiego rodu, w młodości nawet *posessionatus* i dosyć majętny, stracił, przehulał co miał, nie zatroskawszy się nawet gdy mu już kąta własnego nie stało.

Wziął kij, podpasał się i poszedł wędrować i uczyć dzieci.

Gdzie był, jak wiek do starości przepędził, nikt dokładnie nie wiedział.

Co lat kilka, ukazywał się w swéj okolicy, posiedział w niéj chwilę i znów *per pedes* jak mówił, wędrował dalej. Grosz się go nie trzymał, bo nim rzucał, jakby jeszcze był bogatym i krewni nie chętnie przyznawali się do niego, on z nich sobie żartował. Że zaś jeden z braci był Prezesem Sądów granicznych, drugi Sędzią Powiatowym, myśleli że dostojeństwa, które na ramionach dźwigali, do ubogiego Dołęgi, przyznać się im nie dozwalały.

Znajomych pełno miał wszędzie; serdecznych przyjacioł mało lub żadnych (któż ma przyjacioł serdecznych o kiju chodzący i torbie?) wspomniał czasem jednego, ale i ten dawno już był umarł; był to przyjaciel młodości.

Rodzaj Diogenesa wszelki wytwór i wygodę jako niewolę i pęta uważał, mówiąc że nie my rzeczy których potrzebujemy lecz rzeczy nas mają. Sypiał na twardym tapczanie, chodził w jednéj opończy na powszednie i święta, jadł za przysmak chleb razowy z solą i wodą.

— Nie siedzę nigdzie długo, mawiał, bo nie chcę pokochać nikogo; to tylko kłopot niepotrzebny.

A że pod ogorzałą i zmarszczoną skórą biło mu serce miękkie, rychło zewsząd uciekał, bo prędko pokochał.

Co umiał z resztą? nikt tego dokładnie nie wiedział: to pewna ze z księdzem po łacinie o theologji rozprawiał jak theolog; z prawnikiem o procesie jak jurysta; z gospodarzem o roli jak ekonom,

coby na tem zęby zjadł i nawet z niemcem doktorem o medycynie po niemiecku szwargotał; talmud żydowski czytał dla rozrywki wieczorami, jakby był wychrztą.

Lubił bardzo czytać choć ten szał czytania nie zawsze go napadał. Czasem z książkami zamykał się, namiętnie w nich zagrzebując, czasem na nie plwał i odrzucał je ze wzgardą. Słowem, był to człowiek niepojęty.

Takiego nauczyciela przyjął pan Bartłomiej do syna; w początku na rok, na dwa tylko początkowe lata zamierzając go zatrzymać; ale i mistrz do chłopca i dziecię do mistrza i rodzice do poczciwego Dołęgi tak się serdecznie przywiązali powoli, że rok za rokiem upływał, a oni rozstać się z nim nie chcieli, owszem sami go zatrzymywali gdy brał za kij, i prosili usilnie, żeby pozostał jeszcze.

Stary mruczał, trochę się wyrywał i siedział: dziecku cudownie jak kwiat o słońcu grzejącem otwierała się i rozpromieniała główka.

Tego co to pospolicie zowią *nauką* u nas, nie dał mu mistrz wprawdzie; faktów, dat, figlów uczonych nie napchał mu do głowy; ale głowę do pojęcia wszystkiego co na świecie uderzyć o nią mogło, usposobił i otworzył. Nie począł on jak pospolicie czynią nieforemnéj roboty bez narzędzi; narzędzie wprzód zaostrzał i sposobił.

Tomcio miał co to zowią otwartą głowę; roztropny, pojętny, ciekawy i wiedzy chciwy aż do zbytku, łaknął tém żywiéj, im bardziéj Dołęga ociągał się z wlewaniem mu nauki. Mistrz nic na pozór nie robił, przygotowywał tylko ucznia jak powiadał; uprawiał rolę, przewracał skiby, dwoił, troił, skrudlił, przepędzał, a na ziarno, powtarzał, bardzo jeszcze czasu dosyć.

Jednego poranka nie wiedzieć, jak i dla czego, nieodebrawszy reszty biednéj należnéj mu płacy, niepożegnawszy się z uczniem i rodzicami jego, znikł stary bakałarz. Dokąd się udał? dla czego dom opuścił? nikt nie umiał wytłumaczyć.

Ale Tomcio był na drodze, którą daléj już sam mógł się jako tako kierować.

Oddano go tedy do szkół Jezuickich; tam bystrém swém pojęciem, niebardzo wszakże podobał się nowym swoim nauczycielom. Nadto szybko przejmował się przedmiotem nauki, i przechodząc zakreślone jéj granicę, sięgał po za stojące w koło mury, co ją przegradzały. Nauczyciele na jego pytania zuchwałe dziwnie potrząsali głową.

Po tem zaczęto go wybadywać, czyby nie miał ochoty wstąpić do zakonu?

Tomko odparł naiwnie, że nie czuje w sobie powołania. Starano się je wzbudzić, na próżno. Z filozofji odesłano go ojcu, zapewniając że już bardzo dosyć umie na prostego ślachcica i przyszłego hreczkosieja. A Tomko utrzymywał *cum debita reverentia*, ruszając z lekka ramionami, że nic a nic z gruntu nie poznał, a ledwie począł z rudymentami cokolwiek się oswajać.

Ojciec na to *dictum* odwrócił się poważnie i spytał go:

— A co waści w głowie? czy to chcesz wyjść na uczonego żeby łokciami świecić? czy na księdza?

— Nie ojcze dobrodzieju, ale chciałbym coś umieć.

— Toć ojcowie Jezuici najlepiéj wiedzą ile tobie umieć potrzeba, dość ci na ślachcica, tego co masz; bodaj czy nie więcéj tam liznąłeś odemnie, com tylko z łaciną się trochę poborukał i rachunku skosztował, a *Gradus ad Parnassum* znam tylko z widzenia. — Po cóż waści więcéj, księdzem taki nie będziesz, bo mówią powołania nie czujesz.

— Nie czuję ojcze dobrodzieju!

— Więc po cóż ta nauka? Żebyś potém poczciwą gospodarką i ślacheckiem życiém gardził, mędrkował i świdrował myślą.—

Tomko zamilkł i spuścił głowę.

— Z wielkiéj nauki, mówił daléj ojciec, muchy się w nosie lęgną, to raz; — powtóre, głowa się do góry zadziera, co także licha warte; tysiące złych myśli do głowy nalatuje i ze szczęścia, z życia bożego kwita. Nauka spokoju nie da, szczęścia nie da; a dziurawe łokcie i obałamuconą głowę nieochybnie.

— Mój ojcze, wybąknął ośmielając się Tomko, wychowany w staroświeckiém uszanowaniu dla rodziców natchnionem też prawdziwem do nich przywiązaniem; ojcze mój drogi, nie gniewaj się na mnie.

— A za cóż bym się miał gniewać?

— Za to co powiem może zbyt śmiało.

— To waść lepiej nie mów.

Syn zamilkł posłusznie, ukłonił się i chciał odejść; pan Bartłomiej pogładził wąsa, ruszył ramionami, obejrzał się na żonę, która napróżno dawała mu znaki, aby Tomkowi owszem odwagi do szczerości poddał. —

— No i cóż tam? spytał ojciec. —

— Wola ojca dobrodzieja święta, nic nie powiem.—

— Grzeszny jestem; ciekawość mnie bierze, co to tam tak głupiego miałeś powiedzieć. — No mów śmiało, nie będę się gniewał. Już to widzę ta pora przychodzi że jajca kury uczyć i przewodniczyć im poczną.—Słucham waści.

Trzeba wiedzieć że poczciwy pan Bartłomiej jako żyw nigdy się w sercu na dziecię nie gniewał i wedle tradycji, gdy sądził że należało okazać oburzenie, nauczyć *mores*, wystąpił z powagą swoją i objawiał gniew niezgorzéj udany jak na domorosłego aktora, aby dziecię z karbów nie wychodziło.

Tomko przy swoim rozumku, naiwny był i prostoduszny na podziw, czasem się to jedno z drugiem godzi i jedno z drugiem chodzi całe życie.

— Ojcze dobrodzieju, rzekł, to co mam mówić, przeciągnie się, chcę wyspowiadać się szczerze i do głębi serca.

— No to mów że waść, mów!

— Proszę więc o cierpliwość.

— Kto ma dzieci, musiał się jéj nauczyć, odrzekł pretensjonalnie pan Bartłomiej, zawijając poły od kapoty i siadając na sepeciku obok żony. Potem założył nogę na nogę, łokieć oparł o stolik, łysą głowę wziął w dłoń namulaną i siwe oczy wlepił w syna, któren mnąc w ręku surducinę stał przy progu pokornie, ze spuszczonemi oczyma.

Pani matka nie odwróciła oczów od jedynaka, pasąc je swym ulubieńcem; a w wejrzeniu poczciwéj niewiasty tyle było głębokiego rozumu! Rozum bowiem i miłość patrzą jednakowo i choć częstokroć działają całkiem przeciwnie i jedno na przekor drugiemu, któż nieprzyzna, że wejrzenie wszelkiej miłości pełne jest najwyższego rozumu?...

III

— Kochany ojcze, kochana matko, rzekł po chwili Tomko, dawno mi to na sercu cięży, żem sobie uczynił postanowienie bez zezwolenia, bez

wiadomości nawet waszéj; a jednak postanowienie niezłomne.

— Wszystko na świecie jest złomne, odparł surowo pan Bartłomiej—ale o jakimże to postanowieniu jest mowa? Goława miałby sam sobą kierować?

Tomko westchnął.

— Opowiem jak do tego przyszło, rzekł. Byłem jeszcze dzieckiem, kiedym na naszym herbownym klejnocie zobaczył lwa nad mur wspiętego i coś trzymającego w łapach.

Spytałem starego Szymona coby to było? odpowiedział mi — słyszałem że to — *prawda*. Cóż to *prawda* Szymonie? dobadywałem się z kolei.— A ot, rzekł wskazując mi na stole słomianą podstawkę pod butelki, ot *prawda*. — Ale, dodał, słyszałem, że prawda którą ten lew trzyma w łapach, ma być żelazna.—Do czegoż się zda prawda żelazna? pytałem go znowu.—Pan Bóg to jeden raczy wiedzieć — rzekł Szymon rozstawiając misy na stole. — A dla czegoż ta prawda okrągła? mówiłem znowu. — Dla tego paniczu, że nie kwadratowa! odparł, a ta żelazna prawda herbowa, ćwiekiem mi w głowie utkwiła odtąd.

— Ale cóż może mieć za związek waścina dykteryjka, spytał ojciec, z waścinem postanowieniem?

— Natychmiast się to wyjaśni; smutnie pospieszył syn z odpowiedzią.

— Dotąd nic nie rozumiem, waść musiałeś podwarjować!

Tomko niżéj spuścił głowę i mruczał daléj.

— Odtąd myślałem tylko sam nie wiem dla czego, o prawdzie, wszystkich się pytałem, co to prawda? a od nikogo o tem dostatecznie dowiedzieć się nie mogłem. Różnie różni tłumaczyli, odpowiadali, a ze wszystkiego widać, że to jest jeszcze głęboką tajemnicą. Nikt dotąd nie wie dobrze co to jest prawda?

— Jakto nie wie? oburzył się ojciec. Szymon to waść bardzo dobrze wytłumaczył, czegoż u diaska chcesz jeszcze?

— Ale to ojcze dobrodzieju, ja już podrosłszy od żelaznéj i słomianéj do duchownéj prawdy przyszedłem i o nią się chciałbym dopytać. Ale i ta dla mnie żelazna.

— I prawisz o nich jak o żelaznym wilku, gderał ojciec miotając się, czyś się waść blekotu objadł? czy sfiksował?

— Postanowiłem życie moje poświęcić poszukiwaniu prawdy.

— Dalipan oszalał, oszalał! Nauka przewróciła mu głowę! Co mi prawi o prawdzie! Alboż to niewiesz trutniu jakiś, że prawdą jest — wszystko co prawda....

Tu stary zaciął się i splunął.

— Że prawdą jest wszystko co prawdziwe, co nie fałsz, co....

— Co nas uczy wiara, co nam mówi serce! dodała matka ratując jegomości który się jak wróbel w siatce targał.

— O tóż to! tak miałem mówić, podchwycił Bartłomiej — święta i śliczna odpowiedź! Otoż masz z ust matki rezolucją finalną i idź spać.

Tomko z uszanowaniem pocałował matkę w kolano ale milczał.

— Jeszcze ci nie dosyć?

Milczał uparcie.

— Postanowiłem, odezwał się po chwili, życie poświęcić poszukiwaniu prawdy.

— Ale pocóż szukać znalezionego?

— Nie wszyscy, kochany ojcze, mają szczęście w świętą taką prawdę wierzyć, rzekł Tomko. Każdy ma swoją wiarę, swoją prawdę, a cudzą fałszem zowie. Po szerokim świecie tysiące mniemanych prawd chodzi; mnie się zaś widzi, że powinnaby być jedna tylko wielka prawda, jak jedno jest słońce co nam przyświeca i Bóg co nas stworzył.

Rodzice spojrzeli po sobie, a ojcu nagle przyszedł na pamięć ów sen dziwaczny, który urodzenie Tomka poprzedził. Pobladł stary, ruszył ramiony i nic nie rzekł.

— Pytałżeś się kogo o te twoje mary? wybąknął po chwili.

— Wszystkich.

— Cóż ci odpowiadano?

— Każdy co innego.

— Musi to być coś na kształt tego, że prawda z każdéj strony inaczéj się wydaje. Ale po co waści ten klin sobie bić w głowę—kie licho ci go naniosło? Co tobie do téj prawdy? Prawda prawdą a ty Prawdzicem, ślachcicem, hreczkosiejem, katolikiem i kwita.

— Spać nie mogę, jeść nie mogę.

— Toby ci głowę ogolić kochanku! No—ale cóż ci przecie świta, co myślisz sobie z tą swoją djablą prawdą?

— Pójdę w świat po nią.

Rodzice się porwali; ojcu znak zapytania we śnie widziany stał przed oczyma. Marzenie więc było wieszcze, chłopiec w kolebce przeznaczony na dziwne losy! Dwie łzy srebrzyste puściły się ukradkiem z oczów panu Bartłomiejowi, a matka? —Matka darmo płakała i łkanie tłumiła.

Stary ojciec nie pojmował syna, ale w sercu tłumaczył sobie to niesłychane przedsięwzięcie, jakąś wolą wyższą, któréj dla niego sen był znakiem. Matka, co już była o śnie tym zapomniała, rozpłynęła się we łzy jak po straconem dziecięciu.

— Tomaszu spojrzyj na łzy matki, te cię wstrzymać powinny, sucho zawarł pan Bartłomiej.

Tomko ukląkł przed nią i całując ją w ręce szepnął:

— Ja powrócę, matuniu! nie sprzeciwiaj się, nie wstrzymuj mnie, iść muszę.

— Ale po cóż? dla czego?

— Za prawdą!

— Nie mówiłam że ci, że najbezpieczniéj jest szukać jéj w wierze i w sercu?

— A! matko kochana! matko droga! odparł syn cicho—wiarę zachwiano we mnie, serce mówi do mnie niewyraźnie, mówi znakami których sobie wytłumaczyć nie umiem. — Puść mnie, puść—ja wrócę do was, powrócę!

— Starzyśmy oboje, przerwał pan Bartłomiej—czasby było synowi nas wyręczyć, spodziewaliśmy się tego. Praca mi już cięży, gospodarstwo nie idzie w ład.

Tomko stał nieugięty, milczący.

Próbowano jeszcze utrzymać go wszelkiemi sposoby, prosząc i płacząc, perswadując lecz wszystko naprożno. Nareście rodzice powiedzieli sobie: Nie zabawi on tam długo powróci do zacisza, niech gdzie chce idzie z Bogiem.

A zatem zajęli się smutną wyprawą.

Gdy po staremu ślachcic z domu rodzicielskiego wyjeżdżał w świat szukać szczęścia, by znaleść najczęściéj guza lub plamę—czasem oboje, niestety!—wyprawiono go wierzchem z kilką talarami bitemi i skórą bitą także na pamiątkę; utrzymują

drudzy, że nieraz bito za powrotem (świadkiem Winnickiego przygody) inni że bito i w drodze, inni że nic nie robiono tylko się tuzano, ale mi się temu wierzyć nie chce, boby po takiéj bijatyce wnuki z guzami chodzili.

Dawano także kilka talarów, nie wiele, by szczupły zapas pieniężny groźbą niedostatku podsycał umysł i zmuszał do dobywania losu szturmem; bita skóra była jakby przypomnieniem, że na drodze do wzniesienia się lękać się nie trzeba cierpienia.—Potém błogosławiono, płakano i młodzieniec obierzmowany, pełen nadziei w świat ruszał—z Bogiem!

Nie tak już wyszedł nasz Tomko, bo i czas był minął gdy szlachta w ten sposób symbolicznie żegnana z domów ruszała szukać losu.

Dokoła zmieniało się wszystko ludzkie, twory tylko boże zostały jak były od wieków.—Obyczaje, myśli, dążenia, środki, wszystko przedzierżgnęło się nagle, inną przybrało twarz, inne suknie; wiek jeden konał, drugi się rodził wesół, śmiały i pewien siebie choć mu z oczów nie patrzało, by miał wyjść na co poczciwego.

A my nagle ze średniowiecznych obyczajów i bytu, skoczyliśmy bez przejścia prawie, bez widocznéj przyczyny w nowe życie, prostém tylko naśladowaniem namiętném.

Zegar wieków uderzał pierwsze godziny XIX stulecia.

Tomko o kiju, ze łzami w oczach wychodził z domu; ojciec i matka stali w progu i płakali patrząc. Szedł jak żebrak, jak ubogi szukać — czego?—czego oni nie rozumieli, czego podobno nikt jeszcze nie znalazł.

Idźmy i my za nim.—

IV

A gdy wyszedł Tomko na szeroki świat, pojaśniało mu rychło w oczach, poweselało na sercu; uczuł się sam i swobodny. Przed nim otworem stał cały boży świat, niezmierzony, rozmaity, różnobarwny. Pamięć rodziców i rodzicielskiego domu znikła prędko przed namiętnem pragnieniem wiedzy, przed ciekawością młodzieńczą, która w nim gorączką wrzała.

Stanął, by się obejrzeć.

A w głowie myśl mu błysnęła:

— Dla czegożbym nie szukał naprzód prawdy w tworach bożych? czyliż usta ludzkie powiedzą kiedy więcéj nad nie, lepiéj nad nie o tajemnicach stworzenia i myśli przedwieczn(é)j? Czyliż żywy twór nie więcéj świadczy od czczego słowa?

Rzucił kij i usiadł na kamieniu; a była to chwila blisko południa i lato właśnie skwarne.

Słońce sypało złotemi promieniami do koła, rozlewając ciepło żywotne, świat cały w barwach jasnych i wesołych, lśnił oczy młodzieńca.

— Prawdą jest światło! prawdą jest życie, prawdą ciepło, prawdą wszystko co widzę! wykrzyknął Tomko w zapale uniesienia.

— A czemże będzie ciemność, śmierć, chłód i to czego w téj chwili nie widzisz? spytał nagle maleńki człowieczek, który z pod stóp Tomka jakby z ziemi wyrósł.

Nie zląkł się nasz bohater niespodziewanego zjawiska, spojrzał na nie ciekawie, zamyślił się i zamilkł.

Człowieczek ów, który zdał się z ziemi wychodzić ubrany był nową fozą a bardzo wykwintnie Ogromna fryzura spadała mu upudrowana na barki, stosowany kapelusz miał pod pachą, szpadkę u boku z porcellanową rękojeścią (wyglądającą wistocie jak widelec) axamitną suknię mordore szytą blaszkami i jedwabiem, kamizelę atłasową w złote kwiatki, jedwabne na nogach pończochy i książkę wyglądającą z kieszeni.

Powitali się podróżni i potrzeba było wzajemnie zarekomendować:

— Jestem Lucyfer baron von Teufel, odezwał się przybyły; od dawna także szukam prawdy i znaleść jéj nie mogę. Pójdziemy razem młodzieńcze pełen nadziei i będziemy uczyć się wzajemnie mnie może brak już siły, tobie doświadczenia, podeprzemy jeden drugiego. Nie tracąc czasu: powiadasz że ciepło, ruch i życie jest prawdą? Mijam to że ciepło, ruch i pewne życie znajdziesz w gnijącym trupie; ale czemże będzie wszystko przeciwne?

— Fałszem odparł Tomko naiwnie.

— Dla czegożby fałsz miał exystować obok prawdy i na równych z nią bytu prawach? Hm? powiedz mi, po co *jest* fałsz?

— Fałsz jest brakiem prawdy, znów splątany rzekł Tomko.

— Dla czegożby prawda miała być tak dziwnie mierzona i dzielona po odrobince; dla czegożby jéj niedostatek miał walczyć z nią samą jak to widziemy codzień?

Idźmy i patrzmy, a nie wyrokujmy.—

Młody chłopiec spuścił głowę, zamilkł, baron Lucyfer uśmiechnął się nieznacznie — w cichości spoglądali, a Tomko często się zastanawiał i głęboko zamyślał.

Przeszedłszy kawał drogi, siedli odpocząć nad brzegiem rzeki, i mimowolnie zwróciły się ich oczy na otaczające skał massy. Podnosiły się one połamane, siwe, omszone, w dziwnych kształtach, dając znać o sobie że ich wieki pożyć, i skruszyć nie mogły.

Baron Lucyfer widząc jak Tomko ciekawie wpatruje się w skały, zagadnął go:

— Co ci one mówią?

— Mówią mi bardzo wiele rzeczy, których ja jeszcze jasno nie rozumiem.

— Pozwól więc mi być tłumaczem. One ci mówią że *byt* nie jest udziałem tego co my zowiemy właściwiéj życiem, żywotem jednostki, że dłużéj trwa kamienna massa, niżeli ruchawe żyjątko. Gdzież ta twoja prawda, która mówiła że ruch tylko jest życiem prawdziwem, prawdą samą? One ci mówią, że materja i materji prawa są prawdą jedyną; reszta wyrostkiem, brodawką, która okazuje się i znika. *Forma mutatur, materia permanet.* Nie tak-li?

— Tak jest, odparł Tomko, ale obok tego i *Materia mutatur, forma permanet*, będzie także drugą prawdą, nie mniéj od pierwszéj prawdziwą.

Oba zamilkli, Lucyfer zażył tylko tabaki, Tomko pochylił się smutny, a pod nogami swemi ujrzał kwiat pełen woni i cudnemi barwami odziany.

Kwiat ku niemu podniósł wonną swoją główkę i uśmiechnął się.

— Co to prawda? spytał go Tomko.

— Prawda to moja szata niebieska, to moja woń, to *ja*. Wszystko reszta jest fałszem i ułudą. Zacznij od kwiatu, a wytłumaczysz świat cały: wyrwij go z ziemi, a życie ustanie wszędzie. Skały rozsypują się pod nogi nasze, na pokarm gnije dla nas zwierze. Bez nas niéma zwierzęcia, niéma człowieka. Człowiek jest tylko pierwszym naszym sługą; my środkiem stworzenia. Wiem że powiadacie

sobie, iż dla was służy wszystko, że wy jesteście wszystkiém; my toż samo myślimy o sobie. — Powtarzam ci—prawda—życie to ja: to kwiat!

Baron Teufel, który leżał pod ogromnym kamieniem nad wodą i spluwał na nią, bawiąc się kółkami które na niéj powstawały, rozśmiał się głośno słysząc te dumne słowa.

Grzyb ze starego pnia wysadziwszy głowę, począł mu wtórować.

— Co za dziwna pretensja! krzyczał z oburzeniem zakładając na ucho swój ogromny skrzydlaty kapelusz. Kwiat jest głupią i nieforemną karykaturą grzyba! niedoskonałym grzybem, któż tego nie wie. Wszystko poczyna się od alfy — grzyba i na omega—grzybie kończy. Grzyby rosną wszędzie, począwszy od nosa człowieczego, który często za wygodne i miękkie służy im siedlisko.

Grzyb jest najdoskonalszym bez wątpienia stworzeniem: obie płci ma w sobie, rozpładza się lada dotknięciem do ziemi, powietrze służy mu, nosząc wszędzie jego zarodki silne, do najniedojrzańszych pyłków i bryłek. Wszędzie my jesteśmy, my królujemy, reszta nasze *prostratum*. Grzyb prawdą, grzyb życiem, reszta podściołem na którym on sobie wygodnie urasta.

— Milczałbyś muchomorze zjadliwy, krzyknął Lucyfer pięścią go gniotąc — paplesz zupełnie jak człowiek i siebie bierzesz za ognisko wszystkiego, bo reszty nie rozumiesz. Siedź póki cię kto zdybie i milcz.

Ucichło, ale muszka przelatując tamtędy siadła na kwiatku i brzęczeć zaczęła:

— Co za życie kwiatka i grzyba? Bez ruchu, bez głosu, bez ciepła? Ja to żyję! ja żyję lepiej od nich, ja jestem jedyném życiem i prawdą żywota. Nie pytaj innych, każdy ci powie że najdoskonalszy, ale popatrz się tylko okiem bezstronném, nie ja li czasem jestem istotną panią stworzenia? Lecę, idę, biegnę, płynę na trawy zdziebełku gdy zechcę, gdzie zechcę. — Budowa ciała mojego doskonała a prosta. — Patrz co za śliczne skrzydełka, jakie nóżki zręczne i kształtne! A jak mało potrzeba mi do życia? Jednéj kropelki z kielicha kwiatu, trochę pyłu który wiruje w powietrzu. — Jam życiem, jam samą prawdą.

W tem doleciał ptak i muszkę połknąwszy tak zaśpiewał:

— Ja to jestem prawdą życia! w stworzeniu stoję pośrodku, latam, pływam i chodzę; głos mam czarowny, mam szatę bogatą, mam kształty wytworne, jestem królem i panem świata — Czem wy przy mnie? Niewolnicy czołgający się po kale i gnoju.

Zaświergotał, zatrzepotał skrzydełkami i uleciał. Wtedy żaby i ropuchy podniosły z głębi wód, z jam w szczelinach ziemi, głos ogromny oburzenia pełny.

— Cha! cha! cha! cha!....

Cały naród wodny i sprzymierzone węże, płazy, skorupiaki, żółwie, powysadzały głowy na wierzch, porozdziawiały paszcze i za boki się trzymając rychotały od śmiechu.

— Cóż to za bałamut? rzekła stara ropucha blisko w dziurze siedząca, sam nie wie co bredzi. Życie, jego życie! co ono warto proszę! funta bym kłaków nie dała za nie. Naprzód że krótkie do licha. My możemy żyć w szczęśliwém uspieniu, pół życiem, pół marzeniem roskoszném, zamknięte w skale, zarosłe w drzewie lat tysiące, nic nie potrzebując do podsycania w sobie życia; bo w nas samych jest silne jego ognisko. Wyjm mi serce, wyjm mózg, rozpłataj którą z moich przyjaciołek, a z sercem, z mózgiem, z raną nie odbierzesz nam życia. Z jednego rozciętego dwa ci wyrosną płazy.

Żółw dodał poważnie, z pod kaptura wysadzając nos zatabaczony:

— A kiedy przyjdzie kochać, toć kochamy nie tak naprzykład jak te błazny wróble co tylko skrzydełkiem musną ulubioną i ruszają dalej. — Nasza miłość trwa tyle, ile drugich życie.

Muszle i inne twory z głębi wód, adwokatom swoim potakiwały wesoło, a węże świstały radośnie.

Stara ropucha zakaszlawszy, tak daléj mówiła:

— Chwalcie się sobie wszyscy jak chcecie, a nasza prawda: Królestwo nasze ogromne. Wszystko co jest, jest niedoskonałym płazem. Mniéj daleko ma doskonałe organa i słabsze nierównie życie.

— Siedziałabyś cicho Sofistko! chlupnął polyp— śliczne życie! Jedno serce, jedna głowa, jeden i do tego wcale kiepski żołądek! — U mnie zobacz co się dzieje. Serce, żołądek, piersi, wszystko co u was porozdzielane, porozrywane, u nas jest jednem, niewiadomo gdzie się co poczyna, gdzie się kończy. Za to też tnij mnie sobie jak chcesz, węzłów życia we mnie bez liku, odrodzę się do nieskończoności.

Tysiące różnych głosów drobnych a nieskończenie licznych zaśpiewały chórem, głusząc polypa, który zanurzył się rychło i wzgardliwie odwróciwszy uszedł.

— Nasz jest świat, my życiem i prawdą, śpiewały Helminthy—myśmy żywota żywotem, wszystko nam służy i dla nas jest. Od kropli wody począwszy do kropli krwi ludzkiéj, do mózgu i łzy waszéj, gdzież nas niéma? Jesteśmy wszystkiém i wszędzie. Gdzie u których istot co się tak chwalą sobą, znajdziesz taką rozmaitość kształtów nieskończoną, tak dziwaczne, a swobodne przemiany? Wyście tylko pastwą naszą, świat należy do Helminthów!

Ale chóru śpiewaków co ich otaczał, nie słuchały stworzenia ani ludzie; algi nad wodą kiwały zielonemi głowami a stary szczupak wąsaty, który wszystkiego cierpliwie słuchał, ruszając tylko skrzelami, rzekł uśmiechając się do barona:

— Miła rzecz to życie, którem się przechwalają polypy! połowa ich nie rusza się nigdy z miejsca, druga niéma najmniejszego czucia, lub przynajmniéj znaku jego nie daje. Wystaw sobie kochany panie, że niektórym pokarm całkiem zbyteczny; żyją licho tam wie czem, na stole cudzym, nie smakując, nie gryząc i nie oblizując się. Dziadunio za nich je, wujaszek trawi, a wnuk wypluwa niepotrzebne. I to do czego się żaden także polyp nie przyzna, a wiem najpewniéj, że wielu umiera miłości nie znając, nie mając wyobrażenia jéj. Jakie życie, taka miłość! Miłość przez plenipotentów!!

To mówiąc a nie mogąc dłużéj wytrzymać na powietrzu, szczupak zanurzył się chwilę, poczem *iterum* głowę podniósł i tak mówił dalej, pokręcając wąsa.

— Przyznam się waszeci, że się bardzo dziwię, jak możecie żyć samem powietrzem? Takie to czcze, nikłe, nudne i nieposilne! I my go tam po troszę używamy, ale żeby w niem żyć całkiem i ciągle, przyznam się asindziejowi to *absurdum!*

— Masz rację, rzekł szydersko baron, ja sam choć jestem człowiekiem, tej potrawy niestrawnéj, która ci się ciśnie do ust nieproszona, cierpieć już nie mogę.

— Bo cóż jest powietrze, mówił zapytując się szczupak—jeśli nie rozrzedzona woda? Co jest światło, jeśli nie rozpromienione powietrze (darujcie szczupakowi, nie uczył się fizyki w naszych szkołach, a pod wodą diabli wiedzą jacy professorowie). A co jest ziemia, jeśli nie woda zgęsła znowu? Prawda, mości dobrodzieju jest w wodzie, wszystko jest z wody, wodą, przez wodę *et sicporro.*

— Najniezawodniéj, potwierdził baron, a szczupak w wodzie żyjący jest niezawodnie też królem stworzenia.

— Pochlebca! myślisz że nie wiem o innych starszych i godniejszych odemnie (oprócz suma którego dziwną pretensją do arystokracji się brzydzę).

— O starszych, ale o rybach—dodał baron.

— To się rozumie. Ryba ma wielką oczewiście wyższość nad wszelkiem innem stworzeniem, żyje bowiem w elemencie, który jest jedynym, zasadniczym.

— Wszakże i to niezgorsze jak na szczupaka dowodzenie! Szczęściem że nas powietrze nie słucha, bo by ci odpowiedziało, że woda jest tylko spalenizną i węglem.

Tomko słuchał rozpraw i milczał.

W tem wieśniacy przyszli paść woły, a bydło idąc ryczało także swoje pochwały, nie czekając końca rozmowy ze szczupakiem.

— Co za głupcy! wszakci któż nie wie że na czworonogich i ssących kończy się i zamyka stworzenie, którego są koroną. Człowiek jest popsutem zwierzęciem, które się jak szpic na dwóch łapkach skakać nauczyło i zaparł się swoich nóg i wziął na nie rękawiczki żeby nie było widać, że kopytko na pięć palców rozdłubał, tysiące lat koło niego dłubiąc.

Myśmy panami stworzenia! Kopcie w ziemię, znajdziecie tam wołu przedpotopowego, mastodonta i protoplastów naszych, których my jesteśmy prawem potomstwem i spadkobiercami.

Czem człowiek przy tych olbrzymach? Płonie mu iskierka jasna w kątku głowy i nią się strasznie chwali.—Cha! cha! siła to życie! siła to prawda.—Słoń królem stworzenia!

Ucichło; owce powtarzały chórem:

— Słoń królem stworzenia!

A osioł strzygąc długiemi uszami, ryczał:

— Jesteśmy z nim w pokrewieństwie — przez twardość skóry. Zawsze mnie *mon cher cousin* nazywa.

(Wszelka arystokracja lubi się swemi związkami wychwalać.)

Muł w téj chwili przywitał się z osłem, i dziękował mu za to że go osioł na nogę nadeptał, szeptał bardzo grzeczniuchno ustępując się:

— *Pardon, mon cousin, vous êtes bien bon!*

Osioł odskoczył, zgorszony poufałością nieproszonego krewniaka, pastuch z bicza trzasnął, i wszystko ucichło.

— Gdzie prawda? spytał baron.

— Nie wiem rzekł Tomko, czekam słucham, patrzę szukam—to pewna że nie w tem cośmy dopiero słyszeli.

— Jeszcze to nie wszystko — odparł towarzysz podróży. Kształt i barwa poczną się zaraz kłócić w twojéj głowie. Obejrzyj się: w jednych tworach wygórował kolor i zdaje się cechować życie, zdaje się być jego wyskokiem, znamieniem; u drugich zobaczysz tylko kształty i linije, któreż z nich jedyną prawdą?

— Nie wiem, powtórzył Tomko.—Chodźmy daléj, chodźmy daléj!

V

Miało się ku wieczorowi, gdy podróżni wstali i pociągnęli daléj w drogę.

Lucyfer von Teufel zabawiał Tomka wielce zajmującemi powiastkami; młody podróżny zaledwie ich słuchał—milczał z głową spuszczoną.

Po drodze napotkali żebraka.

— Powiedz no mi mój kochany, dobywając kieski spytał baron, nie wiesz tu gdzie ciepłego kąta, żebyśmy z tym paniczem przenocować mogli.

A nad laskiem w dali trochę sterczała biała wieżyczka wiejskiego kościołka.

— Gdzież kiedy nie u dobrodzieja? rzekł kulawy, ciepła chata, smaczna wieczerza i miła gawędka.

— Dokąd to idziesz?

— Dokąd? z uśmiechem diogenesowskim powtórzył żebrak—jakto dokąd? alboż wie który z nas dokąd i po co idzie?

Tomko pilnie się wpatrywał w starca, który mu poczynał dziwnie przypominać Dołęgę, pierwszego jego nauczyciela.

— Mistrzu! zawołał nareszcie to ty! to ty! I rzucił się ku niemu. Ty! w żebraczem odzieniu.

— Tomko mój! dalipan chłopcze wszak cię nie poznałem — z uniesieniem krzyknął stary — a tyż dokąd wleczesz się z tym szołdrą?

— Za prawdą!

— Oj daleko za katy, już mnie tam moje stare nogi nie doniosą.

— A ty?

— Ja! jak zawsze; idę by iść, bez danego celu, znajduję ich tysiące po drodze. Życie to pielgrzymka: głupi kto ślimakiem chce zostać i zaskorupi się w sobie. Życie to ruch co raz nowszy. Idź mój Tomko, nie znajdziesz prawdy całej nigdzie, ale skorupki rozbitéj, bo z nieba spadając na ziemię w kawałki się boskie naczynie rozpadło. Te bryzgi świecące rozsypane są po naszéj drodze.

Tomko nie dosłyszał słów ostatnich; bo go pytał gorąco:

— Dla czego uciekłeś od nas?

— Dla czego woda bieży? czemu wiatr wieje? Wszystko co jest, jest i nie jest. Byt łączy się z nicością i zlewa; na co kochać czego wiecznie posiadać nie można? Idę a idę daléj a daléj; aż się gdzieś spotkam ze śmiercią i wiecznym spokojem. Prawda—to nieskończona zmiana, niepochwycona rozmaitość zawsze w sobie jedna. Nie szukaj jéj ani na dnie studni, ani na górze w gwiazdach; wisi między niebem a ziemią, jedną nogą tu drugą tam. Prawda, to może środek ciężkości między materją a duchem?

Ale i tych słów nie dosłyszał Tomko dobrze, bo baron von Teufel śmiał się bardzo głośno, by je zagłuszyć, a uczeń zakończenie tylko schwytawszy, odpowiedział pokręcając głowę:

— Nie mój mistrzu, prawda nie może być mieszaniną i jakemś pół-czemś, pół-drugiem; ona jest gdzieś cała, jednolita, wielka, potężna.

— Szczęśliwéj drogi, rzekł Dołęga kłaniając się—przenocujcie u księdza Sycyny; widziałem gotujący się rosół! piekącą gęś, spodziewa się gości u siebie, a prócz tego toć to stary znajomy, nie mijaj go i pożegnaj przed podróżą. Bądź zdrów chłopcze, ja idę, aby iść, aby daléj. Ruch, wędrów-

ka, to życie, to prawda. Prawda to nie twoje coś urojonego, cobyś chciał palcem namacać, jest w tobie, za tobą, wszędzie, ale wszędzie po troszę.

— A w Bogu cała pełna i jedyna! dorzucił ksiądz Sycyna, który ich zaszedł niepostrzeżony.

Z nim przywitawszy się zawrócili się do plebanji.

VI

Skromne było probostwo księdza Sycyny.

Nieopodal od kościołka obwiedzionego murem, w którego bramie wznosiła się ocieniona dwoma staremi lipami dzwonnica, za płotami z bzów i wirginji, stał porządny biały, z gankiem na czterech słupkach, domek. Za nim był sad cienisty; spokój do koła niego i czystość wytworna i miła jedyną jego ozdobą.

Co obiecywała powierzchowność, tego dotrzymywało wnętrze: domek był zaciszny, schludny, ciepły i wygodny, jak suknia codzienna. Na kominku palił się ogień z drewek olchowych wolnym niebiesko-różowym płomykiem, bo ksiądz Sycyna lubił ogień komina i w lecie. W pośrodku stół nakryty białym obrusem, otoczony był już krzesłami skórą wybitemi, o okrągłych poręczach i krzywych nogach. Wielki stary fotel widocznie przeznaczony dla księdza Sycyny ze stołeczkiem drewnianym pod nogi, na szarym umieszczony był końcu.

Jakim pokojem tchnęła ta cała plebanja!

Widziałeś po sprzętach, że przywykły z dawna, każde do swojego kątka; po dróżynach wydeptanych na świeżo zmytej podłodze, że każdy krok miał tu oznaczony kierunek, jak każdy przedmiot swoje miejsce, jak każda czynność godzinę swoją.

Wszystko było na miejscu.

Tomko usiadł, baron przyczepił się na poręczu jego krzesła; ksiądz pleban nałożywszy myckę na uszy, owinąwszy się sutanną, zasunąwszy ręce w rękawy, zapytał go łagodnie:

— Moje dziecko, dla czego, powiedz mi, chcesz szukać prawdy zewnątrz wiary? czyż cała w niéj nie jest?

— Mój ojcze, odparł za Tomka baron von Teufel, wybornie naśladując głos jego; nie szukamy jéj zewnątrz wiary; ale i w niéj i wszędzie:—idziemy do niéj drogą nową.

— Ale po cóż dobrowolnie nakładać drogi, gdy stara tak prosta i znajoma? rzekł poważnie ksiądz Sycyna.

— Nie było więc jéj całkiem przed objawioną wiarą, przerwał Lucyfer, nie było więc prawdy na świecie lat tysiące?

— Hm! rzekł ksiądz kanonik — wszelka wiara jest objawioną; człowiek do niéj siłami własnego rozumu nie przyszedł. Rozum ma to do siebie, że co buduje dziś, jutro wywraca, by znowu z gruzów nowe a nietrwałe wznosić gmachy. Dawne wiary były przygotowaniem do jedynéj do prawdziwie boskiéj, moje dziecko, w któréj mieliśmy się szczęście narodzić. Świat więc nie był bez prawdy; on jéj oczekiwał, przeczuwał ją, gotował się na jéj przyjęcie. Dziś zaś już zewnątrz wiary niéma, nie może być prawdy. Czegoż chcesz i pożądać możesz więcéj nad to, co ona dać ci może?

— Prawdy całéj, wielkiéj, jasnéj, ogólnéj, jedynéj, zawołał Tomko, któraby była prawdą dla wszystkich zarówno, wszędzie i zawsze.

— Tą jest—jeden Bóg tylko! odparł ks. Sycyna spokojnie.

Zamilkli; za chwilę baron poprawując peruki i naśladując głos Tomka, który milczał zamyślony, dorzucił:

— Powiedz nam ojcze wielebny, co jest prawdą prawd, wedle wiary?

Ksiądz kanonik ruszył ramionami.

— Zaiste, rzekł, osobliwsze pytanie, które tylko wielkiemu głupcowi przebaczoném być może, dziecko moje. Za takiego cię mając w téj chwili, lituję się nad dawnym uczniem, którego mam za *mente captum* i odpowiadam: Prawdą jest Duch.

Duch *jest;* ciało stworzone z niczego tchnieniem Bożem, tchnieniem ducha, *zdaje się być.*

Bóg jest czystym duchem, i wszelka prawda jest czysto duchowną. Wszelka materja znikomością jest, fałszem, niczem.

Ciało: to szatan, to złość, to niedoskonałość, zgnilizna, robactwo; duch jedyną prawdą. Wszystko co jest wedle ciała ma byt przemijający, chwilowy, któren się bytem ledwie nazywać godzi: w duchu prawda, żywot i wszystko, duch jest życiem jedynem.

Ztąd już widzicie może, co wypływa dla praktyki życia: ciało winniśmy martwić, upokarzać, męczyć, nękać, uciskać, aby ducha oswobodzić. Włosiennice, posty, dyscypliny, oto sposoby przeciwko ciału—szatanowi.—Odmawiać mu potrzeba wszystkiego. Starzy mawiali *non sine causa:* ujmij ciału obroku a dusza będzie syta — pokarm bydlęciu, a duszy słowo przystało.

— Cha! cha! zawołał Lucyfer — czemuż jegomość nie zostaniesz anachoretą, zenobitą, i nie ujmiesz sobie wygódek? po co się gęś piecze na rożnie, a rosół tłusty warzy w garnuszku?

Ks. Sycyna westchnął głęboko.

— Duch mocen jest, ale cielsko słabe, rzekł po cichu rumieniąc się, powiem wam ze Świętym Pawłem: *Ja tedy sam umysłem służę zakonowi Bożemu, lecz ciałem zakonowi grzéchu.* (Paweł do Rzymian. VII. 25).

Tomko potrząsnął głową i dodał.—Prawdy więc waszéj którą drugim dajecie, nie bierzecie dla siebie, nie spełniacie jéj ściśle?

Na tę niespodzianą wymówkę, odwrócił się z politowaniem uśmiechnąwszy kanonik.

— Bóg, rzekł, sądzić nas będzie, nie wedle słów ale wedle uczynków naszych; każdy czyni co może i ile podoła.

— Tak, tak! rzekł przedrzeźniając baron.

W tem wtoczył się ksiądz dziekan oczekiwany na wieczerzę z proboszczem sąsiedniego kościoła. Zaczęto się witać i o potocznych rzeczach rozmawiać. Tymczasem burza szalona, wściekła zrywała się na dworze, wiatr trząsł oknami, rzucał staremi okiennicami, i miotał drzwiami plebanji. Wkrótce za dziekanem, zajechała bryczka wioząca protojereja bliskiego monasteru; a jakby naumyślnie w ćwierć godziny potém przywlókł się zmokły od deszczu, przestraszony grzmotami, wzywając gościnności pastor protestancki, niewiadomo zkąd i dokąd dążący konno sam jeden.

Ks. Sycyna z właściwą sobie łagodnością i dobrocią przyjmował wszystkich, choć ciasno było w plebanji od tych w części nieproszonych gości, i trzeba było zabić drugą gęś i drugą kurę do stołu.

U wieczerzy przy lampeczce miodu starego, otwarły się usta wszystkim i z opowiadań w początku obojętnych, łatwo przeszli do dysputy dogmatycznéj.

Wszyscy się do niéj wmieszali, a baron von

Teufel siedzący za krzesłem Tomka uwieszony na jego poręczu, paplał mieszając pytania i gmatwając odpowiedzi.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

Nikt nikogo przekonać nie mógł—jeden poczciwy ks. Sycyna przez cały czas dysputy milczał, ruszając ramionami i modląc się po cichu.

Przykład jego wzbudził pomiarkowanie we wszystkich, spojrzeli, zawstydzili się i ucichać poczęli.

Nie w smak to poszło Lucyferowi: rozżarzył spór znowu wrzuconem rozpalonem słowem, zawrzała dysputa raz jeszcze. Protestant wynosił rozum ludzki, w któren jedynie wierząc jak w Boga, sędzią go czyniąc wiary, podnosił do Bóstwa ludzkość i ocierał się już o nieuchronny pantheizm. Katolik znowu odrzucał go całkowicie, mieniąc narzędziem *rozumienia*, nie *rozumowania*. Powstały sprzeczki o łasce, o predestynacyi, o pochodzeniu osób w Bogu, nareszcie o samych nawet obrzędach.

Dysputa już groziła przerodzeniem w swar nieprzyzwoity, gdy dowcipny protojerej nie lada człowieczek, figlarz wielki, który zawsze zdawał się żartować, choć ciągle miał łzy w oczach, przerwał:

— Zgoda mości panowie, zgoda! i zdrowie przeciwnych ludzi! Godzim się wszyscy na chrześciańską moralność, jeźli nie na znaczenie i wartość uczynków — to dość na dziś, a jutro przyjdzie reszta.

— Więc moralność, to jest czyn, byłby jedyną prawdą? szepnął w ucho baron Tomkowi, uprzedzając jego uwagę. Ba! ale tę moralność każdy inaczéj tłumaczy, rozumie i ceni, w miarę jak każdy inaczéj to, z czego ona wypływa, określa.

A ściśle zachowaną moralność chrześciańską gdzie znajdziesz?

Mówiemy o poświęceniu które jest zasadą moralności chrześciańskiéj, któż się dziś poświęca? Mówiemy o poskromieniu ciała i zaparciu się go, któż się dziś nie pieści? Mówiemy o obowiązkach względem bliźniego, a któż dziś nie ma sobie za największy obowiązek z bliźniego korzystać?

Każdy w ustach ma ewangelję dla drugich a w sercu nie chowa jéj dla siebie, tak jest, począwszy od największych do najmniejszych.

Gdzież miłość, ta wielka spojnia, ten wielki węzeł braterstwa, któren w katakombach łączył pierwszych prześladowanych? gdzie pobłażanie, łagodność, przebaczenie, pobożność i prostota duszy?? w słowach tylko, tylko w słowach!!

Tomko dokończywszy tych wyrazów poczętych przez barona westchnął, spuścił głowę i umilkł.

Lucyfer rozśmiał się serdecznie.

— Co to za jeden? spytał trącając łokciem księdza Sycynę, przybyły protojerej.

— Biedny obłąkany chłopiec, który idzie w świat szukać prawdy.

— Cha! cha! rozśmiał się gość dowcipny. — Co za zjawisko! A to nieoszacowane moralne monstrum, które warto dać pod słój w anatomiczno-psychologicznym gabinecie!—Jest to coś na kształt tego, jakby szedł kto szukać siebie. Biedne chłopię! Cóż to się mu stało? jakaś kommocja mózgowa?

— Dziwnym wypadkiem zakręciło mu się w głowie z czytania czy z myślenia; i szuka jakiejś prawdy absolutnéj, którą bardzo wątpię, żeby mógł znaleźć kiedy, niedoszalawszy wprzód zupełnie.

— Na tamtenby go świat wysłać! rzekł protojerej z uśmiechem łzawym.

— Do czubków mościpanie, do czubków, dołożył dziekan—a wodą obficie głowę polewać.

Protojerej przysunął krzesełko do Tomka i zapytał go:

— No! a zatem w drogę?

— Tak jest, i w daleką zapewne.

— Dalszą niż Krzysztofa Kolumba i Ferdynanda Korteza. Żaden *Conquistador* płynący ku marzonym złotym grodom nie wybierał się ani daléj, ani awanturniéj od pana. *Goddam!* jednego świata będzie ci za mało, należy się wcześnie przygotować i z Astolfem ruszyć na księżyc—bez przymówiska.

Tomko się boleśnie uśmiechnął.

— Przygotowany jestem, rzekł, na długą wędrówkę—któż wie jednak, byłbym może z plebanji do domu powrócił, gdybyście się panowie wszyscy byli na jedno zgodzili.

Protojerej szepnął na to:

— Co chcesz kochanku! Przecież w ostatku *en bons confrères* powiedzieliśmy sobie to, co w Moljerze mówią dwaj lekarze.—Ale dajmy pokój temu. Czy nie zdałyby ci się duszeczko listy rekomendacyjne? spytał wesoło.

— Czemuż nie? Na księżyc? Może mi ztamtąd jaki słoik przynieść każecie? szepnął głosem Tomka baron.

— Złośliwy! pomściłeś się! Jutro siadam i piszę polecając cię dawnym towarzyszom moim, dziś podobno nauczycielom Akademji; boć i do nich zapewne wypadnie zapukać po prawdę!

— Tylko dla tego, żeby nikogo nie minąć! Prosiemy o listy, chociaż akademickie prawdy *ex cathedra* nie wiem nawet czy od stryjecznych stryjeczne wielkiéj prawdy naszéj, — i podobno do jéj familji nie należą.

— Jutro będą gotowe! Co za pociecha dla nich. Takie odwiedziny nie codzień się zdarzają.

Długo w noc trwała jeszcze ożywiona rozmowa, poczem, wszyscy spać się rozeszli. Baron von Teufel zwinął się w kłębuszek misternie i położył na piersiach Tomka, który sen miał ciężki i niespokojny. Gęsta peruka Lucyfera nazbyt rozpalała mu piersi....

VII

Nazajutrz rano pożegnawszy ks. Sycynę i gości, wziąwszy kij w rękę pielgrzymi, Tomko w dalszą ruszył drogę. Baron Teufel wdrapał się na tłomoczek jego, objął cienkiemi nóżkami, i bawiąc się jasnemi puklami włosów młodzieńca rozwianemi od wiatru, wygodnie tak na barkach jego podróżował daléj.

Do koła kraj był piękny i żyzny, ale w ruinach. Z każdego pagórka policzyć mogłeś najmniéj jeden dom boży, dom pański, dom szlachecki i jedno miasto walące się w gruzy. Suche kościotrupy murów sterczały patrząc próżną okien wydartych źrenicą; tylko sioła czarne odwieczne poprzyczepiane do ziemi, przylgłe do pól zielonych, żyły jeszcze i oddychały. Po drodze wśród zwalisk i rumów potrącali nogą drogie pamiątki już szybko w prochy rozsypującéj się przeszłości. Tomko płakał a baron śmiał się mówiąc: Dobrze tak! dobrze tak! ten gruz to nawóz przyszłości!

Na zwaliskach handlarze nieczni targowali się z przychodniami bez imienia, odstępując im za lichą cenę, co w nich jeszcze na coś przydatnego

znaleźć się mogło. Przekupnie i kupcy pili i grali w karty rzucając losy na ostatki, o których roztarganie nikt się upomnieć nie myślał.

Lecz widok ten trwał krótko.

W polu napotkali wieśniaka, który był usiadł pod drzewem spocząć, wyorawszy połowę swojego zagona.

Tomko, który nikogo pominąć nie chciał wiedząc, że często niespodziewanie na wielki skarb natrafić można; zbliżył się ku niemu.

— Mój bracie, rzekł, pozwól mi spocząć przy sobie i pogadajmy.

— Z duszy serca paneczku, robiąc natychmiast miejsce, odparł chłopek. Siadajcie tu sobie pod moją gruszą staruszką, jeżli się wam podoba, a gdybyście pozwolili podzieliłbym się z wami chętnie chlebem czarnym i słoniną.

— Dziękuję ci, Bóg zapłać, pozwólcie wyraczéj, abym przełamał z wami mój chleb biały i sér zawiędły.

Z razu trochę zmieszany, nie swój i nieufny chłopek wkrótce swobodniéj rozmawiać począł.

Zajeżdżał go z różnych stron Tomko, chcąc się dowiedzieć co od niego o prawdzie; ale go wieśniak nie mógł zrozumieć, chociaż to był nieciemny pospolity prostaczek od pługa; ale stary niegdyś żołnierz i dworak, nieco nawet piśmienny człowiek, który powrócił do roli z ochoty.

— Prawda! prawda! mruczał jedząc i kiwając głową.—Ba! panku, chcecie wiele wiedzieć. A któż to może wiedzieć gdzie się ona podziewa? Jeśli przecie dość wam będzie jednéj prawdy z tych wielu co po świecie chodzą, to ją wam powiem chętnie.

— Słucham ochoczo—mówcie.

— Ot chcecie wiedzieć, że niéma jak my, jak lud, rzekł wieśniak. — Wy panowie jesteście fałszem, naroścą na naszéj skórze, grzybem urosłym z pleśni na barkach ludu. Patrzcie jeno gdzie żywiéj biją serca, gdzie rączej wyciągają się dłonie ku pomocy wspólnéj, gdzie się ochoczo dzielą odrobiną od ust odjętą; zkąd płyną łzy, zkąd płynie krew, pociecha, jałmużna i czyn miasto czczego waszego słowa—od ubogich i od ludu!

Religja Chrystusowa tu tylko się wypełnia, gdzieindziéj, u was, rozumują o niéj ślicznie, ale jéj nie słuchają. Panowie, bogaci, obojętni są na wszystko, zestarzeli na duszy, zimni, samolubni i szydercy. Oni nie wierzą w nic, nic nie kochają, niczego nie szanują. Wzbudzić wnich zapał, iskrę szlachetnego poświęcenia z nich wykrzesać — niepodobna! Życie jest w nas, w nas prawda!

Tomko poruszony głęboko tą mową niezwyczajną w ustach wieśniaka, ścisnął jego rękę, a on mówił daléj.

— Przyszłe losy ludzkości, nie spoczywają na martwych pniach, na spruchniałych kłodach, na tych, których zowiecie panami, a oni nawet panami samych siebie być nie umieją. Co z nich wydobyć? Jak z pruchna ogień wykrzesać? Swieci się to po nocy, ale świeci może dla tego właśnie, że gnije—jak pruchno. Młodość, zapał, nasienie czynu u nas, w nas są tylko.

Baron von Teufel wiszący na gałęzi nad głową Tomka począł się śmiać do rozpuku, śmiać się tak szalenie, że spadł na ziemię z drzewa i przewracając po murawie, trzymał się z całych sił za boki, żeby mu nie popękały.

— Czego ty się śmiejesz? spytał go Tomko.

— Ba! zobaczysz! Oto właśnie idzie drogą jeden z moich dobrych starych znajomych hrabia Krzywulec. Idźmy ku niemu na przełaj i rozmówmy się z nim. Nie wiem, jak ci się potem wyda mowa wieśniaka!

To mówiąc, pociągnął za połę Tomka, szarpnął go i zmusił iść za sobą pospiesznie, tak że wkrótce napędzili hrabiego na gościńcu.

VIII

Baron von Teufel, znać dobrze hrabiemu znajomy, podawszy mu rękę i przywitawszy go zaczął coś szybko szeptać mu w ucho śmiejąc się co słowo prawie. Potém przedstawił Tomka jako przyjaciela, szlachcica, z antenatów i dodał:

— Hrabio! mieliśmy właśnie utarczkę z tym panem.—Rozwiązać ją może twoja cudna teorja arystokracji. Uczyń to dla mnie i chciéj ją na pożytek nasz duchowny wkrótkości rozwinąć.

— Czas piękny po wczorajszéj burzy, odparł hrabia od niechcenia spoglądając na Tomka, konie moje pójdą powoli pod górę; a ja żądaną teorję opowiem wam, moi kochani, w kilku słowach.

To mówiąc poprawił rogatéj czapeczki, jeszcze raz badawcze rzucił spojrzenie na Tomka i tak począł:

— Arystokracyjny element jest wszędzie, arystokracja znajduje się w naturze saméj z jakiéjkolwiek na nią strony spojrzeć zechcecie; ona jest w każdéj klassie stworzeń wyborem, kwiatem, ideałem rodzaju. Znajdziesz arystokracją w zwierzętach, ptakach, roślinach. Krowy tyrolskie i gwoździki kapucyńskie są arystokracją wśród innych krów i gwoździków. Pszenica sandomierska jest arystokracją przy ukraińskiéj i bessarabskiéj.

Zasadą arystokracji jest ta niezaprzeczona prawda, że nie wszystkie indiwidua jednego rodzaju mogą być i są wistocie równe sobie. Nierówność suponuje wyższość jednych, niższość drugich. Ta wyższość, ta arystokracja w rodzaju, (pojmujecie łatwo) jest jedyną prawdą, jedyném urzeczywistnieniem ideału bożego, reszta pozostaje tylko niejako nieszczęśliwą próbą, która się nieudała. Natura nie zawsze szczęśliwa, lepi takich sto garnuszków dziurawych, nim się jéj uda jedna piękna doniczka. Człowiek ideał, człowiek *per excellentiam*, człowiek jak go Bóg mieć chciał, jest pomiędzy nami tylko. My jesteśmy tyrolską krową, wśród pospolitego bydła. Zresztą gdzie uczucia wyższe, szlachetniejsze, podnioslejsze, jak u nas? Gdzie pojęcia piękna, potęgi, siły, szlachetności; pojęcia drugiego świata będące przeczuciem—jeżli nie u nas?

Barwy kwiatów wyrastających na jednéj łodydze są nierówne.

— Dotąd mówisz hrabio tylko o arystokracji indywidualnéj, ślepyby jéj chyba nie zobaczył.

— I nie widzę potrzeby dodawać, że ogrodnik roztropny z piękniejszych kwiatów zbiera tylko nasienie, opuszczając późniéj, lub nikło rozwinięte nawet jednéj latorośli (oto zasada prawa pierworodztwa); nie widzę potrzeby dowodzić, że exystują rassy, że jest krwi i cnót dziedzictwo. Wyższość umysłowa gdzież jeźli nie u nas? Wszystko co lepsze, większe, wznioślejsze od nas wyszło i do nas idzie.

Co było—to arystokracja wspomnień, rodu; co jest—to arystokracja żywa, dobijająca się; co będzie—to arystokracja przyszłości, to jéj nasienie. W téj klassie jest jedynie prawda społeczeństwa, jest człowiek ideał.

Uczucie piękna, to uczucie—przeczucie niebios,

ta tęsknota do doskonałości, która szuka wdzięku formy, aby jéj przypominała piękność wieczną ojczyzny nieśmiertelnéj—gdzie je spotkasz wyrobione do tyla co u nas? Piękne formy żywota towarzyskiego, owe konwencje na które sobie krzyczycie, nie są li to ofiary dla uczucia przyzwoitości, dla ideału społecznych stosunków? Myśmy ofiarnikami piękna szlachetności, godności; reprezentantami żywota idealnego na ziemi. Wszystko aż do naszego wykwintnego stroju jest tęskną pogonią za niepochwyconym ideałem. Dla czegoż cokolwiek się z tłumu wyniesie dąży do nas, bodaj od pługa i roli wstał wyższy głową od braci człowieczek, czemuż ciągle żegluje ku nam? Bo u nas czuje wyższość, żywot, prawdę.—Arystokracja ma wrodzone monopoljum myśli szlachetnych, czci piękna i—

Hrabia mówił, a baron szeptał w ucho Tomkowi. — Uważ jak on przypomina wołu, który się chciał od mastodonta wywodzić.

Tomko z politowaniem poglądał na hrabiego a ten ciągnął daléj zapalając się własnem dowodzeniem, tak mówił:

— Dzisiejszy wiek przeczy wszelkiéj arystokracji ale to najwyższe głupstwo ubrane w szaty pozornéj sprawiedliwości.—Gdzie światło? gdzie siły ducha? gdzie wszystko dobre? jeśli u nas. Nam wybranym rodzaju ludzkiego, nie powinienże służyć cały rodzaj ludzki, nie jesteśmyż ogniskiem wszystkiego, celem ostatecznym stworzenia, koroną świata? Krzyczycie na ofiary z ludu czynione! zawsze Bogowie ofiar krwawych wymagali, bo się im one należą, świadczę się de Maistr'em. Massy! massy! wołacie, cóż to massy? Tłuszcza bez myśli, gmin bezmózgi, szuja jednem słowem—wybranemi my jesteśmy! Obrońcy praw ludu są obrońcami ciemnoty, materjalizmu; niwelujący ludzkość są nieprzyjaciołmi genjuszu i wszelkiéj wyższości; a że ona reprezentuje Boga na ziemi, są więc *ipso facto* nieprzyjaciołmi samego Boga.

Gdy tak idąc ścieżką słuchają, a hrabia to poprawując czapki, to ręką żywo gestykulując głośno rozprawia; zjawił się w pośród nich Dołęga, jak wczoraj po żebraczemu ubrany, a pokłoniwszy się skinieniem głowy Tomkowi i baronowi, zagadł bez ceremonji hrabiego.

— Hrabio, rzekł, słówko — zkąd arystokracja pochodzi?

— Ha! mówiłem wam przecie z wyższości indiwiduów, która niepojętemi dla nas drogi przelewa się na potomków w ród i ze krwią płynie.

— Z wyższości! ha! to prawda! rzekł Dołęga, ale z jakiéj?

— Wszelkiéj, jaka tylko być może. W pierwszych wiekach, jak wiecie, urodziła się arystokracja z siły pięści, najsilniejszy stał się najmożniejszym, a najmożniejszego potomkowie, nasieniem panów.

— O! do djabła hrabio! zakrzyczał Lucyfer, zjechałeś z drogi i zawadzisz o pień. Jest w piśmie świętem wiele znacząca powieść o Samsonie, pewnieś jéj nigdy nie czytał.

— I owszem.

— Samson miał siłę potężną, ale że mu podobno oleju w głowie brakło, że się dał podwice za nos wodzić, że nie miał siły ducha, wyższości jego i niepodległości, musiał młyny obracać Filistynom, i siła wielka nie na wiele mu się przydała. Brednie to są, co wasza miłość mówicie o sile pięści. Jedyną siłą jest siła rozumu, siła ducha i wyższość umysłowa. Od niéj to pochodzi wszelka arystokracja.

— Ha! ha! rozśmiał się hrabia — taką rzeczą Platon i Arystoteles powinni byli.—

— Nie przerywaj pan! dorzucił Dołęga, oni są w istocie arystokracją całéj ludzkości, całych wieków. Wasza arystokracja rodu gniła i nikczemna! Wyższość umysłu, siła ducha, powinna być znamieniem arystokracji, bez niéj nie ma tylko nadużycie i przesąd. Gdzie tylko panowie stracili wyższość tę, gdzie przestali spełniać missję daną im przez Opatrzność prowadzenia niższych od siebie do umysłowéj, duchowéj wyższości; tam, jak u nas domy ich pustką, herby gniazdami wróbli, ród pośmiewiskiem, a groby oplwane.—

— Za pozwoleniem, rzekł hrabia — prostując się, arystokracja jest trojaka: pieniężna, rodowa i umysłowa.

— Stara i oklepana brednia! panie hrabio. Do zrobienia pieniędzy potrzeba najprzód głowy: kto nie ma głowy, choćby go rodził Montmorency nic nie będzie znaczył na świecie, a z głową, z duchem, z wyższością umysłową, pierwszy chłop lepszy od ciebie mości hrabio.

— Ale dajcież mi pokój! nie mam czasu! zawołał Krzywulec—dajcie mi pokój! Durzycie mi głowę niepotrzebną rozprawą—jadę właśnie i śpieszyć muszę na radę familijną do księcia S. — dajcie mi pokój.

— Tylko słówko jeszcze, zatrzymał Dołęga — myślicie więc hrabio, że arystokracja samą siłą wspomnień żyć może?

— Bez wątpienia! Jéj wyższości znamieniem są małe rączki i drobne nóżki; dopóki te trwają. —

— Z małemi rączkami i drobnemi nóżkami pójdziecie gdzie się wam ani jedno, ani drugie na nic nie przyda. Chcecie żyć?—stańcie na miejscu to jest na przedzie! Pracowaćby wam potrzeba, poznać błędy swoje, oziębłość, zastygnienie, rozwiązłość, płochość, dumę, uderzyć się w piersi i powrócić z pokorą do dawnéj missji: wieść braci do udoskonalenia moralnego, przykładem, czynem, ofiarą.—To da wam nowe życie. Dziś żyjecie tylko sobą i dla siebie, odcięci od reszty społeczeństwa, trupem jesteście i zgnijecie.

— Pierwsza ślachta, odparł hrabia spluwając i śpiesząc do swego powozu; pierwsza ślachta tegoczesna powstała i urosła w wojnach krzyżowych, temu nie zaprzeczycie?

Choć wedle mnie idea ślachectwa stara jest jak świat, ale historycznie z dzisiejszego stanowiska?

— Niech i tak będzie.

— Gdzież w krzyżowych wojnach, w wojnach jakichkolwiek, które zrodziły ślachtę, jest spełnienie owéj missji—prowadzenie niższych ku udoskonaleniu, ku wyższości?

— Hrabia tego nie widzisz?

— Nie, mości panie, wyznaję.—

— Oto najprzód przykład Krzyżowca uczył wielkości i świętości obowiązków: widzieli go ludzie poświęcającego siebie, życie, mienie dla idei jednéj dla wiary! To pierwsza;, powtóre: Rycerz brał za giermka, za pacholę, za sługę często od pługa i roli człowieka, ktorego wiódł w świat z sobą, uczył go uczuć rycerskich, uczył go pogardy śmierci, honoru rycerskiego, poświęcenia, za wiarę, za słabych, za coś niematerjalnego, a nad wszelkie dobro ziemskie ważniejszego, słowem uczył go *poświęcenia*. Ten wojak, okulały może lub oślepły, powracał do domowéj zagrody; a co wniósł wspomnień pod strzechę, to było jego nabytkiem, niemi on oświetlał rodzinę swoją. Co wlał we wnuki swo-

je, to o szczebel, chociażby pragnieniem tylko, podnosiło ich wyżej.

Potomkowie naszéj ślachty czego uczą tych ubogich, których do siebie biorą i płaszczem łaski okrywają? Najgorsi uczą ich kart, rozpusty, próżniactwa i szyderstwa, dumy i zarozumienia; najlepsi—uczą robić cukier burakowy!! Wątpię hrabio, żeby nawet książe, który tylu ślachty używa do swych ogromnych fabryk, spełniał swoją missję jak należy. Cukier jest rzeczą doskonałą, ale nieprowadzi do niczego więcéj, krom pieniędzy.

— Tandem, bądźcie waszmość zdrowi, nie mam czasu, rzekł pogardliwie hrabia, kończę faktem: rozumowania wszystkie zbić można i rozumowaniami siakiemi takiemi co chęć pobudować, ale fakt jest to mur żelazny. Po kiego djabła ciśniecie się wszyscy do nas i czapkujecie arystokracji, kiedy ona tak zgniła i strupieszała? dla czego tak ona was żywo obchodzi? Ha? a dieu! adieu! panowie czerwoni!

Rzuciwszy tę racę kongrewską na obóz nieprzyjacielski, hrabia skoczył do powozu. — Żebrak szydersko nań spojrzawszy usiadł na drodze z westchnieniem, a Tomko zastanowił się w niepewności co miał z sobą począć. Tymczasem baron otrzepując żaboty z tabaki, którą właśnie obficie nos poczęstował począł mu szeptać:

— A co kochanku?

— Jestem jak w lesie, im daléj, tem mniéj rozumiem gdzie prawda, i co nią jest wyłącznie?

— A zatém?

— Idę daléj.

— I ja z tobą serce moje. Ciekawy jestem djabelnie na czem się to skończy; a przytem zajmuje mnie silnie twoja naiwność i poświęcenie.—Pójdziemy więc daléj.

— Żal mi tylko porzucać Dołęgę.

— Ba! starca! Starość to już nie życie prawdziwe, to zachód słońca skrzepły i zimny, szanujmy ją, ale zbyt jéj nie wynośmy. W młodości to, w tobie jest prawda żywota: młodość to nadzieja, pragnienie, czyn; starość żyje tylko łupinami i odrobinami. To konanie dogorywającéj lampy.

— O mądry doktorze niemiecki, rzekł rozwalając się na trawie Diogones — Dołęga — któż to ci powiedział? Młodość to życie ciała, starość to życie duszy. Ustały burze cielesne, zcichły namiętności, śpi mięso, a podniosła się dusza, a żyje doświadczenie, a świta mądrość. Kajdany spruchniały i rozleciały się—swoboda umysłu zdobyta. Starość to dopiero żywot prawdziwy.......

— No! i gadajcież! tak ślicznie zdaje się wyrozumowałem! zawołał śmiejąc się Lucyfer... a ten w proch moją robotę obrócił.

Tomko spoglądał na obu, brał za kij i wybierał się iść.

— Idź, idź! rzekł do niego Dołęga, nie obawiaj się, ja cię dopędzę jeszcze. Dokąd młody dobieży pędząc zdyszany, stary przywlecze się powoli nieznużony silny, wytrwalszy: młody nie wie dokąd idzie; stary upatrzył cel, dąży ku niemu, oszczędzi drogi i stanie wprzódy od niego. Ruszajcie sobie, ruszajcie!

Baron na pożegnanie chciał poczęstować rapą Dołęgę, ale stary żebrak pokazał mu figę. Niemczyk ukłonił się grzecznie, schował tabakierkę i poskoczył Tomka dopędzać.

IX

Byli jeszcze nie o podal od domu.

Jakieś tęskne uczucie odwracało Tomka ku niemu, ale inne silniejsze parło go wprzód w nieznany mu świat.—Przecież, mówił w głębi duszy, dowiem się kiedyś, co jest prawdą. Tyle sprzeczności, tyle co krok spotykam prawd najróżniejszych, które jedna drugą spychają, zbijają, unieważniają, że wreszcie gdzieś muszę wynaleść prawdę jedyną, absolutną, wielką jak świat, co będzie wszystkich sprzeczności kluczem, wszystkie je zgniecie i rozbije a na gruzach usiędzie na tronie jasności i chwały wiekuistym, nieporuszonym!

— Tak jest! szepnął Lucyfer, chodź tylko braciszku, chodź daléj, zobaczysz że taki musiemy odkryć tę Amerykę marzeń naszych. Jużeśmy się i tak bardzo wiele w krótkiéj naszéj nauczyli podróży, to jest: że nic jeszcze nie umiemy.

Gdy to mówili, nadszedł wiaterek który po drodze piaskiem kręcił, a baron poskoczył ku niemu wywijać obertasa; Tomko tymczasem, któren czuł coraz silniéj jak ciężko mu było znajome opuszczać miejsca, oglądał się, ociągał i zastanawiał.

Serce mu wyraźnie mówiło tęsknoty pełnym głosem: Po co iść daléj? wnijdź w siebie i spojrzyj w niebo!

W tem:

— Dzień dobry! ozwał się głosek srebrzysty.

Był to głos dobréj a pięknéj Małgosi, a Małgosia była córką sąsiada państwa Prawdziców starego Ossorji i towarzyszką lat Tomka dziecinnych.

Swieża jak różany pączek (choć to bardzo stare i nieświeże porównanie) wesolutka jak wróbelek, woniejąca młodością, jaśniejąca sercem, dziewczynka uśmiechała się białemi ząbkami do lubego jéj Tomka. Wracała właśnie z odpustu na Zielną obchodzonego w pobliskim kościołku gdy ją Tomko napotkał. Z podziwieniem podniósł na nią oczy, bo się jéj zobaczyć nie spodziewał, bo się z nią pożegnać—zapomniał.

— Dokądże to Tomku? spytała śmiejąc się jeszcze.

O! już po odpuście w Gruszycy, spóźniliście się po swojemu, o dniu zapomniawszy.

— Ja bo nie idę na odpust, odparł Tomko zafrasowany.

— No a dokądże?

— Na naukę!

— Jakto na naukę? zawołało dziewczę poklaskując w dłonie.—Terminować! Ty! ty ślacheckie dziecię! a toż co! Boże miły! cóż to jest? Na naukę! A czegoż to myślicie się uczyć na szerokim świecie?

— Nie terminować, ale uczyć się idę—Małgosiu!

— Słyszę, ale czegoż?

— Prawdy! rzekł Tomko cicho, smutnie i jakby zawstydzony.

— Mój Boże! a w domuż? nie możnaż się jéj było nauczyć z Ewangeliczki i Ołtarzyka?

To mówiąc Małgosia usiadła na trawie i spoglądając w oczy Prawdzicowi, tęskno pytała go daléj, łzy kryjąc ręką i chustką.

— Kochany Tomku, a nie żalże wam odchodząc nikogo? niczego? Spojrzała na niego ukradkiem, chłopiec spuścił oczy, zarumienił się i odpowiedział.

— Cóż żal nada, żal mi was wszystkich a pójdę dla tego.

— O! to wam nie żal nas, to nas nie kochacie?

— Ale powrócę?

— Tak! starym na sercu, zimnym i zmęczonym. O szkoda mi ciebie, szkoda! I spojrzała nań znowu, aż oczy ich się zbiegły w wejrzeniu.

Zdawało się dziewczynie że przeszyła go wzrokiem do głębi duszy i zbliżyła się pewniejsza zwycięztwa.

— Zostaniesz z nami, rzekła — nieprawdaż? I drżącą ręką chwyciła dłoń jego zimną.—Pamiętasz nasze wieczory na ławce przed domem; szum jodeł naszego ogródka, lipy naszéj pasieki, gołębie ulubione, cośmy je karmili we dwoje, piosnki naszego dzieciństwa tak roskosznie smutne i tę obrączkę z włosów, którąś się ze mną zaręczył?

— Pamiętam! pamiętam! i powrócę Małgosiu— i znowu szumieć nam będą jodły nasze, kwitnąć lipy stare, gruchać gołębie i śpiewać będziemy piosnki dzieciństwa i zamienim wieczne obrączki. —

— Ale ja nie chcę żebyś odchodził! dodała żywo dziewczyna!—ja nie chcę, nie chcę! Tęskno mi będzie po tobie i płakać będę samotna i zapłaczę się wyglądaniem. A! powiedz mi, powiedz jestże szczęście wyższe nad to, które daje życie spokojne i sumienie czyste, szczęście którcmeśmy jak złotem jabłkiem bawili się w dzieciństwie, jestże życie nad życie we dwojgu i w kątku?

Tomko milczał uparcie, łza mu się kręciła po powiece, z serca się dobywając, lecz razem myśl samolubna do ust sypała mu słowa:

— Małgosiu—ja chcę szczęścia takiego, ja po nie powrócę, ale chcę prawdy!

Ona spojrzała, opuściła ręce, potrzęsła głową z politowaniem i zapłakała...

— Biedny Tomko! odezwała się—tyś chyba chory! Co to tobie? tyś chory pewnie! Iść w świat, a za sobą zostawiać serc dwoje, i więcéj może, co cię tak wiernie, tak jedynie kochają... Myślicież że co potrafi nagrodzić skarb taki? — Słyszałam raz w Ewangelij, którą czytał organista w wielkim tygodniu, że jakiś pogański czy żydowski książe pytał się Chrystusa.—Co jest prawda? Lecz od czasu jak nam pan Bóg na świat przyszedł i umarł za nas, czyż jeszcze powtarzać można to pytanie? O! tyś chyba chory, tyś obłąkany! Prawda! a! to młodość zielona, pełna wiary, nadziei, miłości Boga i ludzi — prawda to nasze wiejskie życie, prawda to żywot spokojny w kwiecistych sadach, na złotych łanach naszych! Myślicież, że co lepszego znajdziecie gdzie nad prawdę miłości, wiary i nadziei?

— Nie wiem, rzekł Tomko wzruszony, ale niespokój, żądza jakaś niepojęta mnie pędzi.

— Zły to niepokój, zła to żądza — ciekawość wiedzie do piekła, odparło dziewcze. — Wierzyć i kochać czyż nie dość?

— A! dla mnie biednego nie dosyć!

— Biedny Tomku. — Dalekoż tak iść myślicie niewiedząc po co i czemu?

— Gdzie oczy poniosą, dopóki nie dowiem się prawdy.

Małgosia zafrasowana chwyciła się za głowę.

— Pożegnajmyż się, rzekła cicho, bo Bóg tylko wie kiedy i z czem powrócicie. — O! żal mi ciebie, żal mi ciebie serdecznie.

— Żal ci?

— O! srogi żal, za tobą, za rodzicami twemi — żal mi i siebie, bom cię kochała, jak siostra nie będzie rodzona.

Nie lepiejże było, w cichości co Bóg dał używać, kochać i w niebo patrzeć. — Jestli to fałsz i zmyślenie?

— A! ty mnie nie rozumiesz Małgosiu!

— Może.—Głową, nie, a sercem jeśli nie pojąć czemużbym się domyśleć nie mogła?

— Co mówisz jestto szczęście tylko — odparł Tomko, ale nie prawda. Czemuż są szczęścia inne, czemu jest ich tyle? Więc to, które posiadamy nie jest wyłącznie prawdziwe?

— Juściż to nie jest niebo—odparła dziewczyna, tam tylko jedno będzie szczęście dla wszystkich.

— Tam! tam! czemuż zrozumieć nie można tego co nas otacza?

— Zachcieliście, toć próba tylko! toć żywot znoju i pokuty, a gdy przy nich zaświta nam słoneczko na chwilę, wiatr nas orzeźwi, czyż nie dosyć?

— Bądź zdrowa Małgosiu!

— Idziesz więc?

— Muszę.

— A! bywajże zdrów. Wróciwszy pójdę do rodziców waszych i będę się starała ich pocieszyć w samotności, w opuszczeniu. Nie masz serca że nas tak porzucasz! o nie masz ty serca.

Tomko stał nieporuszony. — Niech ci Bóg przebaczy rzekła ze łzami dziewczyna; my za ciebie modlić się będziemy; daj Boże byś powróciwszy nie był już niezdolny do naszego szczęścia i nie pogardzał nami, żeby ci duszno, tęskno, smutno ze staremi przyjaciołmi nie było.

Jeszcze mówiła i płakała, gdy Tomka pochwycił baron Lucyfer pod rękę i świszcząc obertasa pociągnął go gwałtownie za sobą; ręką tylko pożegnał Małgosię, która stała ze łzą w oku i z przestrachem w sercu.

X

Tomko tedy podróżował daléj a daléj, zawsze w towarzystwie Barona, który uprzyjemniał wędrówkę, arcy-nauczającą rozmową o cudach Bożego świata, bo go z końca w koniec przeszedł i znał doskonale.

Nieszczęściem, czego ta rozmowa najwięcéj Tomka uczyła, to coraz mocniej wątpić o wszystkiem; wstrząsała nim, rzucając go z jednéj w drugą ostateczność. Obrazy świata zręcznie stawione przeciw sobie, pełne były niezliczonych sprzeczności.— Co w nich było głównem? co ubocznem? co prawdą? co fałszem i przyrostkiem? Tomko rozróżnić nie mógł.

Baron zażywając tabakę, udawał dudka wyśmienicie i powtarzał.—Niepojęte! niepojęte! Tak szli aż do miasta, które owego czasu sławne było ze swéj Akademii i nauczycieli, gdzie się wiele uczyło młodzieży, zkąd jak z ogniska tryskała światłość na okół kraju.

Postrzegłszy miasto Tomko ze ściśnionem sercem, z jakąś nieopisaną tęsknotą pomyślał dla pocieszenia się:—Tu przecież znajdę czego szukam, ci mędrcy powiedzą mi, co jest prawda? Jeźli nie wszycy o niéj wiedzą, choć jeden przynajmniéj doszedł może co ona? I wrąc z niespokojności wszedł do miasta.

Zaraz u wnijscia to życie miejskie, porównane w duszy z życiem wioski, wyzwało w nim nowe z wątpliwością pytanie:

— Który z tych dwojga żywotów jest prawdą? Owli żywot wsi spokojny gdzie wszystko w swojéj godzinie przychodzi, życie płynie niepostrzeżone, powolnie, cicho, jednostajnie i błogo; czy miasta wrzący, namiętny, szybki i nowemi wrażeniami, nowemi coraz wypadkami osnuty.—Jeśli prawdą życie wiejskie całe w obliczu natury upływające,

czy to całe w obec samych dzieł człowieka, w którem Bóg znika, a stworzenie króluje?

Nim sobie Tomko to pytanie rozwiązał, już go wir miasta pochłonął. Patrzał, żył oczyma, żył uszami, żył gorącem i szybkiem życiem ludzi miejskich, co go otoczyli, objęli i porwali.

Baron zajął się zaraz wyszukaniem mieszkania; był w wybornym humorze i pluskał się w tem wrzątku miejskiem jak ryba w wodzie.

— Nie życież to, wołał podskakując na półtora łokcia w górę,—patrzaj młokosie serca mego, co to za wrzawa, co to za pośpiech. Ile tu różnych ludzi i twarzy! Tam pogrzeb, tu chrzciny i zaraz wesele i obok kłótnia małżeńska, łzy i śmiech wszystko ściśnięte, zmieszane, utarte! Jeden na drugiego nie patrzy, mijają się, lecą, pędzą, godziny biją jedna po drugiéj jak szalone, życie płynie. Ani burzy ani pogody niebios nie widać w tych kamienicach, nie ma tu chwil nudy i rozmyślań.—Porównaj że to proszę ze wsią, gdzie wśród głuchéj pustych dni ciszy, klekot bociana i wieczorny krzyk gęsi budzi cię tylko; gdzie każda chmurka przesuwająca się po nad głowami zwraca oczy; gdzie każda drobnostka wypadkiem, a tak szeroko się ziewa!

— To więc życie prawdziwe, jedyne? spytał Tomko, takiem chciał mieć je Bóg?

— Albo to, albo i nie to, z uśmiechem odparł baron, właśnie okrutnie się biedzę, które z nich jest prawdą, ale mnie lepiéj miejskie smakuje, a za tamtem nie tęsknię wcale.

— Czemuż ja już dziś tęsknię za niem?

— Ba! więzień tęskni za ciemnicą i łańcuchem z któremi się zbratał. Wielką tajemnicą nałóg.— Miałżeby człowiek gdzieś kiedyś do tak jednostajnego życia być przeznaczony, którego nałóg byłby w nas przeczuciem i zapowiedzią?

Hę?—a tymczasem śpij moje dziecko; jutro zaraz pójdziemy pukać od drzwi do drzwi mędrców tutejszych i pytać ich słowy Piłata:

— Co jest prawda?

XI

— Od kogo zaczniemy? spytał nazajutrz baron niespokojnego Tomka.

— Od pierwszego z brzegu, odparł młody chłopiec, wszakże wszystkich obchodzić mamy.

— I tak dobrze, zgoda! a że lubię odrazu zbyć się rzeczy najcięższéj, a do nauczyciela astronomji wysoko po wschodach drapać się potrzeba, zbądźmy dziś te nieszczęsne wschody.

Poszli i po stromych wistocie a nie bardzo wygodnych wschodach wdrapali się na wieżyczkę która czoło swe szklane wznosiła nad dachy przyległe. Z niéj tylko szerokie niebios pola, kominy czarne i latające wrony widać było. Chłód przejmował w téj izdebce otwartéj na cztery wiatry, zastawionéj nieznanemi narzędziami, podobnemi do jakichś przygotowań męczeńskich, ostremi błyszczącemi, strasznemi. Ogromny teleskop jak działo wymierzone ku niebu sterczał w pośrodku, a chronometr powolnym ruchem mierzył mu ulatujące godziny. Na podłodze walały się księgi zapisane liczbami i pootwierane szeroko, rozpłaśnięte, rozbite, zmęczone i ledwie dyszące.

W śród tych ksiąg i narzędzi człowieczek łysy, zamyślony chodził, skakał, szeptał, licząc coś kredą na tablicy i nie wiedząc co się około niego działo. Tak był zajęty niebem i swoją rachubą, że nie czuł przykrego chłodu dnia tego; ubrany dość lekko dla rozgrzania tylko machinalnie zacierając ręce.

— A czego to wasan chcesz? spytał usłyszawszy otwierające się drzwi.

Baron wyskoczył naprzód. — Proszę pana professora, rzekł szybko, mam honor rekomendować tego oto młodego człowieka: jest te czciciel prawdy, który dowiedziawszy się że ona na gwiazdach mieszka, pragnie żebyś mu ją pan professor pokazać raczył i téj znakomitéj pani go zaprezentował.

— No! warjat czy co! czas drogi! czego chcecie?

Tomko począł poważniéj; professor spojrzał mu w oczy i zaciąwszy usta: Prawda! rzekł — prawda—rachunek! Niéma prawdy jeno w rachunku, jak niéma szczęścia tylko w kontemplacji niebios— nauka wielka i piękna! — Chcesz się więc WPan uczyć astronomji?

— Tak jest, jeźli ona prowadzi do poznania prawdy!

— Juściż do jakiejś jéj strony, do jednéj jéj części.

Ale znasz że co potrzeba do tego, nauki przygotowawcze?

— Cokolwiek.

— Cokolwiek, mało. Masz że ten zapał do gwiazd i nieba miłość, to zamiłowanie eterycznych przestrzeni, które sercem miota i jest przeczuciem naszego powołania?

— O! ilekroć myśl podnoszę, podnoszę i oczy, rzekł Tomko, a zamyślony patrzę w niebo i napatrzeć go się nie mogę.

— To dobrze rzekł nauczyciel — ziemia tylko tyle warta o ile służy do oparcia teleskopu: a i tak nawet jest arcyniedokładną podstawą.— Choruje na magnetyczne wstrząśnienia, nie trzyma się swéj drogi uczciwie, chwieje się czasem jak pijana kucharka i nie pilnuje przepisanych przez nas prawideł. Jeszcze to też dziecko, wybaczyć jéj potrzeba; ustatkuje się późniéj, zwyczajnie młodość! niech no ostygnie, a dojrzeje!

— Tu więc wszystko w téj nauce, przerwał Tomko, jest stałe, niezmienne i prawdziwe! tu więc jest prawda! A! doszedłem źródła, zawołał radośnie całując ręce professora.

— Stałe niezmienne! oj! podobno nie, kochanku, odparł nauczyciel skrobiąc się w łysinę. Tak prawdę powiedziawszy, u nas astronomów od lat tysiąców, co godzina to nowina: prawda prawdę wypycha; rachunki nasze co lat kilka odnawiamy, poprawiać musiemy, tablice nowemi obserwacjami powiększamy— i —idziemy powoli ku prawdzie.

— Ależ przecie od czasów Kopernika i Galileusza.

— Stare rzeczy! Kopernik i Galileusz są w niebiosach czem Kolumb i Wespucjusz w znajomości Nowego Swiata. Posłuchaj moje dziecię:

— Astronomja do szkoły Alexandryjskiéj, była jak medycyna starych bab złożona z samych empirycznych i przypadkowych nabytków, z plewy i ziarna; w epoce Arabów, Ptolomeusza i daléj jeszcze, ileż to bąków nastrzelaliśmy, nie licząc najpotężniejszego, iż sobie ludzie upatrzyli w gwiazdach horoskopy i pobrali je w dożywotnie władanie, jak gdyby światy boże, z drobnemi pyłami jak my, mogły być w jakim związku bezpośrednim. Od Kopernika do naszych czasów, ileż to zmian jeszcze. Jesteśmy na drodze, ale tylko na drodze— a cel—o! jeszcze daleko!

— Jakto? więc i ta nauka nie może powiedzieć: jestem u progu prawdy, chwyciłem ją.

— Nie, ale powiedzieć może; jestem na drodze do niéj, wiemy wiele, a domyślamy się więcéj jeszcze.

Tu fiziognomja nauczyciela zajaśniała i rozpromieniła się, oblicze jego okrywało się blaskiem, zdawał się natchniony, a baron kichnął napróżno by go wywieść z tego stanu; obrócił oczy ku niebu i tak mówić paczał.

— W pośród systemu planetarnego jako ognisko najdoskonalsze, złożone z materji w stanie światła będącéj, rozrzedzonéj.... stoi słońce! Kształt jego jest najdoskonalszym ze znanych nam kształtów, kulisty prawie! Ale i tu *prawie* wlazło i tu niedoskonałość! Materja słońca nie jest ogniem i płomieniem jak wnosili niektórzy, ale światłem. Światło to nie jest skutkiem ognia jak w fenomenie płonienia materji ziemskiéj; — jest tylko wynikłością najdoskonalszego stanu materji. Bo masz waćpan wiedzieć, że światło jest materja w najwyższéj potędze, materja na krawędzi ducha. Siłę swą słońce ma w sobie, dla tego nie krążąc około innego ogniska (dotąd go przynajmniéj nie przypuszczaliśmy) obraca się około siebie, w sobie, w przeciągu 25 dni i pół wedle naszéj rachuby. Słońce ze wszystkich istot znanych, najlepsze nam daje wyobrażenie czegoś najwyższego, najdoskonalszego. Nie dziw że je ludzie czcili: jego kształt doskonały, jasność, obrót niezależny, wszystko je czyni panem.—Kształt ten sferyczny równie można uważać za skutek i przyczynę biegu około swéj osi.

— Panie professorze, przerwał Lucyfer, tu dosyć chłodno, a to się zanosi na prelekcją.

— Komu chłodno niech idzie do djabła, zawołał zniecierpliwiony nauczyciel i z zapałem począł tworzyć daléj a Tomko uważnie go słuchał.

— W słońcu nietylko jest ognisko jego własne ale ognisko całego także systemu planetarnego; wszystko krąży około niego, pociągane ku niemu: bo prawem jest potężniejszem od Newtońskiego, że doskonalsze panuje i przodkuje mniéj doskonałém. Tu jest ognisko, tu najwyższa siła ducha rozlanego w uniwersum, tu mózg tego ogromnego stworzenia, tu życia jego skupienie. Ubóstwienie słońca w mycie Persów, doskonale pojmuję i tłumaczę sobie; wolę to jak głupią Egipcjan cybulę.

— Nie tak głupią jak się waćpanu zdaje, szepnął baron po cichu; ale o tem potem.

— Silentium! zawołał professor, a nie to fora ztąd z negocjami.

Baron ukrył się w kątek i począł zażywać tabakę poglądając to na nauczyciela, to na Tomka, który, wyznać to potrzeba, doskonale słuchał. A słuchać to także sztuką.

—Światło słoneczne, czyli materja w najdoskonalszym swym stanie; światło ukazujące się nam na ziemi tylko fenomenalnie, przypadkowo, cząstkowo—tu istnieje numenalnie.

— W plamach słońca zapewnie! dorzucił cichuteńko baron; ale professor nie posłyszał.

— Istnieje numenalnie, ciągle, trwale, i ożywia sobą, żyjąc w sobie...

— I to bardzo logicznie — mówił baron — niéma co mówić.

— Ono się przelewa na planety na które pada, podnosi do życia te ich części które oświeca, wywołuje materją martwą do żywota, wyiskrza w niéj zawartego ducha i skupia go na powierzchni.... Tworzy się ruch, tworzy się żywot, ale to zawsze mowa tylko o materjalnym.

— Subintelligitur! mówił baron z miną rozśmieszająco—poważną.

— Około słońca krążą z zachodu na wschód planety z satelitami swemi. Satellity w świecie planetarnym reprezentują toż samo stanowisko, jakie w świecie naszym ziemskim zajmują rośliny, do ziemi przywiązane, przyrosłe. Jak te rośliny one nie mogą ruszyć się od planet swoich i podlegają ich przemożnemu wpływowi; są to sługi sług.

— A ja najniższy ich sługa! dorzucił baron kłaniając się tak nisko, że przewrócił na książkach koziołka, czego jednak nauczyciel nie zobaczył, tak silnie był myślą swoją zajęty i tak daléj ciągnął:

— W miarę siły jaką ma planeta, liczba księżyców jéj większa; niemi ocenić można siłę planet. Biegi, słoneczny w koło siebie, księżyców około planet i z niemi około słońca, a może ze słońcem około jakiegoś tajemniczego słońc słońca, w kierunku kołowym lub elliptycznym, spowodowane są pociąganiem do środków, do ognisk ducha.

— A gwiazdy obłoczkowe? spytał baron.

— Powszechnie uważane są, odparł nauczyciel za oddalone bardzo od słońca; niezmierna ich odległość wnosić nakazuje że własne mają światło.

— Bo zkąd by go tam pożyczyć mogły? nie mając czém płacić ani procentu ani kapitu?

— Gdy księżyce naprzykład świecą z łaski starszych sąsiadów. Według przypuszczenia Huyghens'a są może jeszcze takie gwiazdy stałe, których światło do nas, od stworzenia świata dojść nie miało czasu; a przecież nie idzie powoli i nie popasa w drodze.— Ztąd zupełna niepewność.

— I tu więc niepewność? i tu prawda nieodkryta jeszcze? spytał Tomek.

— Silentium i słuchać! tupiąc rzekł baron udający professora.—Ale wróćmy no do obłoczkowych?

— Obłoczkowe, mgliste chcesz wasan mówić— odparł professor pogardliwie!— kat ich tam wie! trudno z Herschelem przypuścić i nie ma czem tego zdania poprzeć, jakoby każda z osobna tworzyła odrębny system planetarny. — Są to według mnie dopiero formujące się światy, które etery karmią, a przestrzenie kołyszą, a sfery im pieśń śpiewając, niańcząc je troskliwie....

Niechybnie, gwiazdy te które w różnych stanach skupienia postrzegamy; są to zarodki światów powstających. Herschell znalazł i rozróżnił w nich czternaście różnych stanów rozrzedzenia i skupienia, ale można ograniczyć ten podział do kilku: do gwiazd obłoczkowych rozrzedzonych, błyszczących, bez wyraźnych środków tych których kilka błyszczących ukazuje się jąderek (z podwójnem jądrem, podłużne, krągłe) i jednojądrowych; już uformowanych, które tylko jeszcze mglistą atmosferę mają do koła zdradzającą pieluchy.

— A raczéj mleko pod nosem, przerwał baron, ale mnie to prawdziwie zajmować zaczyna jak bajka, powówmy jeszcze.—

Tomko wzdychał, widząc niepewność wszędzie; nauczyciel na jednego i drugiego niezważając rozpalony prawił daléj z wzrastającym zapałem.

— Pomówmy jeszcze o tych biedakach satellitach, kończył baron.—Los ich wcale mi się nie widzi godzien zazdrości, panie professorze.

— Satellity, podchwycił nauczyciel, krążą około planet w większéj lub mniejszéj ilości, wedle ich siły, oddalenia od słońca i t. d. Jowisz ma ich

cztery, zdają się być różnéj wielkości i w różnych też rozrzucane odległościach, wedle których bieg swój w mniejszym lub dłuższym czasu przeciągu odbywają. Pierwszy w jednym dniu ośmnastu godzinach, ostatni w szesnastu dniach ośmnastu godzinach. Satellity te wedle Herschella, obracają się także około swéj osi, jak nasz księżyc.

— Wedle Herschella—powtórzył baron — a wedle innych.

— Wedle innych są inne przypuszczenia — dodał professor — Satellity Saturna któremu ktoś pierścień na kark włożył.

— Biedny niewolnik! szepnął baron.

Są w liczbie siedmiu, Uranusa w liczbie sześciu. Planety zależąc od słońca, same są jednak, można powiedzieć, drugiego rzędu słońcami dla swoich satellitów; mają siłę utrzymać je w poddaństwie. Są to feudalni książęta. W miarę odległości swéj i wielkości stosunkowéj obracają się koło słońca szybszym lub wolniejszym biegiem, przebywając mniejsze lub większe drogi. Ziemia jak panowie wiecie zapewne, jest trzecią z rzędu, a po niéj następują Mars, Jowisz i cała czereda, którą znamy i któréj jeszcze nie znamy.

Drogi obiegu planet około słońca nie są wszystkie jednakie, ale z ich indiwidualnością w związku —Jowisz odznacza się swoją wielkością, Merkurjusz przybliżeniem do słońca; najosobliwiéj i najcharakterystyczniej uorganizowany jest Saturn, otoczony pierścieniem który go nie dotyka ale ellyptycznie opasuje.

— Coś nakształt olbrzymiego obwarzanka nad głową dziecka, rzekł baron, smarkacz swywolił, a mama bojąc się, by sobie głowy nie potłukł, uzbroiła go poduszeczką.

— Odległość tego dziwnego satellity, prawił daléj nauczyciel, wynosi prawie siódmą część odległości ziemi od księżyca. Siła Saturna, który na sobie unosi i ten pierścień i siedm jeszcze księżyców, jest daleko większa od wszystkich znanych planet. Saturn też leży daleko od słońca i sam w swojem państwie rządzi się obsolutniéj z tego powodu, jak to zwykle rządzcy w majątkach dalekich od oka pańskiego. Za nim jeszcze jest Uranus i ..... i ..... Bóg wie! Uważcie tylko jak tu wszystkie planety w miarę oddalenia od słońca— króla, coraz więcéj rolę słoneczną na siebie przybierają. Im daléj od niego, tem więcéj księżyców: Merkurjusz pod okiem pańskiem nieośmiela się nikogo trzymać przy sobie, Wenus, Mars, Westa, Juno, Ceres, Pallas, nie mają ich także. — Jowisz ma już cztery. Saturn siedm oprócz pierścienia, Uranus sześć (ale musi być pewnie daleko więcéj, dojdziemy tego wkrótce.)

— Aleśmy jeszcze nie doszli.

— *Paulatim summa petuntur.*

— I nie doszliście także odległości gwiazd stałych naprzykład od ziemi.

— Ale jéj dochodzim — Piazzi, Calandrelli i Brinkley zajmowali się wymierzeniem paralaxy gwiazdy Alfa w *Lirze;* każdy postępował wedle własnéj methody.

— I wszyscy trafili na jedno?

— O! nie! co najciekawsza że każdemu wypadło co innego!

Tomko zadrżał.

— Struve zupełnie znów nową metodą, niechybnie dokładniéj od nich nam to wyrachuje...

— A o kometach także podobno nie wiele wiecie panowie?

— O kometach! nie wiele tak! ale niektórych mniéj więcéj o kilka miesięcy powrót zapowiedzieć możemy.

— O kilka miesięcy!

— Czasem mniéj.—Nie dziw; są to dla nas ciała hypothetycznéj jeszcze natury, opisujące drogi krzywe mimo-środkowe, raz zbliżające się do słońca, to znów bardzo od niego odbiegające.—Wiemy tylko z pewnością, że mają zwykle obłoczkowatości, ogony lub warkocze w przeciwną stronę od słońca zwrócone—jakiś wylew materji jasnéj na zewnątrz.

— Tyle to i ja wiem—przerwał baron.

— Są to zapewne, kończył professor — ciała w stanie niedokładnego jeszcze uformowania, lub może planety należące do dwóch systemów słonecznych, które się dowiadują do dwóch światów—; posłańcy z innéj niedostępnéj nam krainy przelatujący niebo z wieścią od króla — słońca do słońca — króla.—Komety są bardzo różne co do swéj natury; powracają one w różnych przestankach czasu—; są z ogonami i bez ogonów, z jądrem zgęszczoném i przezroczystém. Ku słońcu zbliżając się spieszą jak zwykle posłańcy, ale za oczy pańskie się dostawszy, ruszają sobie z zakładem po gospodarsku coraz powolniéj....

— Wszystko to i my po troszę wiemy — przerwał baron—ale dokładniéj.

— Owszem, owszem mamy je pospisywane dokładniéj, starannie... Na przykład w r. 1454 zakrywał kometa księżyc, tak był blisko ziemi.— Mój Boże! szczęśliwi co to widzieli! nam się pewnie nic podobnego nie trafi! I westchnął astronom, a Tomko zrażony zabierał się do wyjścia.

— Co? jak ci się zdaje? dużo tu prawdy myślisz? spytał go baron ciągnąc za połę. — Chłopiec nic nie odpowiedział, lecz spuścił głowę i umilkł. Nauczyciel żegnając ich przez drzwi dodał:

— A proszę na lekcje.

— Uczyć się przypuszczeń! dorzucił baron ze śmiechem.

XII

— Wiesz co, nie martw się kochany Tomku, mówił schodząc ze wschodów baron do swego towarzysza—gwiazdy wysoko, niebo daleko a i nasze oczy nie wyśmienite i rozum na to za mały— tu prawdy trudno się dopytać, kiedy ona tylko na promykach do nas wędruje, które chwytać potrzeba nim błysnąwszy krótko zagasną. Prawda musi być dla nas w postrzeganiu rzeczy bliższych, przeznaczonych byśmy je nieustannie badali.

Ot właśnie jesteśmy pode drzwiami professora fizyki—słyszę krzyk dzieci, a professorowie fizyki zwykle ich miewają podostatkiem, może dla tego że nie siedzą w domu.—Chodźmy no do niego.

— A chodźmy, rzekł obojętnie Tomko.

— Myślę że on być musi na lekcji, rozpoczynać ją musi, bo to właśnie godzina jego, więc spieszmy lepiéj do sali.

To mówiąc weszli do wielkiéj sali, w któréj lud słuchaczy drzemał rzadko rozsiany po ławkach. Professor blady ale bardzo poważny, gestykulował w katederce i zrywał się nachylając niekiedy ku słuchaczom, którzy mieli minę jakby go wcale nie słuchali.

Baron uczyniwszy nizki pokłon, zasiadł z Tomkiem w pierwszéj ławie i przybrał minę arcypo-

ważną, pełną skruchy i namaszczenia, rzekłbyś że się gotował do nabożeństwa.

Nauczyciel rozpoczynał naukę o świetle i z miną majestatyczną wyrzekł to axioma, niemogące, zdaje się, być zaprzeczonem:

— Swiatło, mości panowie, jest ciałem nieważkiem.

— Przecież je przeważono! rzekł po cichu baron, ale to zostanie między nami.

— *Silentium.*

— Będziemy tu mówili nie tak o niem, jak raczéj o jego działaniu, o prawach jego bytu i stosunku do ciał innych, gdyż wewnętrzna natura i istota tego płynu są nam zupełnie nieznane.

— Tak jak wszystkiego na świecie, rzekł zawsze przerywać lubiący baron Lucyfer.

— Powierzchnie gładkie odbijają światło.

— Swiadkiem łysina professora, szepnął ktoś z boku.

— Za pomocą promieni wychodzących z ciał świecących, widziemy te ciała; za pomocą promieni odbitych od powierzchni ciał, widziemy oświecone. Nierówna ilość promieni od powierzchni ciał odbitych podług jakości powierzchni i natury tych ciał w różnym nam je okazuje blasku. Ciała pod względem światła dzielą się na pochłonywające, na przezroczyste i przeświecające.

— Za pozwoleniem, odezwał się baron. — Bardzo to zapewne wygodnie być musi, panie professorze, tak sobie usłać łóżko i potem na niém leżeć, ale co się tycze własności ciał, jest to tylko przypuszczenie i dowolność.

— Co to jest? zapytał nauczyciel — oppozycja! krytyka! dysputa!

— Nie! to tylko pytanie.—Własności ciał należą wszystkie wszystkim tylko w różnym stopniu. Niéma wistocie ani zupełnie przezroczystych ani całkiem nieprzezroczych; tak jak niéma też absolutnie sprężystych i niesprężystych; — wszystkie ciała są obdarzone własnościami jednemi, ale w bardzo różnym stopniu. — Panowie tylko przypuszczacie dla swojéj wygody jakieś wyłączne własności jednym, odmawiając ich całkiem drugim. W naturze wszystko jest do nieskończoności stopniowane, a tych szranków, które nauka ludzka kreśli, niéma i nie było.

Professor osłupiał, słuchacze powstali, zrobił się szmer przepotężny i Bedel wyrzucił za drzwi Tomka z jego towarzyszem, tak że dalszego ciągu nauki o swietle słyszeć nie mogli.

XIII

Nie mamy tak dalece czego płakać, rzekł niemczyk, bo i tu prawdy byśmy się niewiele dowiedzieli. Fizyka jest dziś jak stary zastawnik, którego lada chwila wyrzucić mogą z nieprawnie posiadanego majątku. Już ona granic między swą majętnością a dobrami chemji zakreślić dokładnie nie umie, a na starych i zgniłych siedząc posadach i usiłując jeszcze osobno mówić o świetle, osobno o cieple, osobno o elektryczności i magnetyzmie, gdy podobno wszystkie te fenomena są jednym; wkrótce będzie musiała całkiem się przetworzyć, by żyć. Fizyka jest jeszcze jedną z tych starych pozostałości, którą experymentacja dalsza i postępy chemji, zmuszą do całkowitego od stóp do głów przeistoczenia.

To mówiąc weszli na salę, w któréj nauczyciel ogólnemi uwagami rozpoczynał historją zwierząt i ich organizacji. Baron pokłonił się nizko, posadził Tomka i szepnął mu:

— Słuchaj no, już to podobno dziesiąty czy dwudziesty system w tym przedmiocie za ostateczny uważany, posłyszysz. Warto ucha; boć gdyby nawet wszystko fałszem było, dowodzi jak człowiek bogaty. Trzęsie jak z rękawa przypuszczenia i co godzina świat nowy tworzy, gdy nasz stary pan Bóg jednym się tylko kontentował. Prawda że niczego mu się udał!!

— Nerwy i mózg, w swem coraz doskonalszem rozwinięcia stopniu, odcechowują zwierzę.

— A cóż człowieka? spytał baron.

— W miarę jak mózg się uwyraźnia, oddziela, powiększa, jak on się staje siedliskiem a ogniskiem życia, centrem głównem, organem panującym, nerwy też okazują się subtelniejsze. Zwierzęta niższych organizacji mają nerwy grube, węzły nerwowe więcéj rozwinięte, bo to jeszcze życie mniéj skupione, bardziéj rozlane; im doskonalszy twór tem nerwy stają się delikatniejsze.

— Tak że w najdoskonalszym tworze, zapewne, rzekł baron, skończy się na tem, że żadnych nie będzie!

— Mózg zaś w miarę wyższéj organizacji coraz się powiększa i bogaciéj organizuje.

— Tak że w idealnem zwierzęciu będzie zapewne jeno sam prześliczny mózg, który sam za wszystko stanie.—Chciałbym je mieć na stół, bo mózgi lubię.

— Węzły te, gruczoły czyli móżdżki, rozprowadzają życie po całem ciele owadów, robaków i skorupiaków. Dla tego to rozdzielenia w nich (że tak powiem) życia, rozciąć je możesz i nagle niepozbawisz go; dla tego żółwiom wyjmiesz mózg a życie zostanie.

— I to wszystko, przerwał z cicha szyderca, dowodzi złą organizacją!

— U coraz niższych zwierząt jak polypy, ganglіony nerwowe rozsypane są, tak właśnie jak nasienie w grzybach, po całem ciele. Im bardziéj duch zwierzęcy, *anima animalis*, skupia się, jednoczy w ognisko jedno, tem zwierzę doskonalsze. Człowiek z tego stanowiska uważany, li jako zwierzę, jest szczytem organizmu.

— I egoizmu—dodał baron.

— Zmysły.

— Za pozwoleniem pana professora, jeśli się godzi przerwać i spytać, rzekł Niemiec—czy są zmysły, czy tylko zmysł?

— Powszechnie przypuszczamy pięć zmysłów—poważnie odpowiedział nauczyciel.

— Czy wolno mi uczynić objekcją?

— I owszem, bardzo proszę.

— Jestto stara formułka; zmysł w istocie jest jeden tylko.

— Jaki?

— Dotykanie.

— Jakt to?

— Wiem o tem, że i co do liczby zmysłów są różne zdania, bo niektórzy do pięciu dodali szósty generacyjny, a siódmy zrobili lepiąc sześć poprzedzających w jedno. Ale to sobie niewinna zabawka! To co zowią zmysłami niewłaściwie, są to *organa* jednego zmysłu, dotykania. Wszakże oczyma *datykamy* światła od gwiazd nawet, zapachy *dotykają* naszego nosa; ustami *dotykamy* potrawy, ucha *dotykają* dzwięki. Pięć organów zmysłowych, są jak pięć palców jednéj ręki, posługaczami jednego zmysłu. Te pięć organów wymierzone są na pięć głównych a raczéj cztery stany materji, (gdyż

smak i powonienie są prawie jednem i ściśle łączą się z sobą). Oko jest organem dotykania ciał promienistych, ucho do płynów (powietrza), usta do ciekłych lub w pół ciekłych, nareszcie palce i reszta ciała do zsiadłych, stałych.

Każdy organ zmysłu bada stosowne sobie stany, a że w naturze niéma nigdzie nic zupełnie wyłącznego, niekiedy organa się zmieniają i zastępują wzajemnie. Tak w snach magnetycznych.

— *Idźże* asan spać! przerwał professor, kiedy już o snach prawić zaczynasz.

Baron ukłonił się, zamilkł i usiadł, a nauczyciel mówił daléj:

— Zmysły exystują u zwierząt mniej więcéj rozwinięte wedle organów, jakie im dała natura, wedle środka w jakim żyją. U niższych zwierząt właściwie zmysł jest jeden, bo one całe są jednym zmysłem. Rozwinięcie organów determinuje się u zwierząt samą do życia ich potrzebą, zastosowuje do środka, w którym żyć są przeznaczone. Przypuszczają że rośliny właściwego sobie ciepła własnego nie mają, chociaż ruch pewien wewnętrzny sam, processem życia musi jako ruch wzbudzać niezbadaną ilostkę ciepła. — *Arum* roślina Europy południowéj w czasie kwitnienia od 30 do 36 stopni ciepła objawia.

W zwierzętach im wyższy stopień ciepła, tem więcéj podsycane i gorętsze życie, krew zimna znamionuje niższą organizację, uczucie słabsze. Powszechnie przypisują processowi oddychania, to jest gorzenia w płucach powietrza, ciepło krwi.

— Czemuż także nie całemu wewnętrznemu ruchowi organizmu, rzekł baron — wszak ci ten jako ruch musi także wyrabiać ciepło.

— Zwierzeta z krwią zimną drętwieją pospolicie na zimę z łatwością.—Płuca u ryb zmieniają się w dychawki, i kanały rozchodzące się po całem ciele. Płodność zwierząt jest w stosunku odwrotnym gorącości ich krwi i zogniskowania życia.

— Patrz waść na co się to zdało doskonalszym urodzić i z gorącą krwią!

— Pojąć to łatwo że mniéj doskonały, mniéj w sobie uorganizowany twór, łatwiéj się rozpładza, niż ten który życie mając w sobie skupione silnie, trudno się niém podzielić może. Trzeba było ponęty najwyższéj roskoszy, żeby zmusić zwierzę do rozłamania, do podzielenia się życiem. Różnicę płci tak wybitne w wyższych organizacjach znikają zupełnie. w polypach, które jak grzyby są obupłciowe i rozmnażają się bez ustanku. I wyżéj idziemy, tem różnicę indywiduów czynnego i biernego stają się dobitniejsze. Kobieta względem mężczyzny jest prawie oddzielną istotą w porównaniu do lwa i lwicy.

Im zwierz doskonalszy, tem też organa pewne służą mu do oznaczonych stosunków, jednych drugiemi zastąpić nie może.

— Doskonała miara doskonałości, i ztąd jasno, rzekł baron von Teufel, dla czego przy wyższéj cywilizacji, dwóch też potraw jednemi widelcami nie jedzą.

— W wyższych stopniach organizacji, widzisz odrębne zupełnie organa oddychania, żołądek oddzielny, nerwy i mózg; pokarm bierze się jednym otworem.

Zwierzęta wszystkie wedle pospolitego twierdzenia i nazwania mają *instynkt*. Instynktem tu zowie się ścisły ich związek z naturą, ich z nią zjednoczenie, zespolenie, ich niewola i przykucie do ziemi. Pszczoła tak właśnie bezmyślnie buduje swe komórki, pająk wije swą sieć, jak krzyształ się formuje wedle pewnego prawa. Instynkt czyli duch powszechny przelewający się i ożywiający zwierzę, gra w nim bez jego wiedzy; ztąd czynności zwierzęcia, w pewnych danych warunkach są zawsze jedne i też same; zawsze niechybne, bo bezrozumne. Instynkt jest nieomylny, człowiek odrywając się od natury, dobiwszy się niezawisłości od niej.

— Wiemy coś o téj niezawisłości!

— Człowiek, opierając się na rozumie własnym, na wiedzy o sobie i samopoznaniu, właśnie dla tego, że jest rozumnym, myli się i błądzi.

— Jak to pocieszająca rzecz dla ludzkości, przerwał baron, nieprawdaż Tomku, dla tego głupi że ma rozum!

Tomko boleśnie się skrzywił.

— Zwierzęta od początku świata mają tylko historją swéj natury, człowiek ma historją swych upadków i postępu. One będąc częścią *universum*, zlane z niem, zniewolone są pod wpływem jego do pewnych machinalnych czynności; człowiek jako jednostka wyswobodzona, ma swobodę czynu, swobodę błędu, ale i nadzieję postępu.

W miarę jak sam człowiek mniéj jest rozwinięty umysłowie: w dzieciństwie, w stanie upadku i dzikości, w chorobie, gdy dusza w nim usypia, — odzyskuje instynkt utracony wyrzekając się rozumu i staje się na chwilę niechybnym jak zwierzę.

Dziecię szuka piersi, chory czuje potrzebę pewnych pokarmów, jak zwierzę szuka lekarstwa w pewnych roślinach, których niezna własności, ale ku którym instynkt je pociąga, jak magnes żelazo. Zwierze obdarzone instynktem niéma woli, niéma wyboru, jest w ciągłéj konieczności. — Tu miejsce, dodał nauczyciel, napomknąć o duchu i duszy.

— Czekamy, czekamy, i uszy otwieramy, zawołał baron, chociaż to pachnie panną Scholastyką.

— Duch którym obdarzone jest zwierzę, jest częścią tylko ducha rozlanego w *universum*, jest cząstką; dusza jest całością w sobie. Zwierzę ma tylko ducha, człowiek ma duszę. On jest w sobie cały, świadkiem, mikrokosmos.

Zwierzęta rozmaicie się dzielą; podziały te mniej więcéj sztuczne na cechach stałych oparte, nigdy ścisłemi być nie mogą.

— Słyszysz! rzekł baron.

— W naturze, wszystko jest ciągłem stopniowaniem nieskończonem, nigdzie dobitnych granic i żelaznych słupów. W ogólności nie na skrajach podziałów które się z sobą łączą, ale w środku ich prawdzi się klassyfikacja.

— Może już dosyć o zwierzętach? spytał baron. Ilu zoologów znakomitszych, tyle podziałów, a wszystkie jedne od drugich lepsze. Jedni patrzą tylko w zęby, drudzy tylko na nogi, inni tylko na grzbiety, a nikt jeszcze niedomyślił się patrzeć na wszystko razem.—Prawda i tu jeszcze daleko.

— Chodźmy rzekł Tomko — dosyć wistocie słyszałem żeby w nic niewierzyć. Ale to wina methody, ludzie zbyt odważnie puszczają się bez faktów na morze synthezy, ztąd błędy.

— Myślisz że wielość faktów nagromadzonych zabezpieczy od błędu? Wcale nie! Zobacz co się dzieje z chemją; składa się ona z stu tysięcy formułek i formuł które leżą rozsypane po ziemi bez znaczenia, bez związku; są dokładne, ale do niczego nie prowadzą, bo ich syntheza nie powiązała.

Zresztą kochanie moje, ty myślisz, że synthezą

synteza, a analizą analiza; w tem się okrutnie mylisz, ot chodźmy na lekcją logiki, a i o methodzie posłyszym.

— Chodźmy, zgoda.

XIV

Drzwi były otwarte, sala prawie pusta, a w przyćmionym kątku cichy, powolny głos nauczyciela odzywał się do ławek. Wszystko do koła drzymać się zdawało snem bardzo logicznym. Kilku odważnych professorów *in potentia*, z głowami podniesionemi do góry i usty wypukłemi od myślenia, zdawali się słuchać szczerze, ale myśl ich była podobno gdzieindziéj; jedna siedziała na fartuszku, druga na garnuszku, trzecia na gałęzi, inna latała po polach, a nie wiem wiele drzémały.

Nauczyciel spojrzał z ukosa na Tomka i jego towarzysza i tak ciągnął dalej:

— Dwie są tedy wśród wielu główne methody— in analytica ex veritate particulari nota, ad alias quae pertinent ad rem aliquam singularem progredimur. In synthetica vero methodo, generales quasdam veritates proponimus, ex quibus veritates singulares deducimus.

— Przepysznie, rzekł baron, słuchajmy rozwinienia.

— Methoda synthetyczna, którą także zgadającą zowią, panującą była od najdawniejszych czasów do XVII wieku. Bakonowi przeznaczonem było uzyskać nieśmiertelną sławę twórcy analyzy i zakładcy nowego gmachu....

— Za pozwoleniem, przerwał baron, jeśli nauczyciel pozwoli, uczynim objekcją. Bakon dotąd jest źle zrozumiany a analyza i syntheza źle pojęte.—Jeźli wolno ja z ławki naszéj postaram się rzucić na to wejrzenie bezstronne.

— Prosimy, rzekł powolny nauczyciel logiki; a na to niespodziane *dictum*, uczniowie oczy przetarli, pająki prząść przestały i mysz uczęszczająca na ciche lekcje logiki, z wielkim przestrachem w drobną dziurkę się zaszyła, poglądając co to się stało. Baron z okiem zaiskrzonem, zażywszy tabaki tak mówił:

— Scholastyczna umiejętność opierała się cała na synthetycznéj metodzie. Czem ona była w głębi? Oto sądem syllogistycznym z małéj liczby prawd ogólnych o szczegółach, właśnie jak pan professor powiadał. Cała rzecz więc na tem, że na *małéj* liczbie danych, opierała się cała pewność. Z téj szczupłéj garstki pewników, siliły się umysły na subtelne wywody często nadaremne, a zawsze fałszywe. Budowano genetycznie światy na wzór Timaea platonowego, wyrywając kawałki Platonowi, które on (nieprzemawiając) zapożyczył sobie także cichaczem od Pythagoresa, Demokryta, Protagora i wielu innych. Kruche to były budowy zaiste! Opierając się na posadach nie licznych prawd, nie mogły idąc w górę się rozszerzyć, gdy w dole tak wązko miały założone fundamenta. Umiejętność cała na wnioskowaniu leżała; szczupła ilość danych do wnioskowania nie dostarczała materjału;—umiejętnicy bawili się ze światem jak kot z kłębkiem poplątanych nici.

Powstał Bakon, krzyknął na synthetyczną methodę scholastyki, a że scholastyka jak Aristides dojadła była ludziom nieustannie im od wieków zachodząc drogę; przepędzono ją zaraz, ogłaszając panowanie analyzy.

Odtąd źle pojmujący Bakona i methodę jego wołać poczęli: Mnożcie fakta i doświadczajcie, w empirji zbawienie, umiejętności!

Głos to był nierozumny, namiętny!

Empirja bez spekulacji, spekulacja bez empirji obejść się nie mogą—są to dwie ostateczności i jako ostateczności są to dwa fałsze. są to prawie adaequata, sąjednem co do skutków swych. W spojeniu umiejętnem dwóch method leży przyszłość naukowa ludzkości. Wszelka ostateczność jest granicą umysłową, jest rębem za którym ciemności; między temi rębami—prawda.

— A przecież! rzekł Tomko.

— Prawda jest rzeczywistością.

— To znowu co innego! dodał smutnie nasz uczeń.

— Prawda jest rzeczywistością kończył baron, a w ostatecznościach niéma rzeczywistości — ostateczności są jéj określeniem, obmurowaniem. W gruncie zaś Syntheza i analiza są prawie jednem.

— Horrendum et absurdum! zawołali uczniowie.

Cała rzecz że w synthezie rządzicie się jednym, dwoma, niewielką ilością faktów, a w analyzie wielą. Sprawa między *ilościami* tylko; sprawa więc właściwie o to: czy z małéj ilości faktów, na wielką ilość wnosić się godzi? Tu Analyza odpowiada że u niéj większa ilość faktów daje lepszą rękojmię pewności. Ale któż znowu określi, co małą, a co dostateczną jest ilością i gdzie granica ilości z któréj wnioskować godzi się lub niemożna? Jeden fakt często dostateczny, a tysiąc innych za mało?

Idzie więc o godziwość wnioskowania tylko, o samą naturę wniosku. Syntheza jest także aposterioryczności, bo i ona bez pewnych faktów choćby niewielu nic nie zrobi. Spekulacja musi mieć też jakąś posadę. Powtarzam że tu cały interes w *ilości* faktów, a gdy tu nie ilość, ale ważność i znaczenie faktów stanowią, chodzi więc znowu o rozgmatwanie, które fakta są ważne a które obojętne, zatem o *ważność* faktów.

Dla tych co pod obłoki wynoszą samą analyzę czystą, spojrzmy cóż ona tak mądrego bez synthezy potrafi? Spojrzmy na stan umiejętności opartych na samém doświadczeniu: na chemją; na fizykę Dzieła dzisiejsze w tym przedmiocie, są ogromem faktów odrębnych, bez związku. bez solidarności, bez kleju, bez nici coby je z sobą spoiła, są ową platonową massą chaotyczną materji, któréj Demiurgos ma dopiero kształt nadać.

Idąc samą analytyczną drogą do niczego się nie dojdzie: sposobi się i gromadzi materjały. zsypuje kamienie na kupę, rozdziela wielkie od małych, małe, od drobnych, cement na jedną kupę, cegłę na drugą, ale syntheza dopiero przyjdzie, i z tego zbuduje gmach. Analyza przysposabia materjał, nic więcéj. Związku żadnego między faktami ona nie utworzy. Syntheza tylko twierdzi a *priori*, czego a *posteriori* jest pewna, a że swą prawdę ogólną rozdziela po troszę i zastosowuje, toć słuszna; wierzy w prawdę ogólną.

Analyza i syntheza absolutne są chymerami urojonemi. W każdéj analyzie są aprioryczne jakieś założenia z których nawet empiryczne doświadczenie płynąć musi, chce-li nie na los i wypadek tylko się spuszczać.—Spuścić się na wypadek, to rzecz już nie myślącéj istoty, i przypadek nawet kopalni solnych u nas odkryć nie mógł, choć go o to posądzają. Piękna to rzecz, kłaniać się i cze-

kać wypadku trafu! Tak więc i analyza w głębi jest czemś synthetycznem.

Syntheza znowu także sama przez się nie exystuje, bo we wszelkiéj synthezie są pewne fakta zdobyte wprzódy, na których się ona opiera. Zresztą idźmy po wyrok do waszego Bakona, którego powtarzam, podobno rozumieć nie chcecie. W methodzie jego, nie idzie o to wcale, żeby wygnać synthezę, ale żeby ją pod pewne podciągnąć prawa. U niego najważniejszą gra rolę powolne, stopniowe uogólnianie i wnioskowanie.

Bakon zarzuca dawnéj methodzie zbyt tylko porywczą synthetyczność i nazbyt pospieszny wniosek, naprzykład z obiegu planet po drogach krzywych, wniosek o sferycznych kręgach. Ale tu nieborak choć pozornie miał słuszność, nie zastanowił się nad naturą ludzką. Omyłki tego rodzaju są obfite w wypadki, są matką prawd późniejszych.— Ze sferycznych kręgów przyszliśmy do ellipsy, do któréj od razu przystęp był niepodobny.

W błąd podobny może popaść i analyza.

Bakon zaleca postrzeganie, doświadczanie, wątpienie, i wyłączanie bez końca; idzie przez fenomen do numenalności i wszelką nadzieje w fenomenie pokłada. Klassyfikacja więc fenomenów jest tu największéj wagi i ich zbieranie stanowi rzecz całą; ale niemniéj tenże sam Bakon zaraz żąda użytkowania z analyzy przez synthezę powściągliwą, zaraz zaleca spoić fakta i daje tego arcypocieszną próbę w swojéj rozprawie o wiatrach.

Bakonaście panowie niezrozumieli, a sam Bakon jakkolwiek wielki zapomniał że historja błędów ludzkich, jest razem historją pogoni za prawdą.

Tomek się zżymnął.

— Tak; przez błąd idziemy do prawdy na drodze rozumowéj, przez omyłki uczemy się jéj. Potykamy się i podnosim, innéj drogi na nieszczęście niéma. Ani analyza ani syntheza, ani nawet obie razem spojone, nie uchronią nas od błędów i fałszów, przez które przechodzić musimy.

Dosłyszawszy tych wyrazów, Tomko zatknął uszy i uciekł, w chwili gdy nauczyciel ruszywszy tylko ramionami, odzywał się bez najmniejszego wzruszenia kończąc swą lekcję:

— Methodi analyticae leges — 1° Conservanda est evidentia.....

Baron goniąc za swym towarzyszem, w korytarzu już krzyknąwszy, dodał:

— Ciekawy jestem, czy nie sprobuje dać definicji ewidencji!!

XV

Wyszli na powietrze, Tomko potrzebował nieco ochłonąć, a baron rzeźwy i niezwalczony, brzęczał mu nad uchem.

— Cierpliwości! musimy przecie odkryć gdzieś prawdę choćby na lekcji filozofji.

— Dajmy jéj pokój na dziś, proszę.

— No, to sprobujmy może matematyki; jéj prawdy przynajmniéj są nieporuszone, niezmienne, przepotężne.

— Ale w martwych liczbach możeż być cała prawda! jakaż by była zimna, sucha i biedna.

— Dodaj kochanku że caluteńka matematyka ogólnie wzięta, redukuje się do téj ogromnéj prawdy jedynéj, że

$$a = a$$

Tyle kłopotu, żeby na ostatku dojść zachwycającéj głębokością formuły

$$a = \text{równe} = a$$

— Jak to?

— Tak, kochanie moje. Condylac i Szkoci mają w tem trochę słuszności. Wistocie cała matematyka składa się na tę formułkę niepocieszającą, która niedaleko zaprowadzić może. Skutkiem biednego uorganizowania naszego, umysłu nie chwytamy od razu wszystkich rzeczy własności, ale ich dochodziemy powolnie, empirycznie, doświadczając, porównywając, pracując. Stosunek koła do promienia, stosunek kątów w trójkącie i do trójkota, cóż to jeśli nie proste definicje tylko koła i trójkąta natury?

Stosunek *różnych* do siebie przedstawia coraz nowe dla definicji pole; przechodząc od linji do powierzchni, od powierzchni do bryły, stosunki te coraz się mnożą i komplikują. Ztąd definicje brył już idą daleko ciężéj, ztąd teorja przecięć ostrokręgowych, musi się rozłożyć na niewyczerpaną prawie naukę. Samo dokładne wyliczenie linji w całéj ich nieskończonéj rozmaitości z poruszenia punktu wynikających, wyliczenie wszystkich możebnych powierzchni, wszelkich brył, już nie ma prawie końca. I tu prawda składa się z tysiąca drobnych cząstek; a najczęściéj uwięźniesz w prawdkach, nim dojdziesz do prawdy. Matematyka więc, powtarzam, jest definicją; i definicją stosunków ilościowych.

— Matematyka, odparł Tomek, jakkolwiek umysł ludzki podnosi, zaostrza i wykształca, jest nauką ilości, zatem nauką z ciała wynikłą; a że ciało nie jest prawdą lub same przez się przynajmniéj—nie jestem więc ciekawy i téj nauki.

— Kłaniam uniżenie, a dusza bez ciała?

— Dusza bez ciała może być, to pojmujemy, a ciało bez duszy?

— Ale to na naszym biednym światku?

— Tu? alboż to tu koniec?

Baron zaśpiewał coś pod nosem niezrozumiałego i zakończył sobie po grecku:

— Pożywienie jest dla rozumnego rozumne.

A więc chodźmy się ogrzać gdzie pokarmem myśl, i ruszajmy w dalszą pielgrzymkę.

— Nie—dziś, spoczniemy, rzekł Tomko, pójdę do domu, głowa mi się zawraca.

XVI

Nazajutrz Tomko siedział zadumany i zniechęcony, gdy baron Teufel, pochwycił go za rękaw sukni, wstrząsnął i odezwał się.

— Takiż przecie, musisz pójść posłuchać, co mówią in *Alma Academia* o twojéj kochance?

— Odpadła mnie ochota.

— Ale pójdziesz; posłyszymy na jednym korytarzu dwie przynajmniéj odmienne definicje prawdy, a obie równie fałszywe, toć przecie warto kilka kroków. — U Ś. Jana bije właśnie druga, chodźmy, chodźmy!

— A! idźmy kiedy chcesz.

— Idziesz! cudo! admiruję twą męczeńską stałość i zapoznaną cnotę! Dowiesz się w nagrodę jednéj a jedynéj na świecie prawdy najpewniejszéj; mianowicie: że prawdy u nas całkiem niéma.

Drzwi do sali w któréj czytano kurs filozofji były właśnie otwarte i nasi ciekawi przybysze weszli niepostrzeżeni między uczniów, którzy słuchając prelekcji jedni czytali Idziego Blasa z Santyl-

lany, drudzy pisali listy do rodziców, inni rozpowiadali sobie cicho swoje przygody na bulwarach. Nauczyciel którego obowiązkiem było mówić, nie być słuchanym, *impavidus* stał w katederce i pędził poczęty kurs, *ad perfectam saturationem* uczniów.

— Cała filozofja mówił, dzieliła się dawniéj na Dialektykę, Fizykę i Ethykę.

— Podział, dorzucił baron Teufel, który ma tę największą zaletę, że jest troisty, chociaż niedorzeczny; niemniéj jednak Troistość jest rzeczą prześliczną: (dodał po grecku) wskróś bowiem w świecie świeci trójca.

— A ciszéj: zawsze od jedności się zaczyna.

— Dialektyka była razem Logiką, Loika u późniejszych stoi także na czele nauk filozoficznych jako wstęp do Methafizyki, Antropologji i Esthetyki. W właściwéj Methafizyce mieszczono to, co dziś powoli przeszło do Logiki. W praktycznéj filozofji zawierała się moralność, prawo natury, polityka i pedagogika. Psychologją dochodzącą władz człowieka (później krytykę czystego rozumu).

— Dowodzącą że go nie mamy—mruczał nieznośny baron.

— Uważano za Propedeutykę do wszelkiéj umiejętności methafizycznéj. Logikę zwano także filozofią formalną. W rozpoznaniu władz człowieka, zgadzano się na wiedzę (conscientia), zmysłowość i umysł.

— *Plaudite!* krzyknął Teufel — ale poczekajcie, będzie tego i więcéj!

— Wiedza była najniższym stopniem poznania. Zdolność odbierania wrażeń wewnątrz nazwano: zmysłem wewnętrznym. Rozdzielano poznanie rzeczy, na poczucie, postrzeżenie, władze niższe, na uwagę umysłową, imaginacją i pamięć. W samej imaginacji były jeszcze różne szufladki z pomniejszemi ingrediencjami, jako to: zachowywanie wyobrażeń, odwzorowywanie, przypominanie, odosobnianie i władza tworzenia, zmyślania.

— Bardzo obfita w człowieku — dodawał baron.

— Związkiem idei czyli wyobrażeń tłumaczono wewnętrzne ich snucie się w pewnym porządku, choć Campanella dawno był postrzegł że logika, natury rzeczy, nie mogła nawet silić się dochodzić i wyrzekł że była prostą nauką formy; niemniéj zachciwało jej się czasem i istoty saméj.

— Była zupełnie jak staruszek któremu się czasem dziwnych rzeczy zachciwa, póty, póki mu ich nie dadzą.

— Prawo stowarzyszenia się myśli (associatio idearum) opierano na ich współtrwaniu (coexistentia), pokrewieństwie (affinitas), zawisłości (causalitas).— Niedopuszczano jeszcze wcale idei obok siebie sprzecznych, które przez to samo że są sprzeczne wzajem się wywołują.

— Ale gdzież prawda na którą czekamy? spytał Tomko barona.

— *Patientia et labor improbus*, słuchaj naprzód nauczającéj historji fałszów, a dopiero dowiesz się prawdy.

— Wyobrażenia rzeczy dzieliły się na poznawanie (cognitio) pojęcie, sąd i wniosek. Na tych to trzech terminach zbudowano, całą Logikę; do nich odniesiono władze człowieka, których musiało być naturalnie, ni mniéj ni więcéj tylko trzy.

— Wszędzie bowiem—począł baron po grecku, ale nie skończył.

— A zatem, powstały: Pojętność (Intellectus), Rozsądek (facultas abjudicandi) i Rozum (ratio). *Intellectus*, służył tylko jak łyżka do przyjmowania (pojmowania) *facultas abjudicandi* jak zęby i gęba do osądzenia, co to za strawę łyżka podała, a *ratio ultima ratio*, jak żołądek do spożytkowania ze strawy. Wniosek — zwierzętom przyznawano łaskawie (bo cóś im przecie dać także potrzeba) niższe tylko władze, nie określając ich ściśle; rozum i wniosek zostawiano na wyłączną własność człowieka, człowiek się zawsze dobrze dzielić umiał.

Długo mówił professor, długo szydził baron, ruszał ramiony Tomko, aż nareszcie przyszli do prawdy.

— Taki był wstęp do Logiki właściwéj, za cel jéj naznaczono wskazanie prawideł dochodzenia prawdy a unikania błędu. Tu mieściła się definicja prawdy i jéj poznawania, definicja *criterium* czyli znamienia. *Prawda* mówiono, *jest to zgodność poznania z przedmiotem.*

— A że przedmiot o tyle jest dla nas, o ile go poznajemy, określenie więc to redukuje się najściśléj do—zgodności poznania z poznaniem, czyli

zero = równe = zero

Tomko dosłyszawszy tych słów porwał się oburzony i chciał uciekać, baron dogonił go w progu.

— Co tobie?

— Czyż jeszcze daléj mam słuchać?

— Przecież to historja twojéj kochanki.

— Tak! dzieje jéj nieszczęść. Na cóż serce sobie kaleczyć; chodźmy, nic się tu nie dowiemy. Pomimo usilnych barona nalegań, który za nos wziął był biednego filozofa, Tomko nie dał się zawrócić i wybiegł na ulicę, ulicą w rynek, z rynku na przedmieście jak szalony—baron pędził za nim.

XVII

Nazajutrz znowu ochłonąwszy, nabrawszy siły, posłusznéj swéj dziwnéj, zawsze w nim tkwiącéj myśli, Tomko powracał do nadaremnych i zawiedzionych poszukiwań. Baron wszędzie mu towarzyszył. Szukali teraz filozofów i chcąc się bliżéj niż na sali przypatrzeć jednemu z nich, zapukali do drzwi jego pomieszkania.

W ciemnéj sieni brudna ich spotkała kucharka i zmierzywszy oczyma, nagderawszy pod nosem, otworzyła drzwi do pokoju, mówiąc Poczekajcie!

Tomko z baronem pozostali sami na chwilę w przedpokoju, gdzie jeden chudy kanarek trzepiotał się po klatce. Drzwi otwarte do bawialnego ukazywały w nim kilka starych krzeseł, kanapę zwłosienia i stolik dość nieczysty. Z trzeciéj izby głos ich dochodził gderliwy, wybuchający chwilami wśród sprzeczki jakiejś dość żywéj.

— Ba! pomyślał Tomko, filozof ani chybi dysputuje.

Mimowolnie wkrótce też i dysputy dosłyszeli.

— Twój zastaw nic nie wart.

— Wielmożny panie, perły.

— Zbieranina nierównéj wielkości i wody.

— Wielkość! woda! rozumiem, rzekł roztargniony Tomko, jest to dysputa o początku wszech rzeczy.

Ale następne wyrazy wywiodły go z błędu.

— Dam dziewięćset ani szeląga więcéj.

— Wielmożny panie! półtrzecia na miesiąc i z góry czy to może być?

— Chcesz, nie chcesz, jak ci się podoba.

Potem umawiano się ciszéj, Tomko już nic zrozumieć nie mógł.

— Są to formuły, mówił w duchu pocieszając się, potrzeba być wtajemniczonym.

Nareszcie drzwi się otworzyły i w szlafroku zatłuszczonym, z gołą wyschłą i pomarszczoną szyją, łysy, w okularach, wszedł mistrz.

— Kłaniam się! rzekł.

Tomko przystąpił z uszanowaniem, pocałował go nawet w rękę podobno i zaczął mówić:

Co mówił? nie powtórzemy, z przejęciem opowiadał on swoją historję; stary słuchał go, to z marsem na czole, to z pół uśmiechem, to ramionami ruszając.

— Chcecie poznać prawdę, rzekł naostatek, a no! to chodźcie na moje lekcje.— Jeśli jest gdzie prawda znajdziecie ją niechybnie w moich sexternach, a myjcie sobie głowę zimną wodą rano i wieczór.

To mówiąc z uśmiechem zawrócił się i wyszedł.

XVIII

Baron trzymał się za boki od śmiechu którego pohamować nie mógł.

— Stary głupiec, stary lichwiarz! wołał, po cóż bo było iść do niego. Prawda, sam cię poprowadziłem, i muszę wynagrodzić ten zawód. Chodźmy do innego, do młodszego i pełnego życia nauczyciela.

Poszli znowu.

Za dymem mnogich fajek i wrzawą okrutną ledwie dojrzeć i dostąpić było można do nauczyciela, którego głos ginął wśród tłumnie zebranych gości wykrzyków. Mistrz właśnie grał w karty i lulkę palił, weseląc się z przyjacioły.

— Przyprowadzam wam ucznia, rzekł przedstawiając Tomka baron Teufel, pragnie on gorąco prawdy i szukając jéj chodzi po świecie, jak dziad za żebraniną.

Rozśmiał się na całe gardło już widać uprzedzony uczony, zmierzył oczyma od stóp do głowy biednego Tomka i rzucając karty o stół, a zarzucając na tył gęstą czuprynę, zawołał patetycznie:

— Lubię to poświęcenie i zapał młodzieńczy— *Macte animo,* znajdziesz czego szukasz!

— Rozpocznij studja pod moim przewodnictwem; nie poprowadzę cię staremi, wybitemi drogami, które do niczego nie wiodą. Na nowych świeżo przetrzebionych gościńcach prawda być musi. Pójdziemy za Kantem i Niemcami, oni mozolnie ku jasności prowadzą, oni wskazują prawdę i złudzenie.

— Mistrzu! dzięki ci! więc widzicie prawdę oko w oko i przypuszczeni jesteście do jéj przybytku!

— Hm, to jest, odparł nauczyciel młody — my dotąd jesteśmy tylko na drodze, ale nie u celu jeszcze. Praca dopiero poczęta! Ale już wiemy dotąd co nie jest prawdą; wywracamy fałsze stare.

— Budujecie gmach nowy?

— Zakładamy fundamenta; przygotowujemy się.

— I doszliście? dorzucił baron.

— Prawdy *względnéj, bezwzględnéj* czekamy jeszcze ale i to z czasem przyjdzie.

— Téj i ja szukam.

— I my także! To mówiąc professor usiadł do kart i mrucząc odwrócił się tyłem.

— Chodźmy rzekł Tomko do barona.

Chodźmy.

XIX

Coraz większe zrażenie po każdéj próbie nowéj opanowywało biednego wędrowca; wychodząc z mieszkania zwolennika nowéj filozofji głowę miał spuszczoną, ręce opadłe i myśl zbłąkaną zupełnie.

Baron kroczył za nim tryumfalnie. W ulicy spotkali człowieczka zadumanego, który w okularach stojąc u rogu kamienicy zagapił się na dwa psy leżące nad kością, o którą się pogryźć miały. Okrągły i wcale poważny brzuszek, twarz rumiana, wyraz spokoju odznaczały go, ręce miał na tył założone, ciepłą czapeczkę nasuniętą na uszy.

— To także nauczyciel! szepnął baron, znam go nawet trochę, wdajmy się z nim w rozmowę, czas przejdzie, nie wadzi spróbować.

Tomko nie sprzeciwiał się, a Lucyfer w kilku słowach począł od treściwéj historji młodzieńca któremu narzucił się za przewodnika.

Staruszek słuchał, uśmiechał się i wreście gdy psy, z których oka nie spuszczał, pouciekały rzekł idąc i wiodąc ich z sobą:

— Szczęście wasze, żeście trafili na mnie, u mnie to dowiecie się prawdy.—Posłuchajcie, rzecz jasna i krótka.

— Prawdą jest materja, fałszem jest duch. Ducha skomponowali sobie ludzie przez próżność, aby się wynieść czemkolwiek nad zwierzęta, od których są tylko doskonalsi nieco, w pewnych względach organizacją. Wszystkie idee przychodzą nam od zmysłów i zewnętrznego świata; dusza nasza jest to siła organiczna, siła w pewien sposób związanéj materji. Myśl jest sekrecją mózgową, płynem niepochwyconym.

— A my?

— Myśmy tylko najdoskonalszemi zwierzęty. I patrzcie no! uważcie! od polypa do nas, jaki szereg nieprzerwany stopniowań; dla czegoż ostatnie ogniwo łańcucha miałoby być z innego metallu? Wszystkie fenomena duszy, są to fenomena materji i sił nad nią panujących.

— A te siły? spytał Tomko — to także materja!

— Siły! siły!—odparł stary— są to siły materji.

— Ale nie są materją?

— Jużciż są chociaż z drugiéj strony, rzecz to jest niewyjaśniona, a mniejszéj wagi, zkąd się biorą siły. Wynikają one przecież zawsze z materji, na nią działają, z nią chodzą, bez niéj objawić się nie mogą: a zatem są w pewien sposób materjalne.—

Tomko głową pokiwał.

— Świat więc cały jest li tylko materją? spytał, a pierwiastki piękności, ładu, porządku, jakie w nim widzimy?

— Dzieła przypadku, moje serce.

— I nieśmiertelne?

— A kto ci to powiedział?

— Dzieje wieków.

— Ba! dzieje chwili powiedz, bo lat kilka tysięcy, to chwila tylko.

— A przyszłość? spytał jeszcze chciwy młodzieniec.

— Jaka? przyszłość świata?

— Nie, nasza.

— Zgnilizna, śmierć i nowe pod nową postacią życie.

— A to co w nas myśli i mówi?

— Zawsze kochanku obałamuca się ta fikcja duszy, któréj się pozbyć nie masz siły! Cacko z dziurką dla dzieci! Gdzież u diabła ta dusza? Bawią

was jak niemowlęta, którym czego dziś dać nie chcą odkładają na jutro.—Jutro! przyszłość! Tere fere kuku! będziecie ją widzieli. Dzieci! dzieci!

— Smutna wasza prawda, panie.

— Zapewne, ale czysta i jasna.

— Nie! nie! nie! zawołał żywo uczeń. Mówicie niéma na to, czego nie pojmujecie, czego nie możecie pojąć; mówicie niéma duszy aby jéj nie tłumaczyć, nie chwytać, abyście nie byli zmuszeni wyznać bezsilności waszéj. Ja czuję duszę moję wlaną w ciało jak wodę w naczynie, czuję że ją to ciało więzi i pęta, że ją krępuje, że nią rzuca; ale niemniéj czuję że to co we mnie żyje znikomym prochem być nie może. No toż by dana mi była myśl sięgająca jak Tytan pod niebiosa, by ze mną zgniła i zamarła? Nad wszelkie rozumowania silniejsze we mnie jest to uczucie duszy, bez którego żyćbym nie mógł! Wszystko ciałem! wszystko materją? Z kądże życie?

— Siła materji.

— Ależ wszelka siła jest duchem niepochwyconym; siła co porusza światy, co żywot daje, co wstrzęsa, wywraca, rodzi i zabija, to nie materja, to duch!

— A jakiżeś głupio uparty, moje serce! zawołał starzec. — Co to darmo cieniaki sobie stawić.— Duch! duch! A materja? z kądże się wzięła materja? Duch li ją stworzył? jestli tak, dla czego i po co? jeśli nie, więc była, od wieku? a była czemś od ducha oddzielnem. Mamy więc *ab ovo* dwoje kłótliwych pierwiastków — kto tu starszy, kto tu młodszy? kto komu zdrogi ustąpi! Głupstwo! głupstwo! A jak przypuścisz tylko, co musisz uczynić, prexystencją materji, toś mój!

— Nie mistrzu, ja też tego nie przypuszczam. Wszystko co jest własnością, *qualitas*, pochodzi od ducha, *quantitas* tylko jest materją. Odbierzcie wszelką *qualitas*, wszelką własność, to jest wszelkiego ducha materji, a rozsypie się w nicość. W ten sposób pojąć możecie, że i stworzoną sprawą ducha z niczego być mogła.

— O! to już bredzisz kochanku! i *de grubis* rzekł stary ruszając ramionami. Wszystko powtarzam ci, wbij to sobie w głowę bodaj siekierą czy młotem, wszystko jest materja, a krom niéj niéma nic. Materja jest nieśmiertelna objawy jéj, życie wiekuiście różne. Zresztą przyjdź do mnie kiedy chcesz do domu, bo teraz niemam czasu, dobranoc.

Tomko trochę ogłuszony i przybity pozostał w ulicy: potém w myślach cały posunął się powoli za miasto, w przedmieścia i aż nad brzeg rzeki na któréj usiadł obrywie, spoglądając pytającym, błagalnym wzrokiem na niebo, wody i świat.

XX

Baron Lucyfer von Teufel nie opuszczał go na chwilę, biegł za nim, czepiał się sukni, wieszał się czasem na jasnym włosie i ulatywał z nim w powietrzu, dziwne hołupce wycinając nóżkami. Gdy Tomko usiadł, skoczył przed niego zażył tabaki i ukłoniwszy się ze swym grzecznym uśmiechem, rzekł:

— Ależ biegłeś paneczku.

— A, i wy tu?

— Zawsze kochanie moje.

Tomko głowę odwrócił:

Obok niego siedział ktoś nieznajomy, stary dziwnie łysy (jak kolano z pozwoleniem waszem), schylony we dwoje, wyschły jak stara okładka i tak zamyślony, że nic go wywieść z tego stanu osłupienia nie mogło. Trzymał on wędkę w ręku i patrzał na nieporuszony jéj sznurek, który się w wodzie zanurzał. Twarz jego pełna była wyrazu łagodnego smutku, któren czas widać długi, zmienił w naturę. Oczy, usta, czoło uśmiechać się zdawały boleśnie i z litością. Suknia na nim była łatana i wytarta do nitki; obówie sznórkami przymocowane do nogi, a czapka w któréj leżały robaczki i haczki, prawie od dziur licznych przezroczysta.

— Dzień dobry, professorze, rzekł baron do niego.

— A co? i to professor? spytał Tomko.

— A jakże, i niepospolity! Całe życie także szukał prawdy, uczył się, pracował i na starość doszedłszy że prawda jest na dnie wody w postaci wielkiéj ryby, siedzi z wędką nad brzegiem, żeby ją złapać. — I odwracając się do starca spytał baron:

— Cóż tam prawda, professorze?

— Zawsze jest nadzieja połowu.

— Ale dotąd?

— Dziś już ją pewnie złapię.

— Nie chcielibyśmy przeszkadzać w tak ważnemu zatrudnieniu, rzekł niemczyk, ale o to jest wielkich zdolności uczeń, któryby rad od was choćby trochę historji prawdy się dowiedzieć, jeśli nie jéj saméj; bo ona sama jak mówicie stała się w końcu rybą.

— Tak jest! tak jest! stała się rybą i pływa na dnie wód! dziś ją złapię niezawodnie, a jeśli ciekawy, niech słucha ten pan uczeń—rzekł stary nieodwracając głowy—powiem mu co wiem, a jeśli dziś jak niemylnie wnoszę złapiemy ją, to się nią podzielim, i nie tylko my, ale ludy całego świata, jak Leviathanem na wielkiéj wieczerzy nakarmią się do sytości.

— Byleby się wędka nie urwała, gdy ją dobywać będziemy! rzekł baron.

— Otóż to i mnie frasuje.

— A tymczasem professorze, ad rem, słuchamy twéj historji, którą opowiadasz tak pięknie, uczeń ciekawy i pojętny.

— Słuchajcie, tylko zmiłujcie się, jeźliby się złapała, pomożecie mi ją za to wyciągnąć.

— Z całego serca.

Stary professor odkrząknął i w te słowa mówić począł głosem jak z katedry.

— Jak tylko się człowiek najadł, napił, wyspał, okrył i uzuł że bestji dosyć, zaraz się domyślił że jest w niem coś drugiego krom zwierzęcia; uczuł się człowiekiem, aniołem, duchem a czując także głód w duchownym swoim żołądku, począł szukać prawdy, którąby go nakarmić mogła. Ztąd cała filozofia się rodzi.

— Którejby nie było powiadasz pan, gdyby się człowiek—bestja, wprzód nie najadł i nie napił.

— Oczewiście lecz to mniejsza.

Obróciwszy się na wschód, tę kolebkę rodzaju ludzkiego ujrzym tam naprzód wyradzającą się ideę prawdy w osobie Bóstwa jednoczącego w sobie wszystko, począwszy od komara do słonia i człowieka. Wszystko zawierał Brahma; a zaraz i to wszystko jakoś rozbiło się na troje; urodziła się z jedności trójca. Trójca znów skleiła się w jedność. Ludzie szukali prawdy zatapiając się w bóstwie, jednocząc się z nim zjednoczeniem takiem, że sobą być przestawali.

— Zapomnieli nieboracy na którym byli świecie.

Jakkolwiekbądź, w Indji jako zasadę prawdy

widziemy ideę jedności i troistości. Ta troistość od Indjan począwszy po dni dzisiejsze przez Platona płynie w żyłach wszelkiéj filozofji i piętnuje wszelką naukę swą tajemniczą pieczęcią. U Persów znów jedno rozbiło się na dwoje i prawda stała się złem i dobrem, walczącem z sobą wiecznie: Ahriman i Ormusd wznieśli się nad ten świat nowy, który walką wszystkiego chciał sobie wytłumaczyć boje doczesnego życia poziome i drobne. Tu wzięło początek pojęcie jakichś zasadniczych idei, *które* stworzeniu przewodniczyły. Z elementów ogień otrzymał pierwszeństwo, a raczéj światło. Chaldeowie wznieśli się nieco wyżéj od ziemskiego płomienia do świateł niebieskich. W Egypcie wszystko było bóstwa częścią aż do cebuli, o tem wiecie, a zatem wszystko prawda co rzeczywistość, i rzeczywistość bóstwem. U Hebreów Bóg znowu jeden i wielki, on w świecie a świat w nim; prawda się skupia, człowiek podnosi głowę czując się w stanie upadku. To poczucie się człowieczeństwa jest wielkiem znamieniem! W niem wielkich przeznaczeń rękojmia, w niem tęsknota ku czemuś wyższemu, sięgnienie do niebios, które mu zajaśniały. Poznał człowiek jak był nisko i zapragnął się podnieść.

Oto w kilku słowach przedhistoryczne, że tak powiem dzieje filozofji. Daléj, bliżéj nas śledzić możemy szczegółowiéj historją prawdy, nie w narodach już całych, ale w indywiduach, uosabiających ludy i czasy.

Poczciwy staruszek Thales uważał za prawdę jedyną, wodę.

— Dziś już i gęsi nie wiem czyby się tem kontentowały, przerwał baron.

— Początek istniejących rzeczy—mówił professor. – Za złe mu tego mieć nie można, zważywszy że żył w czasie wielkiego pragnienia ludów. Że przyznawał magnesowi duszę, dowodzi to że wcale nie był głupi, na swój czas, bo i my poczekawszy do jego mądrości powrócim z małą odmianą.

Anaxymander w czemś nieopisanem, nieokreślonem widząc wszystkiego początek i prawdę zasadniczą, przyznał przynajmniéj skromnie, że niedaleko widział. Uznał to *coś* niezmiernem, a wszystko co w niem zawarł rozmaitości pełnem i ruchawem. Wcale nie zgorzéj na początek; są tu już wielkie zasady.

— Zapewne, zapewne, pomruczał baron.

— Ferecydes z Syros żeby stworzyć ziemię i światy przypuścił Jowisza i materją. Jeszcze i dziś toż samo robią filozofowie. Jowisz nie wystarczał nieborakowi, bo mu się w głowie pomieścić nie mogło, materji stworzenie. Anaximenes poprawując Thalesa, uznał znów prawdą *powietrze*. Nakoniec wielki Pythagoras jedyną prawdę ujrzał w znajoméj tabliczce, krom liczb, to jest krom materji niewidząc nic pewnego. Był to jak widać przynajmniéj uczciwy i sumienny człowiek.—Nauka liczb zajęła go całkiem, z niéj i przez nią chciał zbadać prawdę. Za nim do dziś dnia tłum jeszcze pędzi, co liczbę uważa za jedyną pewność.

Co do mnie przyznam panom otwarcie, ale po cichu, nie jestem pewien, czy za lat tysiąc, dwa a dwa nie będą robić pięciu. Kto wie, nawet na Saturnie dziś czy dwa razy dwa nie robi trzech?— wielka wątpliwość! Wszystko prawdopodobne...

— Nawet to że my dziś Leviathana na wieczerzę ludzkości rozpłatamy.

— Idźmy daléj, nie tracąc czasu; chwile biegną, mam przeczucie, że dzień dzisiejszy będzie dla mnie stanowczy.

U Pythagorejczyków i świat i Bóg i dusza były liczbami tylko różnemi. Jeśli już dziś za złe nie mamy bałwochwalcom biednym, że Bogi swe w drewniane ubierali posągi; za cóż wyrzucać Pythagorejczykom że Bóg jest ich wielką wspaniałą jednością! Pythagoras szukał téj prawdy na ziemi i liczby moralnéj dla rozporządzenia wedle niéj ludźmi; ale to wszystko jeszcze zasadzał na tem, żeby za *dwa* dać *dwa;* to jest, naprzykład, kto cię dwa razy uderzył, ty mu oddaj ni mniéj ni więcéj—dwa tylko. Moralność ta matematyczna wcale jeszcze nie była ciekawa. Xenofones, nowa gwiazda naszéj historji, doszedł wielkiego fałszu lub wielkiéj prawdy, że z *niczego być nic nie może*. Jest to na pozór śliczne cacko, ale wistocie fałsz wierutny, bo wszystko powstaje z niczego. Lepiéj mu się udało przypuszczenie, że wszystko jest jednéj w głębi natury, a ta jedność jest Bóstwem, a Bóg jest *sferą*. Nie miejmy mu za złe téj sfery, bo u nich jeszcze materja nieodłącznie wchodziła do idei Bóstwa, a szukając dla niéj formy najdoskonalszéj, znaleziono naturalnie—sferę. Prawda więc u Xenofonesa jest kształtu kuli działowéj, dzisiejszéj *ultima ratio* społecznego świata.

Kocham Parmenidesa za to, że zmysłów przeczuł fałszywość; bo cóż zmysły pewnego nam dają? U nich dziś białe, jutro czarne i gdyby się człowiek tego nie trzymał, okpiwałyby go co chwila. Nieudało mu się to tylko, że prawdy głębiéj świdrując, szukał w *eterze* — ogniu i nocy, na dwóch krańcach, gdzie i światło i ciemność równie ślepią...

— Professorze skracaj, bo będziemy tu nocowali, przerwał baron.

— Idę daléj, idę daléj, uważajcie tylko na wędkę kochani moi. Przychodzim do Zenona z Elei; był to mówią przyjaciel Parmenidesa, bardzo godny człowiek, ale że w ruch nie wierzył całkiem a podobno i w nic więcéj, było to zeznaniem się filozofii przez jego usta, że sama nie wiedziała co począć, i w co wierzyć, poczytując tymczasem za najpewniejsze, nie wierzyć w nic wcale. Heraklitowi było zapewne znowu zimno, jak wielu jego poprzednikom, gdy swój ogień — prawdę wymyślił i stworzyciela ognia powołał do życia; ale widział on i duszę i musimy mu ogień dla duszy przebaczyć.

Atomy Leucippa były jakby granicą po za którą niepozwolono do czasu bujać umysłowi ludzkiemu, mówiąc mu daléj — wara! daléj niepodzielne. Znalazła się też i próżnia obok na umieszczenie atomów, i *przestrzeń* dokuczać przestała. Dusza, wedle Leucippa, miała się składać z porządnych, okrągłych (doskonałych) atomów, wydających ruchem swym ciepło i myśl. Ciepło i myśl z jednego rondelka! Takaż to i myśl być musiała.

Począł się śmiać Demokryt i doprawdy było z czego; cieszył się nowo narodzonym atomem i pieścił je gdyby własne dziecko, był mu mamką i nauczył go *ruchu*, wodząc na paskach. On pierwszy odlepił *obrazy* od *rzeczy* i dał im oddzielną exystencją. Empedokles, którego pantofle Etna wyrzuciła, brzydząc się natrętem, który w żołądek natury chciał zaglądać, nie był wyłącznie ani przyjacielem prawdy ognia, ani prawdy—wody; rozbił co było na czworo, i z jego łaski mieliśmy cztery żywioły aż do ostatku szkół jezuickich. On także stworzył zasady pociągania i odpychania, nie namyśliwszy się, że pociąganie jedno byłoby wystar-

czyło, bo odpychanie od jednéj rzeczy jest skutkiem pociągania ku drugiéj. Empedoklesa demony i *demon* człowiek, wygnaniec z raju, przypominają Hebreów; u niego dusza wędrówkę odbywać zaczyna i coraz inny kształt przybiera, oczyszczając się, podnosząc, dążąc do zlania z jednością. Empedokles też zjednoczył się z ziemią, a przez nią z universum, w otchłaniach Etny. Anaxagoras prawdę znowu rozdwoił; materją nie wiedząc jak ją stworzyć, przypuścił odwieczną, co najłatwiéj. Najznakomitszem podług mnie zdaniem Anaxagora jest to, że uznał w świecie niepodobieństwo klassyfikacji istot i fenomenów jak od siekiery — połączenie ściśle wszystkiego ze wszystkiem.

Diogenes Apolloński powietrze znowu uznał zasadą, a zasadą *jedną*.—Słowem, jak widzicie, prawd było ile ludzi, ale to nic jeszcze, jesteśmy dotąd w pieluszkach. Narobiwszy systemów, ludzie opatrzyli się nareszcie, że kiedy jest tyle prawd do wyboru, wszystko jedno jakby żadnéj nie było. Poczęli więc nie wierzyć w nie wszystkie. Ostrożny człowiek, bojąc się omylić, wolał wszystkiemu zaprzeczyć i położył się śmiejąc i wątpiąc w barłogu. Był to pierwszy perjod zwątpienia ludzkości, która zwalczona, upadła na ziemię i zamiast pracować chętniéj, zaparła się rąk swoich. Wygodnie też było powiedzieć sobie: niéma prawdy, bośmy jéj nie doszli, a zatém niéma praw, a zatem: hulaj dusza!

W tém wystąpił na scenę z zadartem nosem Sokrates, poczciwy strasznie człowiek, który miał bardzo złą żonę, sławniejszą podobno od siebie. Ten jeszcze po troszę wątpił o wszystkiem, ale już wpadał na ścieżkę prawdy, wołając: poznawajcie siebie, pocznijcie naukę z głębi waszéj, a tak za nicią pewną pójdziecie daléj.—Ale! hulaj dusza! wołała cała Grecja, i gdy Sokrates odpowiedział jéj:—Czyńcie dobrze! poznajcie siebie, umiarkujecie się!—Widzicie dla czego (to jasno jak na dłoni), kazano mu wypić cykutę. Sokrates miał tylko *przeczucie prawdy*.

Z téj wielkiej mnogości fałszów, z których każdy przebierał się za prawdę wynikło to, że Antisthenes założył, iż wiedzieć prawdę lub nie, rzecz obojętna, a pierwsza być sobie poczciwym człowiekiem i kwita; do świata się jak najmniéj przywiązywać, jak najmniéj od niego potrzebować i zależeć. Było to zaparcie się duchownéj części człowieka, potrzeb jego umysłowych, dla praktycznego życia. Ludzkość uosobiona w Diogenesie z desperacji, że prawdy ugryźć nie mogła, siadła w beczce i piła dłonią wodę, wracając do czasów pół-bydlęcych. Któżby to tego nie postrzegł? Z Cynizmu musiał się narodzić Hedonismus, jeden poczciwy, zasadzony na mądrości i cnocie, drugi niepoczciwy, jedynie oparty na roskoszy. Nie mogąc dobić się prawdy, ludzkość usiłowała przynajmniéj używać— mówiąc sobie: tyle mego!

— Pilnujcie wędki, ja idę daléj mówił stary, droga jeszcze długa. Cynismus, Hedonismus, Skeptycyzm wszystko to dziatki jednéj matki — dzieci rozpaczy w dochodzeniu prawdy, zawsze jeszcze niedoścignionéj, i osłonionéj nieprzejrzystą szatą.

Dalszym ciągiem tego samego uczucia ludzkości objawiającego się w jéj przedstawicielach, jest Pyrrho z Elidy, apatyczny Pyrrho, ojciec niewiary pochodzącéj z zawiedzionéj i zbyt prędkiéj ufności w marzeniach. Prawda poczęła się coraz bardziéj gmatwać w słowa, poczęto ją coraz bardziéj przywiązywać do formy, zasadzać na wnioskowaniach zręcznych; sztuczki ze słów plecione uważano już za jéj poszukiwanie. Aż nareszcie zajaśniał boski Plato! Boski Plato łączył w sobie krytykę tego co minęło, przeczucie tego co przyjść miało, i siłę stworzenia nowéj teraźniejszości.

Idea, wyrzekł Plato, jest prawdą, i idea tylko sama; krom niéj wszystko zmienne, fałszywe. W nas jest idea wszystkiego i miara prawdy. Czujemy prawdę naszą o niéj ideą wrodzoną.— Bóg — idea, Demiurgos panuje światom—idei, sam idea, sam duch. Między ogniem a ziemią łącznikiem woda, u Platona jest objawem prawdy zasadniczym, jest żywiołem pośrednim. U niego wszystko troiste i dusza ludzka także.

Lecz za długobyśmy prawili o Boskim Platonie, który chciał stworzenie świata odgadnąć i wszystkie poprzednie systemy zlał w jeden swój własny. Nieśmiertelność duszy, uznanie jéj, oto wielkie jego kroki na drodze prawdy; cnota jako łącznik między Bogiem a człowiekiem, jako westchnienie ku Bogu—idei—pogarda zmysłowości — oto jego zasługi dla moralności powszechnéj.

Arystoteles sławniejszy może późniéj od niego, był to zręczny człowieczek, co spadek po swych poprzednikach uporządkował, urządził, rozklassyfikował. — On to utworzył i podniósł wysoko logikę jako organon wszelkiéj umiejętności, i zbudował to pocieszne coś, któremu długo kłaniali się ludzie, nie mogąc tym stępiałym scyzorykiem nawet łupiny prawdy otworzyć. Arystoteles ma wielkie zasługi na drodze naszéj, mianowicie, że wyczerpując we wszystkiah kierunkach zdanych kilku prawd wnioski, wstrzymał postęp ludzkości, która czując się wyręczona przez niego, poszła spać na długo. Wszyscy byli pewni, że po Arystotelesie nic nie było już do zrobienia.

Wolę już Epikura, który się w prawdę nie wdawał, czując ją za wysoko dla siebie, a uczył żyć grzecznie, pięknie i słodko, nikomu w drogę nie włażąc, Nie wiele umiał, kontentował się zmysłami wszystko do nich odnosząc; celem życia uznając nie *poznanie* prawdy i podniesienie się duchowne, ale *użycie*, roskosz.—

Ludzkość już w różne drogi się puściwszy, napróżno szukała oparcia się gdziekolwiek, a nigdzie stałego znaleść nie mogła, i Stoicy usiłowali ją wstrzymać w jéj gorączkowém miotaniu się. Niezapuszczając się zbyt daleko, Stoicy usiłowali trzymać się na zdrowym rozumie, przezeń wyrobić sobie jaką taką prawdę, na codzienne potrzeby. Za prawdy służyły u nich dwa początki, dwie zasady —*materja i Bóg*. Znowu więc ta nieszczęsna dwójka, znów walka, tylko że materji obcięto paznogcie i uczyniono ją zupełnie bierną. Boga umieszczono w śród świata na pościeli téj bezwładnéj materji, któréj przecież stworzenia przyznać mu niechciano. Nad głową jego zawieszono Fatum, inaczej prawo! i zamknięto drzwi świątyni na wieki. System Stoików był jak wszelki późno przychodzący, mieszaniną, zlepkiem; a było w nim wszystkiego po troszę. Co najwłaściwiéj ich jest, to pojęcie stałości w życiu człowieka jako elementu moralnego, jako siły nowéj, i pojęcie solidarności całego życia, któren złem jest skoro się mieni i szuka. Prawda ich była surowa jak oni, nie miała serca. Skeptycyzm pod różnemi formy panował światu, a prawdy szukano w wątpliwości, co zresztą do naszych prawie czasów dotrwało.

Pojęcia o Bogu— prawdzie, przychodziły przecie do udoskonalenia, oczyszczały się; Carneades

który pierwszy posądził ludzkość o Anthropomorfizm, podniósł wysoko Boga i ukazał go w wyższym już niejako nad pojęcie nasze. — Prawda jaśniała niepochwycona nad horyzontem...

Opowiadanie starca przerwał baron okrzykiem:

— Professorze! professorze! schylasz się nadto.—Ale jeszcze tych słów niedomówił, gdy starzec któremu wędka zadrżała w ręku, w obawie aby złapanej prawdy nie opuścić, rzucił się naprzód chwytając łapczywie wędę, pochylił, zachwiał i upadł w rzekę, tak, że tylko dziurawe jego buty ukazywały się nad wodą...

Tomko bez namysłu rzucił się za nim ratować, a Teufel zażywając tabakę, szeptał patrząc obojętnie:

— Teraz to się już prawdy domacacie nieochybnie...

Próżne były usiłowania Tomka, który starego chciał wyratować; ogromny sum złapał się był na wędę i ciągnął go na głębią, a młody chłopiec sam począł tonąć, naprożno szaleńca usiłując zdobyć. Wreście zalany wodą, na w pół żywy, szamocąc się ze starym, gdy postrzegł że siły go opuszczają, smutny wyrwał się na brzeg rzeki.

— Szkoda reszty historji filozofii, zawołał baron do Tomka który się drapał na urwisko, ale teraz już jeden z was niechybnie prawdy się dowiedział; my chodźmy do domu, bo się jeść zachciewa.

XXI

Przez kilka dni jeszcze od drzwi do drzwi błąkał się Tomko napróżno; jeden mówił mu: Prawda jest *mój system tylko, prawdą jest tylko* moja prawda, która wykładam.

Drugi powiadał skromniéj:—Niéwiem co prawda.

— Wszakże jéj uczycie?

— Tak jest, ale uczyć, a wiedzieć to w cale co innego.

— Gdzież sumienie?

— A kto da chleba darmo?

— Wolałbym drwa rąbać.

— Na to, nie zgoda.

Inny, co świeżo przeczytał traktat teologiczno-filozoficzny zakazanego Spinozy, zaręczał że świat jest jedynym Bogiem, ludzkość świata koroną, Boga objawem. Domyślał się już co Hegel zrobi genjalną ręką szczepiąc latorośl platońską na płonce Spinozy.

Jeszcze inny powiadał mu: prawdą jest serce i uczucie, to coś niepojętne, wrodzone, które przynosimy z sobą z innego świata...

Uczeń Kartezjusza powtarzał: — Wątp zawsze a dojdziesz prawdy — dodając z Pascala tą myśl wyszarpniętą a może spaczoną:

L e pyrrhonisme est le vrai.

Tomko tego bardziéj od innych założeń pojąć nie mógł. Wiecznie wątpić, jestże to żyć?

Artysta, mówił mu: Prawdą co piękne! piękne w świecie moralnym zowiecie dobrem i sprawiedliwem, w życiu szczęściem. Wszystko jest aspiracją ku pięknemu, piękno jest prawdą jedyną!

Na to zaraz praktyk odpierał:—Gdzież zastosowanie i użytek piękna?

— Piękno samo w sobie ma swój cel, jest to odblask najwyższej piękności, nieśmiertelnej, jego użytkiem że duszę podnosi, że wznieca to uczucie, co nas przybliża ku ideałom, ku niebu! Ono jest wspomnieniem pierwotnéjojczyzny jakby piosenką, którą wygnaniec nuci tęskny, przypominając lata dziecinne; ono jest modlitwą do Boga.

— Prawdą jest nauka, przerwał inny, nauka gdyby nic więcéj nam nie dawała nad szeroką drogę bez celu i końca, nie jestli najlepszym ku górze gościńcem?

— A na téj górze?

— Szczyt téj okryty chmurami, i mniejsza o to, byleśmy ku niemu postępowali.

Naukowy postęp to wszystko, to prawda jedyna. Znajdźcie mi co by silniéj zajęło, coby wyżej uniosło nad to szperanie w tajemnicach natury, w prawach nieznanego. Ona oswobodziła Archimedesa od uczucia śmierci nawet, której nie postrzegł nadchodzącéj, zadumany nad swoim zwojem. Jestli szczęście mniéj podległe zmianom, stalsze, pewniejsze nad to, które daje nauka?

— Nauka jest fałszem, przerwał inny, wśród żywego życia, uczony jest czemś niepojętém, on nie żyje, ale uczy się życia, a gdy abecadło skończył, umiera. Umiera niepewien niczego, nieskosztowawszy uczty mu przez Boga zgotowanéj, skeptykiem znużonym; wartoż się było rodzić na to?

Prawdą więc jest użycie? pytał Tomko.

— Nie, przerwał inny, użycie jest nieskończonym zawodem, pragnienie jest roskoszą i prawdą.

— Ale pragnienie jest czemś niedoskonałem, nie pełnem, nie całem?

— Bo też w piersi wiecznie tkwiące, powiada nam, że żywot nasz tutaj nie jest cały i skończony. Ze wszystkiego co przeczuciami drugiego życia nazwać się może—jako i miłość która jest przeczuciem zjednoczenia wszystkich w jednem; ciekawość która oznajmuje nam mądrość i wszechwiedzę w Bogu; zamiłowanie piękna które zwiastuje doskonałość przyszłego żywota—pragnienie, przeczucie najwyższe! najwyraźniéj nam mówi nigdy niemogąc być uspokojone tutaj, że napój do ugaszenia go, nie na téj brudnéj ziemi płynie. Bóg wszystkie te *przeczucia* złożył w sercu człowieka, ale człowiek źle je pojął i na złe ich użył.

W ostatku przyszedł ktoś jeszcze i szepnął do ucha Tomkowi: Postęp, to prawo ludzkości to prawda! idźmy naprzód!

— Do kąd?

— Do szczęścia, do absolutnego szczęścia ziemskiego.

— Na ziemi?

— Tak, nie inaczéj.

— A walka ze światem, z materją, z ciałem własnem, z pierwiastkiem zniszczenia, który jest z drugiéj strony materjałem nowego żywota?

— Ten bój musi ustać; zwyciężym buntowniczą materją, podbijemy ducha, udoskonalim czlowieka, użyjemy jak sprężyn namiętności jego; opanujemy świat i damy mu szczęście.

— Kiedy?

— Niewiemy jeszcze! wkrótce! wkrótce! ludzkość wielkiemi idzie krokami, coraz szerszemi a szerszemi i dościgać się zdaje celu.

— Cóż nim zowiecie?

— Co? dobry byt, szczęście.

— Dobry byt więc ziemski celem waszym?

— Podstawą przynajmniéj.

— Potraficież zniszczyć co w życiu z natury jego jest znikomego, zmiennego, uległego stratom, podlegającego wypadkom?

Na to ostatnie pytanie, zniknął ruszając ramionami przyjaciel szczęścia ludzkiego.

XXII

Po kilku tygodniach pobytu w mieście, Tomko stał się do siebie niepodobnym: zrażony, ostygły, osłupiały, zadumany, milczał w chorobliwém jakiemś odrętwieniu zostając. Było to coś na kształt Bramańskiego zatopienia się w wielkiéj istocie, chwila bezmyślnéj martwości, brak woli, brak pragnienia, brak żywota; nie rozpacz ale zobojętnienie od niéj straszniejsze. Baron patrzał na niego z uśmiechem politowania, przychodził coraz rzadziéj, gniewał się coraz częściéj, nareszcie jednego wieczora napróżno usiłując go wciągnąć w nowe badania, w nowe go rzucić zajęcie i zamęt, plunął, szusnął nogą i zniknął.

Dymek tylko smrodliwy zakurzył się za nim, a Tomko pozostał sam jeden.

Co się późniéj z nim stało, nie wiemy; jesienią późną dopiero, odarty, w łachmanach na ciele i duszy, wlókł się drogą ku domowi, sam prawie niewiedząc dokąd idzie.

XXIII

Jak w wielkim tłumie, którego tysiąc głosów się kłóci, wrzały myśli niesforne w głowie biednego Tomka; w sercu jego było pusto, i wiatr tam tylko przelatywał chłodny.

Reszta rychło wyczerpanego życia, schroniła się pod czaszką, ale tam stypę obchodziła przedśmiertną, pogrzebową sprawiała sobie hulankę. Szedł i nie pytał już o prawdę ani świata, ani ludzi, ani siebie, ani Boga co czasem głosem w nas mówi wewnętrznym i wszystko dlań było obojętne.

Wspomnienia rodziców, domu, kątka kraju świadka lat dziecinnych — zamarły, ucichły, milczały. Łachmany tylko myśli czarnych pędziły się jak chmury burze poprzedzające w głowie jego, świszcząc i kłócąc się z sobą.

— Prawda! Jest prawda! Niéma prawdy! Wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem, wszystko ułudą, powtarzał!

I znużony padł spocząć na kamieniu, głowę gorącą oparł o drzewo i powtarzał zadumany, przez sen: Niéma prawdy!

W tém nadciągnął stary o kiju, Dołęga.

— Co ci to jest Tomku? spytał go łagodnie.

— Chory jestem—o! bardzo chory, odparł ledwie go poznając uczeń.

— Cóż cię boli?

— Boli? nic mnie nie boli, chory jestem i nie pragnę zdrowia, chcę tylko śmierci; śmierć kończy, chcę końca.

— A prawda twoja?

— Prawda! ha! to nicość, to zniszczenie, to spokój bez życia, to zagłada, to śmierć może.

— Biednę chłopię! Wstań i posłuchaj mnie— rozbudź się znajomym ci głosem. Puściłem cię na świat umyślnie, abyś własnemi siły zmierzył się z olbrzymem prawdy. Aleś ty mu nie podołał, obalony na ziemię jęczysz i narzekasz.—Posłuchaj, może cię uleczę.

— O! nikt! nigdy.

— Szukałeś prawdy absolutnéj, jedynéj, w zdaniu jedném w miejscu i kątku pewném, w kilku słowach ludzkich zamkniętéj, w wyłącznéj jakieś istocie, w jedném rodzaju żywota; a prawda nie jest ani w słowie jedném, ani w chwili jednéj, ani w jednej istocie, ani w myśli ludzkiéj tylko. Prawdą jest wszystko co istnieje, prawdą jest życie, byt; a najwyższą prawdą jest źródło żywota—Bóg. On rozsypał w duchu którym ożywił ziemie te obłamki prawdy, coś je dziecino moja, zbierać chciał po okruszynie; a w każdéj skorupce niebieskiego naczynia, tyś je chciał znaleść całe.

Nie znalazłeś prawdy, boś jéj tam gdzie szukałeś znaleść nie mógł. Prawda to naczynie rozbite, którego szczątki tylko odgrzebywałeś z popiołów i gruzu, cała stoi tylko i jaśnieje w niebiosach. Prawda jest w Bogu, a Bóg jest prawdą, co pochodzi z ducha, wszystko fałszem co rodzi się z ciała i materji, to jest ze śmierci.

Prawda jest złotą nicią wśród szaréj tkanki, przesuwającą się we wszystkich tworach, we wszystkich żywota godzinach. Różne jéj strony widzisz w różnych Boga dziełach; nigdzie jéj całéj niéma.

W piersi ludzkiéj tylko jest to pojęcie potężne jedności i całości prawdy, które starczy za nią samą.

To pojęcie jest jako obraz słońca w kropli wody; ale w odbitém słońcu co się lśni w kropelce, niechże astronom je rozmierzy, niech gwiazdarz wielkość jego pochwyci!

Tém pojęciem prawdy, które się rozkłada w nas na pozornie oddzielne pojęcia: dobra, piękna, prawa, pożytku, a jest jednostką, wysoko stoi człowiek. Gdy reszta stworzenia ma tylko cząstki ducha, człowiek jeden ma w sobie całość, ma duszę. Od kamienia do najdoskonalszego ze stworzeń wszystko ma tylko pożyczoną odrobinę duchową, co mu życie daje; jedni my mamy całego ducha, duszę i udział drobny ale całość stanowiący, ale pojmujący siebie, władnący sobą. Bóg stworzył nas na podobieństwo swoje, to jest całkowitemi w sobie. Tomku, słyszysz ty to?

Tomko zdawał się przebudzać, ale słowa mistrza jeszcze go nieuspokoiły.

— Gdzież szczęście? spytał słabym głosem.

— Szczęście całe tam, gdzie to wielkie naczynie o którem ci mówiłem, szczęście całe jest w niebie, obłamki jego leżą do koła; a nie trzeba ich zbyt głęboko szukać; nie trzeba się spodziewać całego i pełnego szczęścia jakie pojmujemy, bo tu go nie znajdziemy.

Nie szukaj go w dobrym bycie, bo ten jest i być musi tysiącom zmian uległy; nie szukaj nadewszystko w sobie, i siebie jak zwierze nie czyń celem stworzenia a ogniskiem wszystkiego. Winieneś wiedzieć, że ludzkości całéj szczęście celem każdego z jéj członków najświętszym, że cała ludzkość twym bratem, a miłość bliźniego nie tylko obowiązkiem, nietylko cnotą, ale prawem jest twojego bytu. Jak skoro z pod tego prawa pojedynczy człowiek chce się wyłamać, spotykają go zawody i cierpienia bez celu, bez ratunku. Pojedynczy człowiek znikomy jest i nikczemny; cała ludzkość ze swą rozmaitością i wielkością i całą przeszłością i polami przyszłości stanowi dopiero ideał człowieka, którego ty jesteś odrobiną.—Nie szukaj prawdy w samym sobie, ani szczęścia w sobie samym, staraj się o szczęście drugich, żyj cały w braciach, umiej się poświęcać, a znajdziesz i prawdę żywota i szczęście.

Za poświecenie nie szukaj nagrody, ani chluby, ani pragnij aby się na niem poznano, ani mów o nim; poniżaj się, boś wistocie małym zawsze, póki wielkim się sądzisz, boś znikomy, słaby, drobny w obliczu Boga,—obliczu ludzkości nawet.

W nauce prawdą jest, że nic spełna nie umiemy,

nie wiemy, że na najwyższym szczeblu umiejętności ludzie, upokorzeni wołają:—Wiemy że więcej jest daleko nad to co umiemy i rozumem naszym dojść możem. Głupcy tylko mieniac się mędrcami wołają: Myśmy posiedli wszystko, pojęli wszystko! Są to umysłowi Chińczycy, którzy po za granicą Chin swoich nic już nie wiedzą.

Na dnie istotnej nauki, pokora; ale człowiek który się czuje słabym i ograniczonym, podnosi się tem uczuciem nad wszystkich zarozumialców, czuje on cały ogrom pozostały za granicami jego wiedzy, wzdycha do niego i jest Kolumbem co czuje Amerykę, gdy gmin podobien Genueńczykom, nie wierzy w inną ziemię, nad tę którą oplugawił.

W świecie moralnym prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spojenie z jéj losami. W świecie domowym prawdą jedyną jest miłość, pobłażanie i poświęcenie, znowu żywot ducha a nie ciała; usamowolnienie umysłu i duszy, spętanie zwierzęcéj części człowieka.

Tomko słuchał, oczy mu się rozjaśniały.

— Mistrzu mój, rzekł, lecz czemże popęd ku wiedzy i chciwość poznania wszystkiego?

— Jest to popęd szlachetny, jest to przeczucie świata w którym wszystko znać i wiedzieć będziemy, z wszystkiem się w Bogu w całość połączym. Ale nie myśl, by nauka była najwyższą zasługą człowieka, a wiedza szeroka problemem jego doskonałości.

Nie, stokroć nie! Jesteś w błędzie! Czyn jest wyższy od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajniki.

Człowiek co nic nie wie, prócz pierwszych prawd z któremi się urodził, a które rozwinęły w nim życie poczciwe i pracowite, często wyższy jest od mędrca, co wszystko wie, w nic nie wierzy i nic nie czyni.

— Źle więc zrobiłem idąc szukać prawdy?

— Zle? nie—lecz prawda jest wszędzie; ona otacza nas. Jak zewsząd prócz więzienia widać niebo, tak ze wszystkich stanowisk życia prócz zezwierzęcenia które nas czyni niewolnikami, widać prawdę nad głowy naszemi. Bądź zdrów, idź do domu. Tam cię czeka reszta nauki, tam i mnie może jeszcze zobaczysz.

To mówiąc podał rękę Tomkowi, podniósł go na nogi i odżywionemu nieco, wskazał drogę ku rodzinnéj chacie.

XXIV

Któż kiedy nie wracał do domu z zawodem i żalem?

Chwila to bicia serca i zawrotu głowy, gdy z zapagórków i drzew, ukaże się ta chata z któréj człek wyszedł z nadzieją, do któréj wraca z boleścią; którą żegnał radośny prawie, a wita smutny, zwalczony i ranny. Cóż nas tam ciągnie i woła pod ten dach słomiany? Czy te lata minione co leżą po drodze jak zeschłe liście drzew w jesieni, czy nadzieje wykarmione co ztąd leciały gołębiem, wróciły krukami, czy ludzie których pierś nie starczyła nam przed laty, do któréj teraz przytulić się chcemy zziębli, szukając w niéj ciepła, po chłodzie świata?

Tomko zbliżał się drżący i płakał. Po raz to pierwszy od dawna łzy wezbranego serca strumienie z któremi tyle spływa uczuć, tyle boleści unosi się w morze łez ludzkości, gdzieś nad Jozefatową rozlewające się doliną, aby świadczyły za człowiekiem przed Bogiem, że umiał kochać i cierpieć — po raz pierwszy od dawna łzy poszły z jego oczu, a głos myśli natrętnych ucichł przed głosem serca.

I czy te łzy były prawdą, nie spytał, bo czuł to głęboko, że wszelka boleść nawet najmniejsza jest świętą i prawdziwą, a kłamana występkiem.

Jakże tu nic się nie zmieniło!

Wracał do domu, gdzie zda się jednym krokiem nic nie postąpiło ku starości, gdy on w tak krótkim czasie tak bardzo postarzał. Tem wiejskim powolnym żywotem dłużéj się żyje, a im kto gorętszą kąpiel bierze, tem króciéj w niéj trwa. Tak było z Tomkiem, bociany nowych gniazd nie układły, na strzesze mech nie porósł, trawa nie pożółkła w podwórku a on tak zżółkł i zestarzał!

Majestatyczny zachód słońca rozpromieniał się na niebiosach i w blaskach zachodu, we wrzawie barw na tle ognistem wyiskrzonych, zdawało się słyszeć muzykę aniołów co przygrywała dnia końcowi, i kołysała ziemię do spoczynku. Ptastwo i wszelkie stworzenie ziemi, co jeszcze nie ma tyle rozumu, by sztucznie utworzyć sobie życie, spieszyło do snu na rozkaz nocy. Ciągnęły kaczki dzikie po nad dworkiem, stada szły becząc i rycząc do otwartych im szopek, a lud prosty wracał od pracy z weselem w sercu.

Na ganeczku dworka siedziało ludzi dwoje, starców dwoje; oboje milczeli, obojga oczy a myśli nosiły się daleko.

Nie mówili a rozumieli się myśląc o swojem dziecięciu.

Syn marnotrawny powracał.

Na wschodach ganku siedziała Małgosia i bawiła się ze starym psem podwórzowym; kury i gołębie szczebiocząc chodziły koło niéj, zaglądały jéj w ręce. Skrzypiał żóraw od studni, bo trzódkę poili pastusi; z kościołka dzwonek wieczorny dzwięczący pacierze za zmarłych przypominał.

Chwila to była na wsi uroczysta i urocza.

Nagle wiatr powiał, i jakby niósł z sobą zasłonę wieczorną rozwieszając ją po niebie—ściemniać się zaczęło.

Starzy podnieśli głowy i spojrzeli sobie w oczy.

— Moja panno, rzekł ślachcic, Bóg łaskaw, Tomko powróci, niéma się czego trapić, dziecko trochę postrzelone w głowę, ale serce ma dobre; nic mu się przy opatrzności bożéj nie stanie.

— Mam i ja tę nadzieje co jegomość, ale czemuż choć nie nakazał do nas? wiadomości nawet nie dał o sobie?

Snać nie mógł.

Małgosia słuchała.

— Serce mi mówi jejmościuniu, że rychło powróci, jeno go nie widać. Biedakowi ten stary Dołęga głowę przewrócił, ale to się na świeżém powietrzu wyszumi.

— Daj Boże! uproś Matko Najświętsza!

Gdy to mówili, Tomko z za wrot poglądał oparty o starą lipę, patrzał w dziedziniec domowy, a nie śmiał się zbliżyć, a serce w téj chwili rozwiązywało ostatnią zagadkę, któréjby głowa nie podołała.

— Szczęście nie jest-li to spokój, wśród bożego świata, wśród cichéj, ustronnéj wioski? Te powolne godziny jednostajnie płynące, nie są-li najdroższemi chwilami naszego życia?

Tych dwoje starców bez zgryzoty, bez zmarszczki na sumieniu, dokończających wieku swego wśród błogosławionych ich kilku rodzin, nie są-li większi

w obec Boga, którego znają i kochają, nad olbrzymów wiedzy, bohaterów wojny, co we wrzawie zapomnieli trochę o sobie, a całkiem o Bogu?

W ich życiu jestli próżna chwila, któraby nie była czynem lub modlitwą, to jest westchnieniem ku niebu? Ciemni są, ale ich ciemnota nie zakrywa przed niemi nieskończonéj wielkości Boga, braterstwa ludzi, cudów świata, cudów życia i nadziei wieczności cudniejszéj jeszcze. Mali są, ale w miarę swoją uczynili więcéj, niżeli nie jeden z tych co mógł, a nie kwapił się do czynu, bo szczędził siebie, bo siebie tylko kochał.

Mówił a łzy znowu mu do oczów się toczyły.

— Prawda jest w sercach poczciwych, zawołał, prawda jest gdzieśmy bliżéj Boga.—Nie! nie, ani mądrość wasza, ani miasta wasze nie są prawdą!

I rzucił się ku domowi.

A na ganku podniosły się ku niemu ręce, zadrgały serca; bo go wszyscy pod łachmanami poznali nawet pies—nawet Małgosia!

Jeśliś się w czasie głośnego téj powieści czytania wyspał miły czytelniku, jeśli cię Tomko nie zajął, nie obawiaj się wyznać mi tego otwarcie. Spodziewałeś się zwyczajnych bohaterów i prostéj powieści, a trafiłeś na coś na kształt długiego monologu, często słyszanego w duszy i znajomego ci może aż nadto (jeśliś kiedy w głąb swojéj duszy zstąpił);—

Jeśliś spał nie gniewam się wcale; jeśli przeczytawszy spytasz z gniewem:—Czegom cię nauczył? odpowiem ci: Nauczyłem cię, że w duszy twéj są głosy których posłuchać warto, one ci więcéj i piękniejszych rzeczy powiedzą nad te, które słyszałeś odemnie. A teraz bądź zdrów.

Grudek—Hubin—1849—1850.

KONIEC.

KATALOG KSIĄŻEK

WYDANYCH WŁASNYM NAKŁADEM, LUB TEŻ ZŁOŻONYCH W KOMIS

W KSIĘGARNI

HENRYKA NATANSONA

W WARSZAWIE.

***Abecadło** z obrazkami dla Zygmusia, przez Z. H. Wydano na dochód domu Schronienia pod nazwą Ś. Wincentego a Paulo 4-ka, Warszawa 1856, kop. 60

***Anns Jan**, Wykład praktyczny chorób zębów i ich leczenie, 8-ka, Warszawa 1849, k. 25.

Augustyn, albo potęga wiary Katolickiéj, z francuzkiego na język polski przełożone przez Jadwigę . . 16-ka, Warszawa 1856, kop. 60.

Bakka S, Zamiany miar i wag polskich na rossyjskie i rossyjskich na polskie, 8-ka, Warszawa 1849, kop. 50.

***Carte du Théatre** de la guerre dans les pays Caucasien, la Perse et la Turquie asiatique, pour suivre les operations des armées Russes, dans ces contrées depuis Pierre le Grand, specialement les Campagnes contre la Perse et la Porte Ottomane en 1826—1829. Indiquant les principales Routes les Relais de porte les Forteresses, Forts et Portes retranchés, tant occupés présentement, par les Russes qu'elevés ou conquis par eux précédement et abandonnés ou détruits par la suite. Dressé sur les materiaux les plus authentiques et les plus recens à l'Echelle 1: 1,680,000 de la grandeur naturelle, par le Colonel S. Boutourlin 1844, Revue et Corrigée en 1846, rs. 3 k. 60.

— Collé sur toile, rs. 5.

Feuchtersleben Baron E. de. Hygiena duszy, przełożył z wydania 18-go Aug. Thugutt (Valere aude) 16-ka, Warszawa 1857.

Fleury L. Wykład hygieny w Szkole lekarskiéj w Paryżu. Przełożył Karol Jurkiewicz Lekcya I—X, 8-ka, Warszawa 1853, rs. 1 k. 20.

— Toż samo Lekcya XI—XVII 8-ka, Warszawa 1854, rs. 1 kop. 20.

— Toż samo Lekcya XVIII—XXIV (koniec) 8-ka, Warszawa 1856, rs. 1 kop. 20.

Foissac P. Meteorologia czyli nauka o zjawiskach w powietrzu dostrzeganych, o ich związku i wpływie na Królestwo organiczne a głównie na człowieka. Przełożył Jan Baranowski, 2-ty, 8-ka, Warszawa 1858, rs. 5 k. 40,

Galerya Drezdeńska, Zbiór rycin na stali z najcelniejszych obrazów tejże galeryi, z tekstem Konstantego Pathie, 4 tomy (136 rycin) 4-ka, Warszawa 1849—1851, rs. 18.

— Toż samo w ozdobnéj oprawie rs. 27.

Galerye Mnichowskie. Zbiór rycin na stali z najcelniejszych obrazów Pinakoteki galeryi Leichtenbergskiéj i Schleissheimskiéj z tekstem zbieranym przez K. Pathie, 2-ty, 4-ka Warszawa 1856—1857, rs. 15.

— Toż samo w ozdobnéj oprawie, rs. 19 k. 50.

— Toż samo złocone z obu stron okładki rs 20.

Gasparin (Hr. de). Zasady agronomii. Przetłumaczył z francuzkiego T., 8-ka, Warszawa 1857, rs. 1 kop. 35.

Gerhard Karol, Poradnik do rozbiorów chemicznych, tłumaczony przez Wincentego Karpińskiego, 16-ka, Warszawa 1851, kop. 90.

Gerschow A, Poziomowanie topograficzne, wykład teoretyczny i praktyczny, obejmujący sposób mierzenia spadków przy pomiarach gruntu i t. d., z domieszczeniem tablic, tudzież niektóre uwagi tyczące się użytkowania z biegu wody, 8-ka, Warszawa 1851, rs. 4 k. 50.

Gliszczyński Michał, Życie, nauczanie i śmierć Sokratesa (z ryciną) 8-ka, Warszawa 1858 rs. 1.

— Toż samo na papierze welinowym, 2-ty rs. 3.

Grybojedow A, Biada temu kto ma rozum Komedya w 4-ch aktach, wierszem napisana przez A. Grybojedowa. Tłumaczył polskim wierszem Józef Lewart-Lewiński, 8-ka, Warszawa 1857, kop. 75.

Humboldt A, Kosmos, Rys fizyczny opisu świata, Tom I przełożyli J. Baranowski i L. Zejszner, Tom II i III przełożył Hipolit Skrzyński, 8-ka, wydanie drugie poprawne, Warszawa 1852, rs. 9.

Kalotechnika, czyli sztuka zachowania piękności, zawierająca: Hygienę zębów D-ra Desirabode; Hygienę rąk i nóg Pani Lachapelle, D-ra Medycyny, Higienę piersi i kibici, Adama Raciborskiego D-ra Medycyny; Hygienę włosów, D-ra Juliusza Massé, zebrana i ułożona przez autora Wspomnień z podróży po Danii, Norwegii i Anglii etc. 16-ka Warszawa 1856, kop. 90.

Korzeniowski J, Cyganie, Dramat w 5-ciu aktach wierszem 16-ka, Warszawa 1857, kop. 75.

Kosiński Ad. Am, Przejażdżki po kraju. Powiastki i obrazki 12-ka 3-ty, Warszawa 1847, rs. 3.

***Kozłowski Alexander**, Krótki pogląd na koleje żelazne (z mappą) 8-ka, Warszawa 1859 rs. 1.

Kraszewski J. I, Jermoła. Obrazki wiejskie. 16-ka, Warszawa 1857, rs 1 kop. 20.

— Staropolska miłość. Urywek pamiętnika spisany przez J. I. Kraszewskiego 16-ka, Warszawa 1859, kop. 90.

— Pisma wydanie nowe, uskutecznione pod okiem autora poprawione i pomnożone z rycinami Henryka Pillatego, zawierają:

— Całe życie biedna, powieść. Format wielkiéj 8-ki we dwie szpalty, Warszawa 1858 kop. 45.

— Dziwadła, powieść współczesna. Format wielkiéj 8-ki we dwie szpalty, Warszawa 1857, kop. 90.

— Historya o bladéj dziewczynce z pod Ostréj Bramy.—Tomko prawdzic wierutna bajka. Format wielkiéj 8-ki we dwie szpalty, Warszawa 1859. kop. 75.

— Kordecki, powieść historyczna. Format wielkiéj 8-ki we dwie szpalty, Warszawa 1857, rs. 1 kop. 80.

— Ostrożnie z ogniem, powieść. Format wielkiéj 8-ki we dwie szpalty, Warszawa 1857 kop. 60.

— Pod Włoskiem niebem, Fantazya. Format wielkiéj 8-ki we dwie szpalty, Warszawa 1857 kop. 45.

Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego, zebrał M. Ł. 8-ka, Warszawa 1855, rs. 1 kop 50.

— z nauk przyrodzonych i niektóre ważniejsze wynalazki, 12-ka, Warszawa 1848, kop. 75.

Kryszka A, Mechanika życia ludzkiego, czyli budowa ciała i sprawy żywotne, z licznemi drzeworytami w tekscie 8-ka, Warszawa 1853, kop. 30.

— O cholerze w roku 1852 (wyjątek z Pamiętnika Lekarskiego) 8-ka, Warszawa 1853, kop. 30

Kucz Karol, Pamiętniki miasta Warszawy, tom I 8-ka, Warszawa 1854, rs. 2.

Liebig Justus, Nowe listy o chemii zastosowanéj do przemysłu. fizyologii i rolnictwa. Przełożył Ludwik Natanson Dr. med. 8-ka, Warszawa 1854, kop. 90.

Lisicki R. i Szymanowski W., Słownik geografii powszechnéj. Opis geograficzno-statystyczny państw, krajów, okolic, miast, mórz, rzek, jezior, wysp i t. p. Ułożony według najlepszych dzieł niemieckich, francuzkich, angielskich i polskich, 2 tomy 8-ka, Warszawa 1852—1854, na papierze zwyczajnym rs. 10.

— Toż samo na papierze welinowym rs. 12.

***Łubieński Józef**, Katolickie nabożeństwo na wszystkie niedziele święta uroczyste i kościelne, oraz modlitwy po większéj części z pisma świętego i ojców kościoła wyjęte, na większą chwałę Boga i dla dogodności wiernych, zebrał Józef Łubieński, wydanie drugie w 2-ch częściach, część pierwsza, Domowa, część druga Kościelna 16-ka, Warszawa 1859, rs. 1 kop, 50.

— Toż samo oprawne w skórkę i złocone brzegi rs. 2 k. 70.

„ „ w szagryn i złocone brzegi 3

„ „ „ „ 3 k. 30.

„ „ „ z okuciem 4 k. 30.

„ w ozdobnéj oprawie Paryzkiéj w szagryn z klamrami 6

„ „ w aksamit w bogatém okuciu 10.

***Łyszkowski S. J T.**, Hodowla koni, czyli nauka żywienia, rozmnażania, pielęgnowania koni, ulepszania rass znikczemnionych i utrzymania szlachetnych w pierwotnéj czystości. Z wielą rycinami na 12-tu tablicach, wydanie nowe, 2 tomy 8-ka, Warszawa 1849 rs. 3 kop. 30.

Łyszkowski Maxymilian, Dyrektor G. R. Warsz. Wypisy z pi-

sarzów polskich, zawierające po większej części przedmioty realne część III 8-ka. Warszawa 1856 kop. 70.

— Część IV 8-ka, Warszawa 1850 kop. 70.

Marcadé V, O przedawnieniu podług Kodexu Cywilnego w Królestwie Polskiém obowiązującego. Traktat V. Marcadé Adwokata przy Sądzie Kassacyjnym, przy Radzie Stanu i przy Ministeryum Spraw Wewnętrznych w Paryżu i t. d. Obejmujący krytyczny rozbiór autorów i jurisprudencyi czyli teoretyczny i praktyczny wykład tytułu XX księgi III, na język polski przełożył Antoni Wrotnowski Adwokat przy Sądzie Appellacyjnym Królestwa, 8-ka, Warszawa 1857, zamiast rs. 2 rs. 1.

Miłkowski Julian, Matka i macocha. Obrazek 16-ka, Warszawa 1857, rs. 1 kop. 20.

Muklanowicz Henryk. Trójkątowanie 2-go rzędu, 8-ka, Warszawa 1852, rs. 1 kop. 35.

Natanson Ludwik, Dr. Med. Krótki rys anatomii ciała ludzkiego 8-ka, Warszawa 1858, rs. 1 kop. 20.

Natanson Jakób, Krótki rys chemii organicznéj ze szczególnym względem na rolnictwo, technologią i medycynę częsc I i II-ga 8-ka, Warszawa 1853, rs. 2 kop. 40.

Natansona, Wybór przekładów z wzorowych pisarzów zagranicznych, Tom I i II Fryderyki Bremer, Sąsiedzi. Powieść przełożona na język polski z szwedzkiego, 2 tomy 16-ka, Warazawa 1852, rs. 1 kop. 50.

— Tom III i IV, Zamek Grantley. Powieść napisana przez G. Fullerton, 2 tomy, 16-ka 1852, rs. 1 kop. 50.

— Tom V, Córki Prezesa. Powieść Fryderyki Bremer, 16-ka 1853, kop. 75.

— Tom VI i VII, Jafet szukający swego ojca, przez K. Maryata, 2 tomy, 16-ka, Warszawa 1853, rs. 1 kop. 50.

— Tom VIII Fryderyki Bremer, Rodzina H. Powieść przełożona na język polski z szwedzkiego, 16-ka, Warszawa 1854, kop. 75.

— Tom IX i X Ludwika Tick, Vittoria Accorombona Powieść w pięciu księgach, przełożył z niemieckiego A. G. 2 tomy, Warszawa, 1855, rs 1 kop. 50.

— Tom XI—XIV, Notaryusz. Powieść Józefa barona Eötvös przełożona z języka węgierskiego na polski przez Jana Dobrzańskiego, 4 tomy, 16-ka, Warszawa 1855, rs. 3.

— Tom XV i XVI, Fryderyki Bremer, Nina. Powieść przełożona na język polski z szwedzkiego 2 tomy, 16-ka, Warszawa 1855, rs. 1 kop. 50

— XVII i XVIII, Hektor Fieramosca albo Wyzwanie w Barlecie. Powieść historyczna Maxymiliana d'Azeglio, przełożył z włoskiego J. Chęciński 2 tomy 16-ka, Warszawa 1857, rs. 1 kop. 50.

— Tom XIX i XXIII, Bleak House (Pustkowie). Powieść Karola Dickensa tłomaczył z angielskiego W. N., 5 tomów 16-ka, Warszawa 1856—1857, rs. 3 kop. 75.

— Tom XXIV, Kłótnia i Zgoda czyli kilka scen w Norwegii przez Fryderykę Bremer. Tłumaczone przez S. P., 16-ka, Warszawa 1857, kop. 75.

— XXV i XXVI, Helena Middleton. Powieść napisana przez Lady Georginę Fullerton, przetłumaczyła Paulina z L Wilkońska 2 tomy 16-ka, Warszawa 1857, rs. 1 kop. 50.

— Tom XXVII, W Dalekarlii. Powieść przez Fryderykę Bremer, tłumaczona przez S. P. 16-ka, Warszawa 1858 k. 75.

— XXVIII i XXIX, Powieści E. T. A. Hoffmanna, tłumaczył z oryginału Maurycy Ernest Wereszczyński, 2 tomy, 16-ka, Warszawa 1859, rs. 1 kop. 50.

***Nauka poezyi,** zawierająca teoryę poezyi, ułożona przez H. C., z dobranemi przykładami wydana przez M. Ł. 8-ka, Warszawa 1851, kop. 90.

***Nowosielski Antoni,** Pamiętniki Kuratora magazynów, 16-ka, Warszawa 1858, rs. 1.

***Noworocznik** wolnych żartów zebrany przez Bocianów Polskich, 16-ka, Warszawa 1859, kop. 60.

***Obrazy** z Państwa flory, 8-ka, Warszawa 1848, kop. 45.

***Oehlenschlaeger Adam,** Corregio. Dramat w pięciu aktach, przełożył wierszem Bolesław-Wiktor, 8-ka, Warszawa 1855 kop. 75.

***Ołtarzyk** polski mniejszy, Zbiór katolickiego nabożeństwa co najpotrzebniejszego, z ksiąg przez kościół ś. potwierdzonych, dla użytku wiernych ułożony, a dwiema rycinami ozdobiony. Trzecie przez władzę duchowną potwierdzone wydanie, 12-ka, Berlin 1856 rs. 1 kop. 20.

— Toż samo (egzemplarz dla kobiet), rs. 1 kop. 20.

— Toż samo oprawny w szagryn i złocone brzegi, rs. 2 k. 25.

Pamiętnik sztuk pięknych, Zbiór wiadomości potrzebnych i pożytecznych miłośnikom i zwolennikom sztuki, rysunkami objaśniony, ze szczególnym względem na rzeczy krajowe, wydawany pod kierunkiem Bolesława Podczaszyńskiego, z rycinami Tom I 4-ka, Warszawa 1850—1854, rs. 3.

Pamiętnik Towarzystwa warszawskiego lekarskiego, wydawany za upoważnieniem rządu. Nowa serya Tom I i II-gi (ogólnego zbioru tom 25 i 26), 8-ka, Warszawa 1852, rs. 3.

***Projekt** do słownictwa chemicznego, 16-ka, Warszawa 1853, kop. 25.

Pruszak (Seweryna z Żochowskich), Rozrywki dla młodocianego wieku. Dzieło zbiorowe w 5-ciu tomach, obejmujące: powieści, podróże, literaturę i rozmaitości, Ser. II 5 tomów 16-ka, Warszawa 1858, rs. 4 kop. 50.

***Restorff Karol Edward,** Fizyologia ogólna, tudzież fizyologii szczególnéj oddział I-szy część I-sza, napisana dostępnie dla każdego, w celu zrozumienia i zachowania przepisów hygienicznych i dyetetycznych, jako nieodzownie potrzebnych dla uchronienia się tak od cholery, jako téż i wielu innych przypadłości chorobnych, 8-ka, Warszawa 1854, rs. 1.

Ricord F. Listy o chorobie syfilitycznéj, tłumaczył Benjamin Rosenblum, 8-ka, Warszawa 1853, rs. 1 k. 50.

Rzewuski Emilian, Studya filozoficzno-literackie, 8-ka, Warszawa 1847, rs 1.

Siarczyński Ks. Fr, Opis powiatu Radomskiego w rękopiśmie pozostały, wydał Tymoteusz Lipiński, 12-ka, Warszawa 1847, kop. 60.

Szokalski Dr. W. Chodowanie pijawek lekarskich pod względem utrzymania sztucznego rozmnażania połowu, przewozu, przechowania zapasów i najoszczędniejszego ich użytku, zwłaszcza w szpitalach i dobroczynnych zakładach, 8-ka, Warszawa 1857, kop. 75.

— Listy o patrzeniu i spoglądaniu, czyli o macaniu okiem, w stanie zdrowia i choroby. Pisane do Doktora J. Majera, professora fizyologii przy Uniwersytecie Krakowskim, przez Dra W. Szokalskiego, Lekarza Instytutu Oftalmicznego w Warszawie, członka wielu stowarzyszeń naukowych 8-ka Warszawa 1856, kop. 75.

***Sztuka** zachowania zdrowia, ułożona przez Szkołę Salernitańską, tłumaczenia Ferdynanda Dinheim Prawdzic ze Szczawina Chotomskiego, 8-ka, Warszawa 1858, kop. 30.

***Thiery Augustyn,** Historya Anglii przez Normandów, o jéj przyczynach i skutkach aż do naszych czasów w Anglii, Szkocyi, Irlandyi i na stałym lądzie z dziewiątego wydania paryzkiego przejrzanego i poprawionego, przetłomaczył W. Z. Tom I-y z prenumeratą na 4 tomy 8-ka, Warszawa rs. 3.

Thugut A, O pokarmach mięsnych, zbytecznem ich użyciu o skutkach jakie ztąd wynikają dla zdrowia ludzkiego, 8-ka, Warszawa 1857, kop. 20.

***Tomira,** Misteryum przez Deotymę 8-ka, Warszawa 1855, k. 90.

Tygodnik lekarski, wydawany pod redakcyą Dra Le Brun, A. Helbicha i L. Natansona 4-ka.

Rok I-szy 1847 Numerów 26 rs. 1 kop. 80.
„ II-gi 1848 — 52 „ 3 „ 60.
„ III-i 1849 — 52 „ 3 „ 60.

— Poświęcony medycynie chirurgii, farmacyi, weterynaryi. Redaktor główny Dr. L. Natanson (Dalszy ciąg powyższego, albowiem tylko redakcya zmieniła się). Lata IV, V, VI, VII, VIII, IX, X, XI, XII, XIII, każdy rok numerów 52 po rs. 3 kop. 60.

Wejsbach Juliusz, Mechanika teoretyczna i stosowana, dla użytku Inżenierów i Mechaników, z 2-go wydania niemieckiego na polski język przełożył Stanisław Bakka Inżenier. Tom I Mechanika teoretyczna z 632 drzeworytami w tekscie, 8-ka, Warszawa 1856, rs. 4 kop. 50.